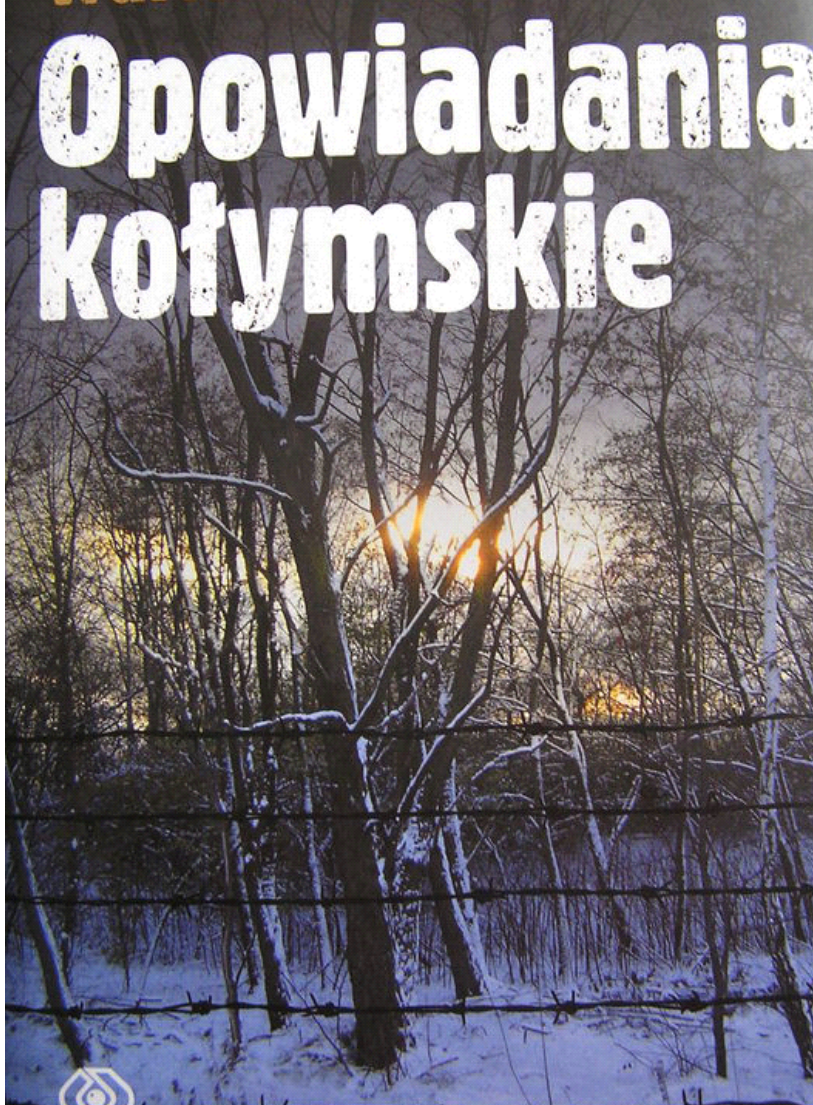


Wartam Szatamow

Opowiadania kołymskie



PRZEZ ŚNIEG

Jak przedeptuje się drogę w śnieżnej caliznie? Przodem idzie człowiek, pocąc się i przeklinając, przestawiając z ledwością nogi, więzając co minutę w sypkim, głębokim śniegu. Człowiek odchodzi daleko, znacząc swą drogę nierównymi czarnymi jamami. Męczy się, kładzie na śniegu, zapala papierosa i machorkowy dym snuje się niebieskim obłoczkiem nad białym, błyszczącym śniegiem. Człowiek już odszedł dalej, a tam, gdzie odpoczywał, wciąż jeszcze wisi obłoczek - powietrze jest prawie nieruchome. Drogi przedeptuje się zawsze w czasie spokojnych dni, żeby wiatry nie zamiotły ludzkiej pracy. Człowiek sam sobie wyznacza punkty orientacyjne w śnieżnym bezkresie - skałę, wysokie drzewo; człowiek prowadzi swoje ciało po śniegu tak, jak sternik prowadzi łódkę po rzece od cypla do cypla. Przedeptanym i nierównym śladem porusza się pięciu do sześciu ludzi rzędem, ramię przy ramieniu. Stąpają obok śladu, nie w sam ślad. Doszedłszy do wyznaczonego wcześniej miejsca, zawracają i ponownie idą tak, żeby rozdeptać śnieżną caliznę, miejsce, gdzie nie stawała ludzka stopa. Droga przebita. Mogą po niej iść ludzie, karawany sań, traktory. Jeżeli iść śladem pierwszego, stąpając ślad w ślad,

pojawi się wąska, ledwie do przejścia ścieżynka, a nie droga; jamy, przez które przebijać się trudniej niż przez caliznę. Pierwszemu jest ciężiej od wszystkich, kiedy wiec opada z sił, do przodu wychodzi następny z tej czołowej piątki. Każdy z idących w ślad, nawet najmniejszy, nawet najsłabszy, powinien stapać na kawałeczek śnieżnej calizny, a nie w cudzy ślad. A traktorami i końmi jeżdżą nie pisarze, lecz czytelnicy.

POD KWIT

W karty grano u wozaka Naumowa. Pełniący dyżur nadzorcy nigdy nie zaglądali do baraku wozaków, słusznie uważając, że najważniejsze w służbie to pilnowanie osadzonych na podstawie paragrafu pięćdziesiątego ósmego. Koni zaś, zgodnie z zasadą, nie powierzano kontrrewolucjonistom. Wprawdzie naczelnicy-praktycy zrządzili po cichu tracili najlepszych, zapobiegliwych robotników. Jednakże instrukcja była w tym względzie jasna i twarda. Tak więc najbezpieczniej było u wozaków i każdej nocy błatniacy zbierali się tam na swe karciane pojedynki. W prawym kącie baraku, na dolnej pryczy, rozściełano różnokolorowe kołdry. Do słupa w rogu przykręcano za pomocą drutu palącą się kołymkę – własnej roboty lampkę pracującą na oparach benzyny. Do pokrywki puszek po konserwach

przylutowywało się trzy lub cztery otwarte rurki miedziane i oto całe urządzenie. W celu zapalenia lampki kładło się na pokrywce gorący węgiel, benzyna podgrzewała się, w rurkach unosiła się para i benzynowy gaz płonął od zapalniczki. Na kołdrach leżała brudna, puchowa poduszka, a po jej obu stronach siedzieli „partnerzy”, podkurczywszy po buriacku nogi w klasycznej pozycji więziennej bitwy karcianej. Na poduszce leżała nowiutka talia kart. Nie były to zwykłe karty, była to własnej roboty więzienna talia wykonana przez mistrzów tej sztuki z niezwykłą szybkością. Potrzebny do tego jest papier (jakakolwiek książka), kawałek chleba (aby go przeżuć i przecisnąć przez szmatkę w celu otrzymania krochmalu potrzebnego do sklejanego kartek), ogryzek chemicznego ołówka (zamiast farby poligraficznej) i nóż (do wycinania szablonów kolorów i samych kart). Używane dziś karty były dopiero co wycięte z tomiku Wiktora Hugo - książki, którą ktoś wczoraj zostawił w biurze. Papier był zwarty, gruby, kartek nie trzeba było sklejać, jak to bywa zazwyczaj, gdy papier jest cienki. Podczas wszystkich rewizji w łagrach nieubłaganie odbierano ołówki chemiczne. Odbierano je również w trakcie sprawdzania przysyłanych paczek. Postępowano tak nie tylko w celu „zapobieżenia” możliwości wykonania

dokumentów i pieczętek (dużo było i tego rodzaju artystów), lecz także, aby zniszczyć wszystko, co może współzawodniczyć z państwowym monopolem karcianym. Z chemicznego ołówka robiono atrament i za pomocą szablonu nanoszono na karty wzory: damy, walety, dziesiątki wszystkich kolorów...Kolorów nie odróżniano według barw - odróżnienie to nie było graczowi potrzebne. Na przykład waletowi pikowemu odpowiadało wyobrażenie pika w przeciwległych rogach karty. Rozmieszczenie i forma wzorów były jednakowe w ciągu stuleci - umiejętność wykonania własnymi rękami kart wchodzi do programu „rycerskiego” wychowania młodego błatniaka. Nowiutka talia kart leżała więc na poduszce, a jeden z grających poklepywał ją brudną ręką z cienkimi, białymi, nierobociarskimi palcami. Paznokcie małego palca były nadnaturalnej wielkości - to także błatniacki szyk, podobnie jak „fiksy”-złote, to znaczy koronki z brązu nakładane na zupełnie zdrowe zęby. Bywali nawet mistrzowie, zapamiętali technicy dentystyczni, którzy nieźle sobie dorabiali wykonywaniem takich koronek, niezmiennie cieszących się popytem. Co się zaś tyczy paznokci, to polerowanie ich na odpowiedni kolor na pewno weszłoby w obyczaj „świata przestępczego”, jeśli tylko byłoby możliwe w warunkach więziennych wprowadzenie lakieru. Wypielegnowany

zółty paznokcieć pobłyskiwał jak drogocenny kamień. Lewą ręką właściciel paznokcia przeczesywał lepkie i brudne jasne włosy. Ostrzyżony był „pod boks”, nad wyraz starannie. Niskie, bez żadnej zmarszczki czoło, żółte pęczki brwi, usteczka jak kokardka — wszystko to nadawało jego fizjonomii ważną właściwość zewnętrznego wyglądu złodzieja: niezwracanie na siebie uwagi. Takiej twarzy nie można było zapamiętać. Popatrzawszy na nią, już się zapominało, gubiło wszelkie rysy, nie do rozpoznania przy ponownym spotkaniu. Był to Siewoczka, znakomity znawca „tierca”, „stosa” i „bury” — trzech klasycznych gier karcianych, natchniony interpretator tysiąca karcianych zasad, których przestrzeganie miało obowiązywać w mającym się odbyć spotkaniu. O Siewoczce mówiono, że wspaniale „odgrywa”, to jest wykazuje umiejętności i zręczność szulera. W istocie był on szulerem; oczywiście ucziwa złodziejska gra to gra polegająca na oszukiwaniu: śledź i demaskuj partnera, to twoje prawo; umiej sam oszukiwać, umiej „wydyskutować” wątpliwą wygraną. Grano zawsze we dwójkę — jeden przeciw jednemu. Żaden z mistrzów nie poniżał się do uczestniczenia w grach grupowych w rodzaju „oczka”. Prawdziwy wirtuoz poszukuje silniejszego przeciwnika. Partnerem Siewoczki był sam Naumow, brygadzysta wozaków. Starszy od swojego

rywala (nawiasem mówiąc, ile lat miał Siewoczka - dwadzieścia? trzydzieści? czterdzieści?), czarnowłosy chłopak z takim męczeńskim wyrazem czarnych, głęboko osadzonych oczu, że nie wiedząc, iż Naumow to kolejny złodziej z Kubania, wzięłoby się go za jakiegoś pielgrzyma - mnicha albo członka znanej sekty „Bóg wie”, sekty, którą już od dziesiątków lat spotyka się w naszych łagrach. Wrażenie to potęgowało się na widok sznurka z cynowym krzyżykiem zwisającego z szyi Naumowa - kołnierzyk jego koszulki był rozpięty. Krzyżyk ten wcale nie był bluźnierczym żartem, kaprysem ani też improwizacją. W owych czasach wszyscy błatniacy nosili na szyjach aluminiowe krzyżyki; był to rozpoznawczy znak zakonu, tak jak tatuaż. W latach dwudziestych błatniacy nosili czapki personelu technicznego, wcześniej jeszcze „kapitanki”. W czterdziestych latach zimą chodzili w kubankach, podginali cholewki walonek, a na szyi nosili krzyże. Krzyż zazwyczaj był gładki, lecz jeśli natrafili na plastyków, zmuszali ich do wyrysowania igłą wzorów związanych z ulubionymi motywami: sercem, kratą, krzyżem, nagą kobietą. Krzyż Naumowa był gładki. Dyndał na jego ciemnej piersi, uniemożliwiając odczytanie wyklutego na niebiesko tatuażu, cytatu z Jesienina - jedyne poety uznanego i kanonizowanego przez

„świat przestępczy”:

Jak mało
przemierzonych
dróg, Jak dużo tam
omyłek.

- Co grasz? - wycodził przez zęby Siewoczka z wyrazem niezmiernej wzgardy. To również uznawane było za dobry ton, obowiązujący przy rozpoczęciu gry.

- Ot, szmatki. Tę „lepiochę”... - Naumow poklepał się po ramionach.

- Gram za pięćset - ocenił garnitur Siewoczka.

W odpowiedzi rozległy się głośne, wielosłowne przekleństwa, które powinny były przekonać przeciwnika co do znacznie większej wartości rzeczy. Otaczający graczy widzowie cierpliwie czekali na zakończenie tej tradycyjnej uwertury. Siewoczka nie pozostawał dłużny i wymyślał jeszcze bardziej jadowicie, zbijając cenę. W końcu garnitur wyceniono na tysiąc. Siewoczka ze swej strony „grał” kilka przenoszonych swetrów. Gdy tylko swetry zostały wycenione i rzucone na kołdrę, Siewoczka przetasował karty. Ja i Garkunow, były inżynier włókienniczy, piłowaliśmy drewno dla baraku Naumowa. Była to praca nocna. Po zakończeniu swego roboczego dnia w wyrobisku trzeba było napiłować i nałupać drewna na całą dobę. Załaziliśmy

do baraku wozaków od razu po kolacji; było tu cieplej niż w naszym baraku. Sprzątający Naumowa nalewał po pracy do naszych kociołków chłodną „juskę” – resztki z jedyne go i stałego dania, które według jadłospisu stołówki nazywało się „kluski ukraińskie”, i dawał nam po kawałku chleba. Siadaliśmy gdziekolwiek, w rogu, na podłodze, i pochłanialiśmy zarobioną strawę. Jedliśmy w zupełnej ciemności – barakowe „benzynki” oświetlały karciane pole – lecz według dokładnych spostrzeżeń dawnych mieszkańców więzień: „łyżką nie trafisz poza usta”. A teraz obserwowaliśmy Siewoczkę i Naumowa. Naumow przegrał swoją „lepiochę”. Spodnie i marynarka leżały koło Siewoczki na kołdrze. Grana była poduszka. Paznokciec Siewoczki wyrysowywał w powietrzu wymyślne wzory. Karty to znikwały, to znów pojawiały się w jego dłoni. Naumow był w podkoszulku, satynowa rubaszka poszła w ślad za spodniami. Usłużne ręce narzuciły mu na ramiona teliogriekę, ale on zrzucił ją gwałtownym ruchem na ziemię. Nagle wszystko ucichło. Siewoczka leniwie poskrobywał paznokciem po poduszce.

- Gram kołdrę – chrypliwie powiedział Naumow.

- Dwieście – obojętnym głosem powiedział Siewoczka.

- Tysiąc, ty suko! – wrzasnął Naumow.

- Za co? To nie jest rzecz! To „łoksz”, lichota - wymawiał Siewoczka. - Tylko dla ciebie gram za trzysta.

Bój trwał dalej. Zgodnie z zasadami, walka nie może być zakończona, dopóki partner jest jeszcze w stanie czymkolwiek „odpowiadać”.

- Gram walonki!

- Walonek nie gram - twardo rzekł Siewoczka. - Nie gram państwowych łachów. Przegrany został jakiś ukraiński ręcznik z kogutami, wartości kilku rubli, jakaś cygarnica z wytłoczonym profilem Gogola. Wszystko przechodziło do Siewoczki. Na ciemnej skórze policzków Naumowa wystąpił gęsty rumieniec.

- Pod kwit - powiedział, przymilając się.

- Wielka mi potrzeba - żywo odpowiedział Siewoczka i wyciągnął do tyłu rękę. Natychmiast włożono mu w dłoń zapalonego papierosa z machorki. Siewoczka zaciągnął się i zakaszłał. - Co mi po twoim kwicie? Nowych etapów nie ma, skąd weźmiesz? Może od konwojentów?

Zgoda na grę „pod kwit”, to jest na kredyt, była przysługą według „prawa” nieobowiązująca, ale Siewoczka nie chciał obrażać Naumowa i pozbawiać go ostatniej szansy odegrania się.

- Na sto - powiedział wolno. - Daję na to godzinę.

- Dawaj kartę! - Naumow poprawił krzyżyk i usiadł.

Odegrał kołdrę, poduszkę, spodnie i znowu wszystko przegrał.

- Może by tak czyfirku nawarzyć? - powiedział Siewoczka, składając wygrane rzeczy do dużej walizki z dykty. - Ja poczekam.

- Zagotujcie, chłopcy - nakazał Naumow. Rzecz była o zadziwiającym napoju Północy, mocnej herbacie - gdy w niewielkiej filiżance zaparza się pięćdziesiąt i więcej gramów czaju. Napój niezmiernie gorzki, pije się go małymi łykami pod zakaskę z solonej ryby.

Usuwa on senność, dlatego cieszy się uznaniem u błatniaków i północnych kierowców na długich trasach. Czyfir powinien niszcząco oddziaływać na serce, jednakże znałem długoletnich czyfirystów, którzy wchłaniali go zupełnie bezkarnie.

Siewoczka upił jeden łyk z podanej filiżanki. Ciężkie, czarne spojrzenie Naumowa obiegało zebranych w krąg. Włosy spletały mu się na głowie. Wzrok dobiegł do mnie i zatrzymał się. Jakaś myśl błysnęła w mózgu Naumowa.

- Ano, wyjdź. - wyszedłem do światła. - Zdejmij tiełogrięjkę.

Było już jasne, o co chodzi, i wszyscy z zaciekawieniem śledzili poczynania Naumowa. Pod tiełogrięjką miałem tylko państwową bieliznę - gimnastiorkę wydali dwa lata temu i dawno już zetlała. Ubrałem się.

- Ty, wychodź - powiedział Naumow, wskazując palcem na Garkunowa.

Garkunow zdjął tiełogrięjkę. Twarz jego zbladła. Pod brudną koszulą miał

wełniany sweter. Była to ostatnia przesyłka od żony przed udaniem się w daleką drogę. Ja wiedziałem, jak Garkunow go strzegł. Piorąc w łaźni, susząc na sobie, ani na minutę nie wypuszczał z rąk; taką rzecz ukradliby od razu towarzysze.

- Ano, zdejmuj - powiedział Naumow.

Siewoczka aprobujuco kiwał palcem, wełniane rzeczy były w cenie. Jeśli oddać do prania, a jeszcze i wyparzyć wszy, można by samemu nosić, ładny wzór.

- Nie zdejmę - powiedział chrapliwie Garkunow. - Tylko razem ze skórą...

Rzucono się na niego i zbito z nóg.

- On kasa! - krzyknął ktoś.

Garkunow powoli dźwignął się z podłogi, wycierając rękawem krew z twarzy. I od razu Saszka, sprzątający Naumowa, ten sam Saszka, który przed godziną nalewał nam „zupkę” za piłowanie drewna, przysiadł nieco i wyrwał coś zza cholewy walonka. Potem wyciągnął rękę w kierunku Garkunowa. Garkunow zaszlochał i zaczął padać na bok.

- Czyż nie mogliście bez tego?! - wrzasnął Siewoczka.

W migającym świetle benzynki widać było, jak szarzeje twarz Garkunowa. Saszka rozwarł ręce zabitego, rozzerwał koszulę i ściągnął przez głowę sweter. Sweter był czerwony i krew była na nim ledwie widoczna. Siewoczka ostrożnie, aby nie pobrudzić palców, złożył sweter do walizki z dykty. Gra była skończona i

mogłem iść do domu. Trzeba było teraz szukać nowego partnera do piłowania drewna.

NOCA

Wieczera skończyła się. Glebow niespiesznie wylizał miskę, starannie zgarnął ze stołu okruszki chleba na lewą dłoń i uniósłszy ją ku ustom, ostrożnie zlizal je z dłoni. Nie łykając, wyczuwał, jak ślina w ustach gęsto i z pożądaniem obleka malutką grudeczkę chleba. Glebow nie mógłby powiedzieć, czy było to smaczne. Smak to coś innego, zbyt ubogiego w porównaniu z tym zapamiętałym do utraty świadomości odczuciem, jakie dawało pożywienie. Glebow nie spieszył się z przełykaniem, chleb sam tajał w ustach i tajał szybko. Wpadnięte, błyszczące oczy Bagriecowa nieprzerwanie wpatrzone były w usta Glebowa; w nikim nie było tak potężnej woli, która potrafiłaby odwieść oczy od pokarmu znikającego w ustach innego człowieka. Glebow przełknął ślinę i Bagriecow natychmiast przeniósł wzrok w kierunku horyzontu — na wielki, pomarańczowy księżyc wypełzający na niebo.

- Pora - powiedział Bagriecow.

Milcząc, poszli po ścieżce w kierunku skały i wspięli się na niewielki występ otaczający stożkowaty pagór; chociaż słońce niedawno zaszło, kamienie, parzące w ciągu dnia podeszwy stóp

poprzez gumowe kalosze wdziane na bosą nogę, były już teraz chłodne. Glebow zapiał waciak. Chód nie rozgrzewał go.

- Daleko jeszcze? - spytał szeptem.

- Daleko - odpowiedział cicho Bagriecow. Siedli, by odpocząć. Mówić nie było o czym, a i myśleć nie było o czym - wszystko było jasne i proste. Na płaskiej powierzchni, u końca skalnego występu, leżały kupy rozwalonych kamieni i zerwanego, zeschniętego mchu.

- Ja mógłbym to i sam zrobić - uśmiechnął się Bagriecow - ale we dwójkę raźniej. No i dla starego przyjaciela... Przywieźli ich jednym statkiem zeszłego roku. Bagriecow zatrzymał się: „Trzeba się położyć - dostrzegą”. Położyli się i zaczęli odrzucać kamienne bloki. Dużych kamieni - takich, żeby nie można było podnieść, przesunąć wspólnie - nie było, dlatego że ludzie, którzy narzucali je tutaj rano, nie byli silniejsi od Glebowa. Bagriecow cicho zaklął. Zadrapał palec, ciekła krew. Przysypał ranę piaskiem, wyrwał z waciaka kawałek waty, przycisnął, ale krew ciekła dalej.

- Zła krzepliwość - obojętnie powiedział Glebow.

- Tyś lekarz czy co? - spytał Bagriecow, wysysając krew.

Glebow milczał. Czas, gdy był lekarzem, wydawał się bardzo odległy. I czy w ogóle był taki czas? Zbyt często ten świat za górami, za rzekami wydawał mu się snem jakimś, wymysłem. Realna była

minuta, godzina od pobudki do wieczornego sygnału. Dalej nie sięgał myślą i nie znajdował w sobie sił, by sięgać. Jak wszyscy. Nie znał przeszłości tych ludzi, którzy go otaczali, i nie interesował się tym. Zresztą, jeżeliby jutro Bagriecow oznajmił, że jest doktorem filozofii lub marszałkiem lotnictwa, Glebow uwierzyłby mu bez zastrzeżeń. Czy on sam kiedykolwiek był lekarzem? Utracił nie tylko automatyzm osądów, lecz także automatyzm postrzegania. Glebow widział, jak Bagriecow wysysał krew z brudnego palca, lecz nic nie powiedział. To tylko prześliznęło się w jego świadomości, lecz woli do odpowiedzi znaleźć w sobie nie mógł i nie szukał. Ta świadomość, która mu jeszcze pozostawała i która może nie była już ludzką świadomością, miała zbyt mało ostrzy i nakierowana była teraz jedynie na to, by jak najszybciej usunąć kamienie.

- Głęboko pewnie? - spytał Glebow, gdy położyli się, aby odpocząć.

- Jak ona może być głęboka? - powiedział Bagriecow.

I Glebow pojął, że niedorzecznie spytał i że jama rzeczywiście nie mogła być głęboka.

- Jest - powiedział Bagriecow.

Dotknął ludzkiego palca. Duży palec stopy wyglądał spod kamieni, w świetle księżyca był doskonale widoczny. Palec ten nie był podobny do palców Glebowa

czy Bagriecowa, ale nie dlatego, że był bez życia i zeszywniały. W tym była mała różnica. Na tym martwym palcu paznokcie były obcięte, on sam zaś był krągły i bardziej miękki od palca Glebowa. Szybko odrzucili kamienie, którymi było przywalone ciało.

- Zupełnie młody - powiedział Bagriecow. Wspólnie z trudem wyciągnęli trupa za nogi.

- Jaki duży - powiedział Glebow, dysząc ciężko.

- Gdyby on nie był taki duży - powiedział Bagriecow - to pochowano by jak nas chowają. I nie musielibyśmy tu dzisiaj iść.

Rozgięli trupowi palce i ściągnęli koszulę.

- A kalesony zupełnie nowe - z zadowoleniem stwierdził Bagriecow.

Ściągnęli i podkoszulek. Glebow schował kłębek bielizny pod waciak.

- Włóż lepiej na siebie - powiedział Bagriecow.

- Nie, nie chcę - wymamrotał Glebow.

Ułożyli z powrotem trupa w mogile i zarzucili kamieniami. Niebieskie światło księżyca, który wzeszedł, kładło się na kamienie, na rzadki las tajgi, ukazując każdy występ, każde drzewo w niecodziennej postaci. Wszystko wydawało się prawdziwe, lecz nie tak jak za dnia. To było jakby drugie oblicze świata. Bielizna trupa ogrzała się za pazuchą Glebowa i już nie wydawała się cudza.

- Zapalić by - powiedział Glebow w rozmarzeniu.

- Jutro zapalisz.

Bagriecow uśmiechnął się. Jutro sprzedadzą bieliznę, wymienią ją na chleb, a może nawet dostaną trochę tytoniu...

CIEŚLE

Przez całe doby utrzymywała się biała mgła, tak gęsta, że na dwa kroki nie widać było człowieka. Zresztą nikt pojedynczo nie musiał nigdzie daleko chodzić. Nieliczne kierunki - stołówka, szpital, strzeżona brama wyjściowa - odgadywane były nie wiadomo jak przyswojonym instynktem, pokrewnym temu poczuciu kierunku, który w pełni posiadają zwierzęta; i który, w pewnych, sprzyjających temu warunkach, budzi się również w człowieku. Termometru robotnikom nie pokazywano, nie było zresztą takiej potrzeby - do pracy należało wychodzić obojętnie przy ilu stopniach. Starzy mieszkańcy łagru prawie dokładnie określali, jak wielki jest mróz, bez użycia termometru: jeśli utrzymuje się mroźna mgła, znaczy to, że na zewnątrz jest 40 stopni poniżej zera; jeśli w trakcie oddychania powietrze wydobywa się ze świstem, ale jeszcze bez trudu - to jest 45 stopni; jeśli zaś pojawia się przy tym zadyszka - to na pewno jest 50 stopni. Powyżej 55 stopni

ślina zamarza w locie. Już od dwu tygodni tak zamarzała. Każdego dnia Potasznikow budził się z nadzieją – czy nie zelżał może mróz: z doświadczeń minionej zimy wiedział, że dla poczucia ciepła, nie zważając na to, jak niska jest temperatura, istotna jest wyraźna jej zmiana, kontrast. Jeśli mróz opadnie nawet tylko do 40-45 stopni, to przez dwa dni będzie ciepło, a dalej, ponad te dwa dni, nie ma sensu czegokolwiek planować. Mróz jednak nie opadał i Potasznikow rozumiał, że dłużej już nie wytrzyma. Śniadania starczało najwyżej na jedną godzinę pracy, potem przychodziło zmęczenie i mróz przenikał całe ciało „do kości” – to ludowe powiedzenie wcale nie było metaforą. Jedno, co można było, to ruszać narzędziami i podskakiwać z nogi na nogę, aby nie zamarznąć do obiadu. Gorący obiad – cienka „zupka” i dwie łyżki kaszy – niewiele siły przywracał, ale jednak ogrzewał. I znów starczało tego na jedną godzinę, a potem Potasznikowa zaczynał przenikać chłód. Dzień jednak wreszcie się kończył i po kolacji, napiwszy się gorącej wody z chlebem, którego żaden z więźniów nie jadł razem z zupą w stołówce, lecz zabierał do baraku, Potasznikow natychmiast kładł się spać. Spał oczywiście na górnych narach – w dole była lodowata piwnica i ci, którzy mieli tam miejsca, przez pół nocy stali przy piecu, obejmując go po

kolei rękami - piec był ledwo ciepły. Wiecznie brak było drzewa - trzeba było po nie chodzić po pracy, cztery kilometry, i wszyscy, jak mogli, uchylali się od tej powinności. U góry było cieplej, wszyscy jednak spali oczywiście w tym, w czym chodzili do pracy - w czapkach, waciakach, buszłatach, w watowanych spodniach. U góry było cieplej, jednak i tam przez noc włosy przymarzały do poduszki. Potasznikow czuł, że z każdym dniem coraz bardziej opada z sił. Trudno mu już było, przy trzydziestu latach, wleźć na górne nary, trudno było też zleźć. Wczoraj umarł jego sąsiad i nikt się nie zainteresował, dlaczego to się stało, jak gdyby przyczyna śmierci mogła być tylko jedna, dobrze wszystkim znana. Sprzątający cieszył się, że śmierć nie nastąpiła wieczorem, lecz dopiero nad ranem - całodobowe wyżywienie zmarłego przypadało sprzątającemu. Wszyscy rozumieli to doskonale i Potasznikow, zdobywszy się na odwagę, podszedł do sprzątającego. „Odłam skórę” - ale ten obrzucił go takimi przekleństwami, jakich może użyć człowiek, który był słaby, a teraz stał się silnym i wie, że jego przekleństwa pozostaną bezkarne. Słaby wymyśla silniejszemu jedynie w wyjątkowych warunkach i jest to odwaga rozpaczy. Potasznikow zamilkł i odszedł. Trzeba było na coś się zdecydować, coś wymyślić osłabionym mózgiem. Albo -

umrzeć. Potasznikow nie bał się śmierci. Tkwiło w nim jednak jakieś utajone, namiętne pragnienie, ostatnie, uparte – aby umrzeć gdzieś w szpitalu, na łóżku, w pościeli, pod opieką innych ludzi, byle tylko nie na dworze, na mrozie, pod butami konwojentów ani też w baraku, pośród wzajemnych wymyślań, brudu i przy całkowitej obojętności otoczenia. Nie winił ludzi za ich obojętność. Już dawno zrozumiał, skąd się bierze to duchowe otępienie, ten chłód w duszy. To mróz, ten sam mróz przemieniający w lód lecącą ślinę, dobierał się do ludzkiej duszy. Jeśli mogły przemarznąć na wskroś kości, to mógł przemarznąć i otępieć mózg, mogła przemarznąć na wskroś dusza. Na mrozie nie dawało się o niczym myśleć. I dusza też – przemarzła, skurczyła się, być może już na zawsze. Potasznikowowi nie pozostawało nic innego, jak tylko pragnąć przetrwania, przeczekań tego mrozu i pozostania przy życiu. Przełknąwszy miskę ciepłej zupy, przeżuwając resztkę chleba, Potasznikow dobrnął do miejsca pracy. Brygada stała uformowana przed rozpoczęciem pracy, a wzdłuż jej szeregów przechadzał się jakiś czerwonogęby grubas w reniferowej czapie, jakuckich futrzanych butach i w białym półkożuszk. Wpatrywał się w wynędzniałe, brudne twarze. Brygadzista podszedł, mówiąc coś z oznakami szacunku do człowieka w reniferowej czapie.

- Zapewniam pana, Aleksandrze Jewgienjewiczu, że nie mam takich ludzi. Trzeba by pójść do Sobolewa, do kryminalnych, bo tutaj to przecież sama inteligencja, Aleksandrze Jewgienjewiczu, istna męczarnia.

Człowiek w reniferowej czapie przestał przypatrywać się ludziom i obrócił się do brygadzisty.

- Brygadziści nie znają swych ludzi, nie chcą ich znać, nie chcą nam pomóc - powiedział ochrypłym głosem.

- Jak pan chce, Aleksandrze Jewgienjewiczu.

- Zaraz ci udowodnię. Jak się nazywasz?

- Nazywam się Iwanow.

- No, to popatrz! Hej, chłopcy, uwaga! - człowiek w reniferowej czapie stanął przed brygadą. - Zarządowi potrzebni są cieśle - trzeba robić skrzynie do wożenia ziemi.

Wszyscy milczeli.

- No widzi pan, Aleksandrze Jewgienjewiczu - szepnął brygadzista.

Potasznikow nagle usłyszał własny głos.

- Jestem. Ja jestem cieślą - i zrobił krok do przodu.

Z prawej strony szeregu wystąpił drugi człowiek. Potasznikow znał go - to był Grigorjew.

- No i co - człowiek w reniferowej czapie obrócił się do brygadzisty - zaszra na ciapo? Chodźcie ze mną, chłopcy. Potasznikow i Grigorjew powlekli się za nim. Ale on się zatrzymał.

- Jeżeli tak będziemy iść - wychrypiał - to i do obiadu nie zajdziemy. Słuchajcie, ja pójdę szybciej, a wy idźcie do warsztatu, do kierownika robót Siergiejewa. Wiecie, gdzie jest warsztat stolarski?

- Wiemy, wiemy - zawołał Grigorjew. - Proszę nas poczęstować papierosem.

- Znajoma prośba - mruknął przez zęby człowiek w reniferowej czapie i nie wyjmując z kieszeni pudełka, wyciągnął dwa papierosy.

Potasznikow szedł przodem i w napięciu myślał. Dzisiaj w cieple warsztatu stolarskiego będzie ostrzyć topór i robić stylisko. Będzie także ostrzyć piłę. Nie trzeba się spieszyć. Aż do obiadu będą „pobierać” narzędzia - szukać magazyniera i wypisywać je. A pod wieczór, kiedy okaże się, że styliska zrobić nie potrafi, a piły rozwiesić nie umie, wygonią go i nazajutrz powróci do brygady. Ale dziś będzie w cieple. A może też i jutro, i pojutrze, jeżeli Grigorjew okaże się cieślą. Będzie pomocnikiem Grigorjewa. Zima już się kończy. A lato, to krótkie lato, już jakoś przeżyje. Potasznikow zatrzymał się, czekając na Grigorjewa.

- Czy ty potrafisz, no... czy znasz się na ciesielce? - wykrztusił z nagłą nadzieją, która zapierała mu dech w piersiach.

- Widzisz - wesoło powiedział Grigorjew - ja jestem aspirantem Moskiewskiego

Instytutu Filologicznego i myślę, że każdy człowiek posiadający wyższe wykształcenie, a tym bardziej humanistyczne, powinien potrafić wyciosać stylisko i rozwieść piłę. Tym bardziej, jeżeli trzeba to robić obok gorącego pieca.

- To znaczy, że i ty...

- To nic nie znaczy. Nabierzemy ich na dwa dni, a potem - co ci do tego, co będzie potem. Nabierzemy ich tylko na jeden dzień i jutro cofną nas do brygady. Ledwie we dwójkę otworzyli przymarzniałe drzwi. Pośrodku stolarskiego warsztatu płonął rozpalony do czerwoności piecyk i pięciu stolarzy bez waciałów i czapek pracowało przy swoich warsztatach. Przybysze uklękli przed otwartymi drzwiczkami piecyka jak przed bogiem ognia, jednym z pierwszych bogów ludzkości. Zrzuciwszy rękawice, wyciągali ku ciepłu pozbawione czucia ręce, ale nie od razu to ciepło odczuli. Po upływie minuty Grigorjew i Potasznikow zdjęli czapki i nie wstając z kolan, rozpięli buszłaty.

- Po co tu przyszliście? - spytał ich nieprzyjaźnie stolarz.

- Jesteśmy cieśle. Będziemy tu pracować - powiedział Grigorjew.

- Tak zarządził Aleksander Jewgienjewicz - pospiesznie dodał Potasznikow.

- A więc to o was mówił kierownik robót, ażeby wydać wam topory? - spytał Arnsztrem, podeszły wiekiem wydawca

narzędzi, strugający w kącie trzonki do łopat.

- O nas, o nas...

- Bierzcie - powiedział Arnsztrem, przyglądając się im nieufnie. - Tu macie dwa topory, piłę i rozwieracz. Potem mi go oddacie. Oto mój topór, wyciosajcie mi stylisko. - Arnsztrem uśmiechnął się. - Dzienna norma dla mnie na styliska - trzydzieści sztuk.

Grigorjew wziął z rąk Arnsztrema klocek i zaczął go ociosywać. Zahuczała syrena na obiad. Arnsztrem, nie ubierając się, w milczeniu przypatrywał się robocie Grigorjewa.

- A teraz ty - powiedział do Potasznikowa.

Potasznikow postawił klocek na pniu, wziął z rąk Grigorjewa topór i zaczął ciosać. Stolarze poszli już na obiad i w warsztacie, oprócz ich trzech, nie było nikogo.

- Weźcie tu moje dwa styliska - Arnsztrem podał dwa gotowe styliska Grigorjewowi - nasadźcie na nie topory. Naostrzcie piłę. Dziś i jutro grzejcie się przy piecu. A pojutrze wracajcie tam, skąd przyszlście. Macie tu kawałek chleba do obiadu.

Dzisiaj i jutro grzali się przy piecu, a pojutrze mróz spadł do 30 stopni - zima się już kończyła.

INDYWIDUALNY POMIAR

Wieczorem, zwijając taśmę mierniczą, nadzorca powiedział, że nazajutrz Dugajew będzie pracował oddzielnie. Brygadziста, który stał obok, prosząc nadzorcę o kredyt „dziesięciu kubików do pojutra”, zamilkł nagle i zaczął się przyglądać rozbłyskującej za grzbietem nasypu gwieździe. Baranow, „para” Dugajewa, pomagający dotąd nadzorcy w mierzeniu wykonanej pracy, wziął łopatę i zaczął czyścić dawno wyczyszczony dół. Dugajew miał lat dwadzieścia trzy i wszystko, co tu widział i słyszał, bardziej go dziwiło, niż napawało strachem. Brygada zebrała się na apel, zdała narzędzia i w nierównym aresztanckim szyku wróciła do baraku. Ciężki dzień pracy był skończony. W stołówce Dugajew, nie siadając, wypił wprost z miski porcję cienkiego, zimnego krupniku. Chleb na cały dzień wydawano rano i nie było już po nim śladu. Chciało mu się palić. Rozejrzał się, rozmyślając, kogo poprosić o niedopałek. Pod oknem Baranow zbierał w kawałek papieru okruchy machorki wysypane z woreczka na parapet. Zebrawszy je starannie, Baranow skręcił i podał mu cieniutkiego papierosa.

- Zapal, zostawisz mi trochę - powiedział.

Dugajew zdziwił się - z Baranowem nigdy nie byli zaprzyjaźnieni. A zresztą głód, chłód i bezsenność nie sprzyjają nawiązaniu się przyjaźni. Mimo młodego

wieku Dugajew rozumiał cały fałsz przysłówia o przyjaźni sprawdzonej w nieszczęściu i biedzie. Aby przyjaźń była przyjaźnią, jej mocne podstawy muszą powstać, zanim warunki życia sięgną ostatecznej granicy, poza którą nie ma już w człowieku niczego ludzkiego, a pozostaje tylko nieufność, kłamstwo i złość. Dobrze pamiętał obozowe powiedzenie, trzy przykazania więźnia: nie wierz, nie bój się, nie proś. Chciwie wchłaniał słodki dym machorki, aż zakręciło mu się w głowie.

- Słabnę - powiedział.

Baranow nic nie odrzekł. Dugajew wrócił do baraku, położył się i zamknął oczy. Ostatnio źle sypiał, głód nie pozwalał mu spać. Sny miał szczególnie męczące: bochny chleba, tłuste, dymiące zupy. Budził się często. Półsen nadszedł późno, a mimo to już pół godziny przed pobudką oczy miał otwarte. Brygada stanęła do pracy. Każdy zajął swoje miejsce.

- A ty poczekaj - powiedział do niego brygadzista. - Tobie pracę wyznaczy nadzorca.

Dugajew usiadł na ziemi. Był już tak znużony, że wszelka zmiana była mu obojętna. Zadudniły pierwsze taczki na deskach, zazgrzytały łopaty o kamień.

- Chodź no tu - powiedział nadzorca. - Tu jest twoje miejsce.

Wymierzył kawał ściany i postawił znak, bryłkę kwarcu.

- Dotąd - powiedział. - Przeciągnie ci się tu deskę do głównego trapu, tam masz wozić. To wszystko. Masz tu łopatę, kilof, łom, taczkę i jazda.

Dugajew posłusznie zaczął pracować. Tak nawet lepiej, pomyślał. Nikt ze współtowarzyszy nie będzie go kłął za to, że źle pracuje. Ci byli wieśniacy nie muszą ani wiedzieć, ani rozumieć, że jest nowicjuszem, że od razu po szkole poszedł na uniwersytet, a z ławy uniwersyteckiej tu, do roboty. Bliższa koszula ciału. Nie mają obowiązku, nie muszą wiedzieć, że od dawna już jest głodny i osłabiony, że nie umie kraść; umieć kraść to główna cnota obozowa, poczynając od chleba współwięźnia, a kończąc na wielotysięcznych premiach, które zarząd obozu przyznaje sobie za nieistniejące osiągnięcia. Nikomu nic do tego, że nie może wytrzymać szesnastogodzinnego dnia pracy. Dugajew woził, kopał, ładował, znów woził i znów kopał i ładował. Po przerwie obiadowej przyszedł nadzorca, popatrzył na to, co Dugajew zrobił, i odszedł bez słowa... Dugajew znów kopał i ładował. Do kawałka kwarcu było jeszcze bardzo daleko. Wieczorem nadzorca znów przyszedł i rozwinął taśmę. Zmierzył to, co zrobił Dugajew.

- Dwadzieścia pięć procent - powiedział i spojrzął na niego. - Dwadzieścia pięć procent. Słyszysz?!

- Słyszę - odpowiedział Dugajew.

Zdziwiła go ta liczba. Praca była tak ciężka, łopata nabierała tak mało kamienia, tak ciężko było wbijać łom. Wydawało mu się, że dwadzieścia pięć procent normy to bardzo dużo. Doskwierały mu łydki, od ciężaru taczki nieznośnie bolały ręce, ramiona, głowa. Uczucie głodu dawno minęło. Jadł, bo widział, że inni jedzą. Nie chciało mu się jeść.

- No cóż - powiedział nadzorca, odchodząc - bywaj zdrów.

Wieczorem Dugajewa wezwano do śledczego. Odpowiedział na cztery pytania: imię, nazwisko, paragraf, wyrok. Cztery pytania zadawane więźniowi trzydzieści razy dziennie. Potem poszedł spać. Następnego dnia znów pracował z brygadą, z Baranowem, a nocą poprowadzili go żołnierze za stajnię, potem ścieżką przez las do miejsca, gdzie niemal przegradzając niewielki wąwóz, wznosił się wysoki płot z naciągniętym górami drutem kolczastym i skąd nocami dochodził daleki warkot traktorów. I zrozumiał, że pożałował, że niepotrzebnie pracował, niepotrzebnie męczył się dzisiaj, ostatniego dnia.

PRZESYŁKA

Przesyłki wydawano na wartowni. Tożsamość odbiorcy poświadczali brygadziści. Dykta pękała i trzeszczała po swoim, po dykcianemu. Drzewa

tutejsze łamały się nie tak, nie takim głosem krzyczały. Spoza bariery utworzonej z ławek ludzie z czystymi rękami i w przesadnie starannych wojskowych mundurach wykrzykiwali, sprawdzali, wytrząsali, wydawali. Skrzynki z przesyłkami, ledwo żywe na skutek wielomiesięcznej podróży, umiejętnie podrzucone padały na podłogę i się rozlatywały. Kawałki cukru, suszone owoce, nadgniła cebula, zmięte paczki machorki rozsypywały się po podłodze. Nikt tego nie podnosił. Właściciele przesyłek nie protestowali. Otrzymanie przesyłki było cudem ponad cudy. Koło wartowni stali konwojenci z karabinami w rękach – w białej mroźnej mgle poruszały się jakieś niezbrane figury. Stałem przy ścianie i oczekiwałem na swoją kolej. Te niebieskie kawałki to przecież nie lód! To cukier! Cukier! Cukier! Za godzinę będę trzymać w rękach takie kawałki i będą się one roztopiać tylko w ustach. Taki duży kawałek wystarczy na dwa, trzy razy. A machorka? Własna machorka! Machorka ze stałego ładu, jarosławska „Bielka” lub „Kriemieńczug nr 2”. Będę palić, będę częstować wszystkich, a przede wszystkim tych, u których dopalałem okurki przez cały rok. Machorka ze stałego ładu! Nam dawano przecież w przydziale tytoń, usunięty z wojskowych magazynów na skutek przeterminowania – wydarzenie o

gigantycznej skali: dla łagrów skreślano ze stanu wszystkie produkty, które nie przetrzymywały „okresu przechowywania”. Teraz jednak będę palił prawdziwą machorkę. Przecież jeśli żona nie wie, że potrzebna jest jak najmocniejsza machorka, to jej podpowiedzą.

– Nazwisko?

Paczka trzasnęła i z pudła wysypały się śliwki, pomarszczone śliwy. A gdzie jest cukier?! I śliwek tylko dwie, trzy garstki.

– Masz burki! Z gumową podeszwą, ha, ha, ha! Takie jak ma naczelnik odkrywki kopalnianej! Trzymaj, odbieraj!

Stałem zdetonowany. Po co mi burki? Tutaj można chodzić w burkach tylko od święta – a świąt przecież nie było. Gdyby tak buty ze skóry renifera, z futra lub chociaż zwykłe walonki. Burki to nadzwyczaj szykownie... to nawet nie przystoi. A przy tym...

– Słuchaj, ty. – czyjaś ręka dotknęła mojego ramienia.

Obróciłem się w taki sposób, aby mieć na widoku i burki, i skrzynkę, na której dnie było trochę śliwek, i władzę, i twarz tego człowieka, który trzymał mnie za ramię. To był Andrzej Bojko, nasz nadzorca górniczy. Bojko zaś szeptał pospiesznie:

– Sprzedaj mi te burki. Dam ci pieniądze. Sto rubli. Przecież ty nawet do baraku nie doniesiesz, odbiorą, wyrwą tamci. –

Bojko wskazał palcem białą mgłę. - A i w baraku też ci ukradną. W pierwszą noc.

Ty sam podeślesz, pomyślałem.

- No, dobrze, dawaj pieniądze.

- Widzisz, jaki ja jestem! - Bojko odliczył pieniądze. - Nie oszukuję ciebie tak jak inni. Powiedziałem sto i daję sto.

Bojko bał się, że przepłacił. Złożyłem brudne papierki w czworo, jeszcze raz zgiałem i schowałem do kieszeni spodni. Śliwki wysypałem ze skrzynki do buszlatu - kieszenie jego były już dawno wyrwane na kapciuchy. Kupię masło! Kilogram masła! I będę jeść z chlebem, z zupą, z kaszą. I cukru! I od kogoś zdobędę torbę - torebkę ze skórzanym sznurkiem.

Nieodzowna przynależność każdego szanującego się więźnia, więźnia frajera.

Błatniacy nie chodzą z torebkami. Powróciłem do baraku. Wszyscy leżeli na pryczach, jedynie Jefremow siedział, położywszy ręce na ostygniętym piecyku, podążając twarzą za znikającym ciepłem, bojąc się wyprostować, oderwać się od piecyka.

- Dlaczego nie rozpalasz?

Podszedł sprzątający.

- Dyżur Jefremowa! Brygadzista powiedział: niech bierze, skąd chce, a drewno musi być. Ja ci i tak spać nie pozwolę.

- Idź, póki jeszcze nie jest za późno.

Jefremow wysunął się przez drzwi baraku.

- Gdzie twoja przesyłka?

- Pomylili się...

Pobiegłem do sklepiku. Prowadzący go Szaparenko jeszcze sprzedawał. W sklepiku nie było nikogo.

- Szaparenko, daj mi chleba i masła.

- Ty mnie wykończysz. No, weź, ile ci trzeba? Cóż taki knot jak ty może mi dać?

- powiedział Szaparenko.

- Widzisz, ile mam pieniędzy?

- Bierz chleb i masło i szybko spływaj.

Zapomniałem poprosić o cukier. Kilogram masła. Chleba kilogram. Pójdę do Siemiona Szejnina. Szejnin był to dawny referent Kirowa, dotychczas jeszcze nie rozstrzelany. Kiedyś pracowałem z nim razem w jednej brygadzie, lecz los nas rozdzielił. Szejnin był w baraku.

- Jedzmy. Masło, chleb.

Zgłodniałe oczy Szejnina zabłysły.

- Zaraz, ja wrzątek.

- Nie trzeba wrzątku.

- Nie, ja zaraz... - i zniknął.

Wtenczas ktoś uderzył mnie po głowie czymś ciężkim, a kiedy oprzytomniałem i zerwałem się, torby już nie było. Wszyscy pozostali na swych miejscach i spoglądali na mnie ze złośliwą radością. Rozrywka była w najlepszym gatunku. W takich wypadkach cieszą się podwójnie: po pierwsze, że się komuś źle dzieje; po drugie, że to nie mnie. To jednak nie jest zawiść. Nie płakałem. Ledwo utrzymałem się przy życiu. Minęło trzydzieści lat i wciąż pamiętam wyraziście półciemny barak, wrogie,

rozradowane twarze moich współtowarzyszy, surowe polano na podłodze, blade policzki Szejnina. Poszedłem ponownie do sklepiku. Nie prosiłem więcej o masło i nie pytałem o cukier. Wyprosiłem chleb, wróciłem do baraku, natopiłem śniegu i zacząłem gotować śliwki. Barak już spał: stękał, chrapał, kaszlał. We trzech gotowaliśmy na piecyku, co kto miał. Swincow rozgotowywał zaoszczędzoną z obiadu skórę chleba, aby zjeść ją teraz rozmiękczoną, gorącą, i żeby potem chciwie wypić gorącą wodę ze śniegu, pachnącą deszczem i chlebem. A Gubariew nawtykał do kociołka liści zmarzniętej kapusty - szczęśliwiec i chytrus. Kapusta pachniała jak najlepszy barszcz ukraiński. Ja zaś warzyłem śliwki z przesyłki. I wszyscy nie mogliśmy nie spojrzeć do cudzych naczyń. Ktoś kopniakiem rozwarł drzwi baraku. Z obłoku mroźnej pary wyszło dwu wojskowych. Jeden młodszy - naczelnik obozu Kowalenko; drugi starszy - naczelnik kopalni Riabow. Riabow był w lotniczych burkach - w moich burkach! Z trudem uświadomiłem sobie, że to pomyłka - to były jego burki. Wymachując przyniesionym ze sobą kilofem, Kowalenko rzucił się do piecyka.

- Znowu kociołki! Ja wam zaraz pokażę kociołki! Pokażę, jak roznosić błoto! - Kowalenko przewrócił kociołek z zupą, ze skórą chleba i liśćmi kapusty, ze śliwkami, i przebił kilofem dno każdego

kociołka. Riabow grzał ręce przy rurze od pieca.

- Są kociołki, to znaczy, że jest co gotować - z głęboką rozważą powiedział naczelnik kopalni. - Jest to więc oznaka dostatku.

- Widziałbyś ty, co oni gotują - powiedział Kowalenko, rozdeptując kociołki.

Naczelnicy wyszli, a my zaczęliśmy rozginać pogniecione kociołki i zbierać każdy swoje: ja śliwki, Swincow - rozmoknięty, nieforemny chleb, Gubariew - okruchy kapuścianych liści. Wszystkośmy od razu zjedli, tak było najpewniej. Przełknąłem kilka śliwek i zasnąłem. Już dawno nauczyłem się zasypiać, zanim ogrzeją się nogi. Kiedyś nie potrafiłem, ale co może działać praktyka, doświadczenie! Sen upodabniał się do zapomnienia. Życie powracało jak senna jawa - ponownie rozwarły się drzwi: białe kłęby pary przylgnięte do podłogi, przetoczone do odległych ścian baraku, ludzie w białych i ciemnych półkożuszkach, śmierdzących świeżością, nieznoszonych, i coś, co runęło na podłogę nieruchome, lecz żywe, pokwikujące. Sprzątający, zdumiony, lecz w pozie pełnej szacunku pochylony przed kożuchami dziesiętników.

- Czy to wasz człowiek? - i nadzorca wskazał grudę brudnych szmat na podłodze.

- To Jefremow - powiedział sprzątający.

- Na drugi raz będzie wiedział, jak kraść cudze drewno.

Jefremow wiele dni przeleżał obok mnie na pryczy, dopóki go nie wywieźli. Umarł potem w miasteczku inwalidzkim. Odbili mu „wnętrze” - mistrzów w takiej robocie było na kopalni wielu. Nie skarżył się - leżał i cicho stękał.

DESZCZ

Kopaliśmy w nowym terenie trzeci dzień. Każdy miał swój rozkop, lecz w ciągu trzech dni nikt nie wgłębił się więcej niż na pół metra. Do wiecznej zmarzliny nikt na razie nie dotarł, chociaż i łomy, i kilofy podostrzano bez przerwy. Rzadki przypadek, gdy kowale nie mieli okazji do „odciągania” - pracowała tylko nasza brygada. Przyczyną wszystkiego był deszcz. Padał już trzecią dobę bez ustanku. Kamienisty grunt nie pozwalał rozpoznać, czy pada godzinę, czy miesiąc. Chłodny, drobny deszcz. Sąsiadujące z nami brygady dawno już zdjęto z pracy, ale były to brygady błatniaków; nie mieliśmy nawet siły zazdrościć. Dziesiątnik, w namokniętym ogromnym brezentowym płaszczu z kanciastym jak piramida kapturem, pojawiał się rzadko. Władza pokładała więcej nadziei w deszczu, w mokrych nahajkach z wody spadającej na nasze plecy. Przemoczeni byliśmy już od dawna - nie mogę powiedzieć, że do bielizny, bo jej nie

mieliśmy. Prymitywna, skryta kalkulacja kierownictwa polegała na tym, że deszcz i chłód zmuszają nas do pracy. Jednakże nienawiść do niej była silniejsza i każdego wieczoru dziesiętnik miotał przekleństwa, opuszczając do rozkopu swój drewniany przymiar z nacięciami. Konwój pilnował nas, ukrywając się pod „grzybem”, znaną łagrową budowlą. Nie mogliśmy wychodzić z rozkopów, zastrzelono by nas. Nie mogliśmy krzyczeć jeden do drugiego, zastrzelono by nas również. Staliśmy więc, milcząc, po pas w ziemi, w kamienistych jamach rozciągających się jako długie pasmo rozkopów wzdłuż brzegów wyschniętego strumienia. W ciągu nocy nie zdążaliśmy wysuszyć naszych buszłatów, a gimnastiki i spodnie suszyliśmy w ciągu nocy na ciele, i to nam się udawało. Głodny i zły, wiedziałem jednak, że nikt na świecie nie zmusi mnie do samobójstwa. Właśnie wtedy zacząłem rozumieć istotę wielkiego instynktu życia – cechy, którą w najwyższym stopniu obdarzony jest człowiek. Widziałem nasze konie, jak padały z wycieńczenia i „umierały” – nie mogę tego wyrazić inaczej, użyć innego czasownika. Konie niczym nie odróżniały się od ludzi. Umierały od północnego zimna, od pracy ponad siły, złego jedzenia, bicia – i chociaż wszystko to przypadało im w tysiącokrotnie mniejszym wymiarze niż ludziom, umierały wcześniej

od nich. Zrozumiałem to, co najważniejsze: że człowiek stał się nim nie dlatego, iż jest stworzeniem Bożym, i nie dlatego, że ma dziwny wielki palec u każdej ręki. Dlatego, że był fizycznie silniejszy, bardziej wytrzymały niż wszystkie zwierzęta i jeszcze dlatego, że potrafił zmusić swoje duchowe siły do służby siłom fizycznym. W owym rozkopic myślałem o tym wszystkim już setki razy. Wiedziałem, że nie skończę ze sobą, gdyż sprawdziłem tę swoją życiową siłę. W podobnym rozkopic, tylko że głębokim, odkryłem niedawno za pomocą kilofa ogromny kamień. Wyzwalałem ten ogrom kamienia ostrożnie przez wiele dni. Zamierzałem z tego niedobrego ciężaru stworzyć coś pięknego – zgodnie ze słowami rosyjskiego poety. Myślałem, że uratuję swe życie, łamiąc sobie nogę. Zaprawdę, był to wspaniały zamiar – w pełni estetycznego pochodzenia. Kamień powinien był runąć i rozkruszyć moją nogę. I wtedy – na zawsze jestem inwalidą!

Ten namiętny cel należało wesprzeć obliczeniem, przygotowałem więc miejsce, gdzie podstawię nogę; wyobrażałem sobie, jak leciutko poruszę kilofem... kamień runie. Dzień, godzina i minuta były wyznaczone... nadeszły. Podstawiłem nogę pod zwisający kamień, sam siebie pochwaliłem za spokój, uniosłem rękę i obróciłem założony za kamień kilof niczym dźwignię. Kamień spełził ze ścianą w wyznaczone miejsce. Jednakże – sam nie

wiem, jak to się stało - szarpnąłem nogę w bok. W ciasnym rozkopie została jedynie potracona. Dwa siniaki, trzy zadraśnięcia - to cały rezultat tak dobrze przemyślanego dzieła. I wtedy zrozumiałem, że nie nadaję się ani do samookaleczenia, ani do samobójstwa. Pozostało tylko oczekiwanie, kiedy po małym niepowodzeniu nastąpi mały sukces. Najbliższym zaś „sukcesem” był koniec roboczego dnia i trzy łyki gorącej zupy. A nawet jeśli zupa będzie chłodna, to się ją podgrzeje na żelaznym piecyku; przecież posiadam kociołek - trzylitrową puszkę po konserwach. O możliwość popalenia, a raczej dopalenia, poproszę naszego sprzątającego Stiepana. Tak oto, mieszając w mózgu sprawy „gwiazdne” i drobiazgi, czekałem przemoknięty do nitki, ale spokojny. Czy takie rozmyślenia były swego rodzaju treningiem umysłu? W żadnym wypadku. Wszystko to było naturalne, to było życie. Rozumiałem, że ciało, a więc i komórki mózgowe, są niedostatecznie odżywiane. Mózg mój od dawna już jest na głodowej racji, co niewątpliwie skończy się obłędem, wczesną sklerozą lub jakoś podobnie...I było mi wesoło myśleć, że nie zdążę dożyć sklerozy. Lał deszcz. Przypomniałem sobie kobietę, która wczoraj przeszła mimo nas po ścieżynce, nie bacząc na okrzyki konwojentów. Pozdrawialiśmy ją i wydała nam się piękną - pierwsza kobieta widziana

przez nas od trzech lat. Pomachała do nas ręką, wskazała na niebo, gdzieś w róg niebieskiego sklepienia, i krzyknęła: „Już niedługo, chłopcy, niedługo!”. Odpowiedział jej radosny wrzask. Nigdy więcej już jej nie widziałem, ale wspominałem przez całe życie - że tak dobrze potrafiła nas zrozumieć i pocieszyć. Wskazała na niebo, wcale nie mając na myśli świata pozagrobowego. Nie, ona tylko pokazywała, że niewidoczne słońce kłoni się ku zachodowi, że zbliża się koniec roboczego dnia. Po swojemu powtórzyła słowa Goethego o górskich szczytach. O mądrości tej prostej kobiety, jakiejś byłej lub może aktywnej prostytutki - w tej bowiem krainie nie było żadnych kobiet oprócz prostytutek - o jej mądrości, jej wielkim sercu właśnie myślałem. Szmer deszczu stanowił dobre tło dla tych myśli. Szary, kamienny brzeg, szare góry, szary deszcz, szare niebo, ludzie w szarej, porwanej odzieży - wszystko było bardzo miękkie i bardzo zgodne jedno z drugim. Wszystko tworzyło jednolitą harmonię barw - diabelską harmonię. I wtedy rozległ się słaby okrzyk, pochodzący z sąsiedniego rozkopu. Moim sąsiadem był niejaki Rozowski, stary agronom, którego poważna specjalistyczna wiedza, podobnie jak wiedza lekarzy, inżynierów, ekonomistów, nie mogła znaleźć zastosowania. Wołał mnie po imieniu. Odezwałem się, nie zwracając uwagi na groźny gest

konwojenta, widoczny z daleka spod „grzyba”.

- Słuchajcie! - krzyczał. - Słuchajcie! Ja długo myślałem! I zrozumiałem, że nie ma sensu żyć...nie ma...

Wyskoczyłem wtedy ze swojego rozkopu i dobiegłem do niego, zanim zdążył rzucić się na konwojentów. Obydwaj zaczęli się zbliżać.

- On zachorował - powiedziałem.

W tym momencie doleciał z dala zagłuszony przez deszcz głos obozowej syreny i zaczęliśmy się ustawiać w szeregi. Pracowaliśmy razem z Rozowskim jeszcze przez pewien czas, dopóki się nie rzucił pod toczący się z góry załadowany wagonik. Podstawił nogę pod koło, lecz wagonik całkiem po prostu odtrącił go, nie pozostawiając nawet siniaka. Mimo to za próbę samobójstwa wszczęto „sprawę” i został zasądzony. Rozstaliśmy się, gdyż istnieje zasada, że po osądzeniu skazany nigdy nie zostaje skierowany tam, skąd przybył. Wynika to z obawy przed dokonaniem na gorąco zemsty wobec prowadzącego śledztwo i świadków. To mądra zasada. Jednak wobec Rozowskiego można jej było nie stosować.

KRADZIEŻ

Padał szary śnieg, niebo było szare, ziemia była szara i łańcuszek ludzi przeprawiających się z jednego śnieżnego

wzgórza na drugie rozciągał się wzdłuż horyzontu. Potem zaś trzeba było czekać, aż brygadzysta ustawi swoją brygadę tak, jak gdyby za wzgórzem ze śniegu ukryty był jakiś generał. Brygada ustawiła się parami i skrzyła ze ścieżynki stanowiącej najkrótszą drogę do domu, do baraku, na inną kopną drogę. Niedawno przejechał tędy traktor, śnieg nie zdążył jeszcze zasypać jego śladów podobnych do odcisków jakiegoś prehistorycznego zwierzęcia. Iść było znacznie trudniej niż po ścieżce, wszyscy spieszyli się, co chwila ktoś się potykał, w pośpiechu wyciągał pełne śniegu watowe burki i biegł, doganiając towarzyszy. Wtem za zakrętem, koło wielkiej zasy, pojawiła się czarna figura człowieka w ogromnym białym kożuchu. W miarę zbliżania się zobaczyłem, że zasya to niewielki stos worków mąki. Przypuszczalnie w tym miejscu ugrzązł samochód i po zrzuconiu ładunku odholowany został przez traktor. Brygada szła wprost w kierunku stróża, mijając stos szybkim krokiem. Potem nieco zwolniono i szyki się pomieszały. Potykając się w ciemności, więźniowie wkroczyli wreszcie w krąg światła wielkiej elektrycznej lampy wiszącej nad wrotami obozu. Nie zachowując większego porządku, brygada ustawiła się śpiesznie przed wrotami, skarżąc się na mróz i zmęczenie. Wszedł nadzorca, otworzył wrota, wpuszczając ludzi do zony.

Wewnątrz obozu ludzie w dalszym ciągu utrzymywali szyk, a ja wciąż nic nie rozumiałem. I dopiero nazajutrz, kiedy rozpoczęło się rozdawanie mąki za pomocą kociołka zamiast miarki, zrozumiałem, że po raz pierwszy w życiu uczestniczyłem w kradzieży. Nie wywołało to u mnie większego zakłopotania - nie było czasu, aby o tym myśleć; należało ugotować swój przydział w dowolny, dostępny nam sposób, w postaci klusek, zacierki, słynnej „szczypanki” lub całkiem po prostu: żytnich placuszków, blinów i naleśników.

KANT

Sopki były białe z sinym połyskiem, jak głowy cukru. Okrągłe i bezleśne, pokryte cienką warstwą mocno sprasowanego wiatrami śniegu. W rozpadlinach śnieg był głęboki i mocny - utrzymywał człowieka; na stokach zaś sopek jak gdyby wydymał się w postaci ogromnych pęcherzy. Były to krzaki ścielącego się po ziemi cedrowca, zaległego na zimowy sen jeszcze przed pierwszym śniegiem. To on właśnie był nam potrzebny. Ze wszystkich drzew północy bardziej od innych lubiliśmy ścielący się cedrowiec. Od dawna już rozumiały i drogi był dla mnie ten godny podziwu pośpiech, z którym uboga przyroda północy stara się podzielić z biednym jak ona człowiekiem swoim skromnym bogactwem - zakwitając dla niego wszystkimi kolorami. Zdawało

się, że wszystko rozkwitało w ciągu jednego tygodnia, jak gdyby przęścigając się, i po miesiącu, na początku lata, w promieniach nie zachodzącego prawie słońca, czerwieniło się od jagód, czerniało od ich ciemnosinego błękitu. Na krzakach nisko rosnących, tak że i ręki nie trzeba było podnosić, dojrzewała wodnista jarzębina. Miodowy górski głóg - różowe jego płatki były tutaj jedynymi kwiatami, które pachniały jak kwiaty; wszystko inne pachniało tylko wilgocią, błotem, i było to zgodne z wiosennym milczeniem ptaków, z milczeniem modrzewiowego lasu odziewającego się w zielone igliwie. Głóg zachowywał owoce aż do mrozów i spod śniegu wyciągał do nas pomarszczone, mięsiste jagody, których fioletowa sztywna skórka skrywała słodki, ciemnożółty miąższ. Znałem wesołość łóz zmieniających wielokrotnie wiosną swoje ubarwienie - to ciemnoróżowych, to bladozielonych - obciągniętych jak gdyby kolorową gienzą. Modrzewie wyciągały cienkie palce o zielonych paznokciach, wszędobylskie kiprzyce pokrywały leśne pogorzelska. Wszystko to przepiękne, ufne, szalone i spieszne - ale wszystko to było latem - gdy matowa, zielona trawa mieszała się z odblaskiem glazury omszałych, pobłyskujących w słońcu skał, które nagle stawały się ani szare, ani brązowe, lecz zielone. Zimą wszystko znikało pokryte grząskim, ostrym

śniegiem, który wiatr namiatał w rozpadliny, sprasowując go tak, że aby wejść pod górę, trzeba było wyrąbywać toporkiem stopnie. W lesie widać było człowieka na odległość wiorsty - tak wszystko było obnażone. Tylko jedno drzewo zawsze było zielone, zawsze żywe - ścielący się, wiecznie zielony cedrowiec. Przepowiadał on pogodę. Na dwadzieścia dni przed pierwszym śniegiem, kiedy dzień był jeszcze po jesiennemu ciepły i bezchmurny i nikomu nie chciało się myśleć o zbliżającej się zimie, ścielący się cedrowiec rozciągał nagle po ziemi swoje ogromne, dwusażniowe łapy, lekko zginał prosty, gruby na dwie pięści, czarny pień i płasko układał się na ziemi. Mijał dzień po drugim, zjawiał się obłok i pod wieczór kurzyła śnieżna zadymka. Jeżeli natomiast późną jesienią gromadziły się niskie, błękitnawe chmury śniegowe, dał zimny wiatr, ale cedrowiec nie kładł się, to można było mieć absolutną pewność, że śnieg nie spadnie. Gdy skończył się marzec, w kwietniu, kiedy jeszcze nawet nie pachniało wiosną i powietrze było jak w zimie rozrzedzone i suche, cedrowiec nagle podnosił się, strząsając śnieg ze swojej zielonej, nieco zrudziałej szaty. W ciągu dwóch dni zmieniał się wiatr i ciepłe strugi powietrza przynosiły wiosnę. Ścielący się cedrowiec był przyrządem bardzo dokładnym i czułym, do tego stopnia, że czasem sam się oszukiwał - podnosił się

w czasie odwilży, gdy ta się nieco przeciągnęła. Nie zdążyło się jeszcze ochłodzić, gdy on znowu układał się pośpiesznie na śniegu. Bywało i tak: rozpali się z rana jak najgorętszy ogień, aby w czasie obiadu było gdzie ogrzać nogi i ręce, nakładzie się jak najwięcej drewna i odchodzi do pracy. Po dwóch godzinach cedrowiec wyciąga spod śniegu swe gałęzie, rozpościera się, myśląc, że to już wiosna przyszła. I nie zdąży ognisko zgasnąć, gdy ponownie układa się w śniegu. Zima jest tutaj dwubarwna — sinoblade niebo i biała ziemia. Wiosną obnażają się zeszłoroczne brunatnożółte łąchmany i długo jeszcze ziemia pozostaje w tej żebraczej szacie, dopóki nowa zieleń nie przybierze na sile i nie zacznie rozkwitać burzliwie i spiesznie. I oto na progu smętnej wiosny, po nieubłaganej zimie, błyszcząca olśniewająca, oślepiająca zielenia cedrowiec. A przy tym rosną na nim orzechy — drobne cedrowe orzechy. Dziela ten smakołyk między sobą ludzie, niedźwiedzie, wiewiórki i burunduki. Wybrawszy miejsce po zawietrznej stronie sopki, naściągaliśmy gałęzi drobnych i większych, narwaliśmy suchej trawy z „wymiecin” — odsłoniętych miejsc góry, z których śnieg zerwany został przez wiatr. Przynieśliśmy ze sobą z baraku kilka dymiących głowni, zabranych przed odejściem do pracy z palącego pieca — zapalek tutaj nie było. Nosiło się te

głównie w dużej puszcze po konserwie z dorobioną rączką z drutu, bacząc uważnie, aby nie zagasły w czasie drogi. Po wyciągnięciu główni z puszek, rozdmuchaniu i zetknięciu razem tlejących końców zapoczątkowałem ognisko z suchej trawy i drobnych gałęzi. Wszystko zostało pokryte większymi gałęziami i niebawem błękitnawy dymek niepewnie pociągnął się z wiatrem. Nigdy jeszcze nie pracowałem w brygadach przygotowujących zapasy igliwia cedrowego. Praca wykonywana była ręcznie, zielone suche igły darło się jak pierze dzikiego ptactwa, napełniało nimi worki, a wieczorem oddawało wypracowany uzysk dziesiątnikowi. Następnie igliwie odwożono do tajemniczego „witaminowego kombinatu”, gdzie wygotowywano z niego ciemnożółty, gęsty i lepki ekstrakt o niewypowiedzianie wstrętnym smaku. Zmuszano nas do picia lub jedzenia (jak kto umiał) tego ekstraktu przed każdym posiłkiem. Jego smakiem psuty był nie tylko obiad, lecz również kolacja i wielu upatrywało w tym „leczeniu” dodatkowy środek łagrowego „oddziaływania”. Jednakże bez stopki tego specyfiku nie można było otrzymać obiadu – tego ostro przestrzegali. Szkorbut był wszędzie, a cedrowiec stanowił jedyne lekarstwo uznane przez medyków. Wiara pokonuje wszystko, chociaż więc później wykazano zupełną niemoc tego „preparatu” jako środka

przeciw skorbutowi i odstąpiono od niego, a „witaminowy kombinat” zamknięto, to jednak za naszych dni ludzie pili to śmierdzące świństwo, pluli i leczyli się ze skorbutu, lubo wyleczyć się nie mogli. Albo nie pili i nie powracali do zdrowia. Wszędzie była masa głogu, ale nikt go nie zbierał i nie korzystał z niego jako ze środka przeciw skorbutowi - w instrukcji z Moskwy nie wspomniano o głogu. Po upływie kilku lat zaczęto dowozić głóg z „kontynentu”, ale własnych zbiorów mimo wszystko nie podjęto. Za przedstawiciela witaminy C instrukcja uznawała igliwie cedrowca. Dzisiaj ja byłem zbieraczem tego drogiego surowca - osłabłem i ze „złotego” wykopu zostałem przeniesiony do „darcia igliwia”.

- Pochodzisz trochę na cedrowiec - powiedział z rana dyspozytor. - Dam ci kant na kilka dni.

„Kant” to określenie szeroko rozpowszechnione w łagrach. Oznacza coś w rodzaju chwilowego odpoczynku, nie pełnego (w takim przypadku mówią: on „puchnie”, „spuchł na dzisiaj”), lecz taką pracę, w czasie której człowiek nie opada z sił, pracę lekką, chwilową. Praca na cedrowcu uważana była nie tylko za lekką, ale wręcz za jedną z najłżejszych; była przy tym pracą bez nadzoru strażników. Po wielu miesiącach roboty w oblodzonych „przekrojach”, gdzie każdy przemrożony, błyszczący

kamyczek parzy ręce, po szczękaniu karabinowych zamków, ujadaniu psów i ordynarnych przekleństwach nadzorców za plecami, praca przy cedrowcu była ogromną, odczuwaną przez każdy miesiąc przyjemnością. Na cedrowiec wyprowadzano później niż zazwyczaj, do normalnej pracy, nie w ciemności. Grzejąc ręce niosące puszkę wypełnioną dymiącymi głowniami, dobrze było iść, nie śpiesząc się, w kierunku sopek; będąc takim niedosiężnym, dalekim, jak mi się wcześniej wydawało, i wznosić się wciąż wyżej, i wyżej odczuwając przez cały czas swoją nieoczekiwaną samotność i głęboką, zimową, górską ciszę – jak gdyby wszystko zło na świecie znikło i jakbyś pozostał tylko ty i twój towarzysz, i wąskie, ciemne pasemko bez końca, wiodące gdzieś wysoko w góry. Towarzysz niechętnie spoglądał na moje powolne ruchy. On od dawna już chodził na cedrowiec i słusznie widział we mnie nieumiejętnego i słabego kompana do pracy. Pracowało się bowiem parami, „zarobek” był wspólny i dzielono go po połowie.

- Ja będę rąbać, a ty siadaj drzeć igliwie – powiedział. - I ruszaj się żwawiej, bo nie wykonamy normy. A wracać stąd do wykopu nie chcę.

Narąbał gałęzi z cedrowca i przywlókł ogromny stos zielonych łap do ogniska. Odłamywałem najmniejsze gałęzie i zaczynając od góry, obdzierałem igliwie

razem z korą. Było podobne do zielonych frędzli.

- Trzeba szybciej - powiedział mój towarzysz, wracając z nowym naręczem. Sam rozumiałem, że źle pracuję, nie potrafiłem jednak szybciej. Dzwoniło mi w uszach, a odmrożone na początku zimy palce rąk od dawna doskwierały znajomym, tępym bólem. Zdierałem igły, łamałem gałązki na kawałeczki, nie obdzierając ich z kory, i wciskałem do worka. Lecz worek w żaden sposób nie chciał się napełnić. Już cała góra obdartych gałęzi, podobnych do obnażonych kości, wznosiła się koło ogniska, a worek wciąż się rozdymał i rozdymał, przyjmując ciągle nowe naręczu cedrowca. Kolega siadł pomagać i praca poszła szybciej.

- Pora do domu - powiedział nagle. - Jeszcze spóźnimy się na kolację. Na normę i tak nie wystarczy. - i wziawszy z popiołu ogniska duży kamień, wepchnął go do worka. - Tam nie rozwiążą - dodał nachmurzony. - Teraz będzie norma. Wstałem, rozrzuciłem na boki palące się gałęzie i nagrzebałem nogami śniegu na tłące węgle. Ognisko zasyczało, zgasło i od razu zrobiło się zimno. Widać było, że wieczór się zbliża. Towarzysz pomógł mi zarzucić worek na plecy. Zachwiałem się pod jego ciężarem.

- Wlecz po ziemi - powiedział towarzysz.
- Przecież na dół, nie w górę.

Ledwo zdążyliśmy dostać swą zupę. Przy tej lekkiej pracy drugie danie się nie należało.

NA SUCHEJ RACJI

Kiedyśmy doszli - cała nasza czwórka - do krynicy „Duskania”, byliśmy tak rozradowani, że prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Obawialiśmy się, że nasza wędrówka tutaj to czyjaś pomyłka, czyjś żart, że nas zawrócą do złowieszczych, zalanych zimną wodą, roztopionym lodem, kamiennych wyrobisk kopalni. Państwowe gumowe kalosze - „czunie” - nie ratowały od zimna naszych wielokrotnie odmrażanych nóg. Szliśmy po śladach traktora jak po śladach jakiegoś prehistorycznego zwierza, ale traktorowa droga skończyła się i starą wydeptaną ścieżką doszliśmy do maleńkiej zrębowej chatki z dwoma wyciętymi oknami i drzwiami zwisającymi na pojedynczych zawiasach zrobionych z przybitego gwoździami kawałka samochodowej opony. Na maleńkich drzwiach widniał ogromny drewniany uchwyt, podobny do klamki drzwi restauracyjnych w dużych miastach. Wewnątrz znajdowały się nagie prycze zrobione z okrągłaków; na gołej ziemi-podłodze walała się zakopcona, czarna puszka po konserwach. Podobne puszki, zardzewiałe i pożółkłe, walały się w dużej ilości wokół pokrytego mchem maleńkiego domku. To była izba zwiadu

górniczego; nikt w niej nie mieszkał od wielu lat. My zaś mieliśmy tu mieszkać i wyrąbać przesiekę - dostaliśmy topory i piły. Po raz pierwszy otrzymaliśmy do rąk swoje racje żywnościowe. Miałem drogocenny woreczek z kaszą, cukrem, rybą, tłuszczem. W kilku miejscach przewiązany był sznurkiem - tak jak przewiązuje się kiełbaski. Sypki cukier i kasza dwu gatunków - jęczmienna i „magara”. Sawieljew posiadał dokładnie taki sam woreczek, a Iwan Iwanowicz aż dwa, zszyte po męsku grubą fastrygą. Czwarty nasz kolega, Fiedia Szczapow, lekkomyślnie nasypał kaszy do kieszeni buszłata, a cukier zawiązał w onucy. Wyrwana wewnętrzna kieszeń buszłata służyła Fiedii jako kapciuch, do którego zbierane były znalezione niedopałki skrętów. Dziesięciodniowe racje żywnościowe wyglądały przerażająco - nie chciało się myśleć, że wszystko to trzeba będzie podzielić na całych trzydzieści części, jeżeli będziemy chcieli mieć śniadanie, obiad i kolację, lub na dwadzieścia, jeśli będziemy jeść dwa razy dziennie. Chleba zabraliśmy ze sobą na dwa dni - będzie go nam donosił dziesiętnik, ponieważ nie do pomyślenia byłaby nawet najmniejsza grupa robocza bez dziesiętnika. Kim on jest - zupełnie nas to nie interesowało. Powiedziano nam, że do czasu jego przybycia powinniśmy przygotować kwaterę. Wszystkim nam dojadło już barakowe jedzenie, gdzie za

każdym razem gotowi byliśmy płakać na widok wnoszonych na drogach do baraku cynkowanych kotłów z zupą. Byliśmy gotowi płakać ze strachu, że zupa okaże się rzadka. A gdy zdarzał się cud, że zupa była gęsta, nie chcieliśmy wierzyć i – ciesząc się – jedliśmy ją bardzo wolno; jednakże nawet po gęstej zupie pozostawał w ogrzonym żołądku ssący ból – głodowaliśmy już od dawna. Wszystkie uczucia ludzkie – miłość, przyjaźń, zazdrość, życzliwość, miłosierdzie, żądza sławy, uczciwość – odeszły od nas wraz z tym mięsem, którego pozbawieni byliśmy przez okres długotrwałego głodowania. W owej nic nieznaczącej już warstwie mięśni, która jeszcze pozostała na naszych kościach, która pozwalała nam się ruszać, jeść, oddychać, a nawet piłować pnie i nakładać łopatą kamienie i piasek do taczek, a nawet popychać taczki po niekończącym się trapie w wyrobisku złota, po wąskiej drewnianej drodze prowadzącej ku urządzeniu do przemywania – w tej warstwie mięśni mieściła się tylko złość, najbardziej długowieczne uczucie ludzkie. Sawieljew i ja zdecydowaliśmy się żyć indywidualnie. Gotowanie to specjalnego rodzaju rozkosz aresztantów. Nieporównywalna z niczym przyjemność – przygotowywać jedzenie dla siebie, swoimi rękami, a potem je jeść, choćby gorzej przyrządzone, niż zrobiłyby to wprawne ręce kucharza; nasza wiedza

kulinarna była znikoma, umiejętności kucharskich nie starczyło nawet na ugotowanie prostej zupy czy kaszy. Mimo wszystko pobieraliśmy z Sawieljewem puste puszki po konserwach, poczyścili je, opalili na ogniu, a potem coś tam moczyliśmy i warzyliśmy, ucząc się jeden od drugiego. Iwan Iwanowicz i Fiedia połączyli swoje produkty. Fiedia ostrożnie wywrócił kieszenie i przebadał każdy szew, wydlubując ziarenka kaszy brudnym, połamanym paznokciem. Wszyscy czterej byliśmy znakomicie przygotowani do podróży w przyszłość - czy to niebiańska, czy też ziemską. Wiedzieliśmy, co znaczą naukowo uzasadnione normy żywieniowe, co to takiego tabele zamienności produktów żywnościowych, według których wychodziło, że wiadro wody zastępuje kalorycznie sto gramów oleju, nauczyliśmy się pokory, oduczyliśmy się dziwić czemukolwiek, nie było w nas dumy, samolubstwa, miłości własnej, zazdrość i namiętność wydawały nam się marsjańskimi pojęciami, przy tym bzdurnymi. Znacznie ważniejsze było przyuczyć się zapinania spodni na mrozie - dorośli mężczyźni płakali, nie mogąc niekiedy tego dokonać. Rozumieliśmy, że śmierć wcale nie jest gorsza od życia, i nie baliśmy się obojga. Władawała nami wielka obojętność. Wiedzieliśmy, że w naszej mocy leży skrócenie tego życia choćby już jutro, i czasem decydowaliśmy

się to uczynić, lecz za każdym razem przeszkadzały nam jakieś drobnostki, z których składa się życie. To dzisiaj będą wydawać „sklepik” - premię w postaci kilograma chleba ; przecież głupio byłoby popełnić samobójstwo w taki dzień. To znów sprzątający z sąsiedniego baraku obiecywał popalić wieczorem, oddać zadawniony dług. Pojęliśmy, że życie, nawet najbardziej nędzne, składa się na zmianę z radości i biedy, sukcesów i niepowodzeń i że nie należy się obawiać, iż niepowodzeń będzie więcej niżli sukcesów. Byliśmy zdyscyplinowani, posłuszni swoim kierownikom. Rozumieliśmy, że prawda i kłamstwo to rodzeństwo, że na świecie istnieją tysiące prawd...Uważaliśmy się za prawie świętych, sądząc, że podczas lat spędzonych w łagrach odkupiliśmy swoje grzechy. Nauczyliśmy się rozumieć ludzi, przewidywać ich postępkę, odgadywać je. Zrozumieliśmy - i to było najważniejsze - iż nasza znajomość ludzi nie daje nam w życiu żadnych korzyści. Cóż z tego, że rozumiem, odgaduję, przewiduję postępkę innego człowieka? Przecież swojego postępowania w stosunku do niego nie mogę zmienić, nie będę donosił na takiego samego więźnia jak ja sam, cokolwiek by on uczynił.Nie będę się nawet starał o stanowisko brygadzysty, pozwalające utrzymać się przy życiu, gdyż najgorsze, co może być w łagrze, to narzucanie swojej (lub

czyjejs innej) woli drugiemu człowiekowi, takiemu samemu więźniowi jak ja. Nie będę szukał „korzystnych” znajomości, dawał łapówek. I cóż z tego, że wiem o Iwanowie, że to podły człowiek, a Pietrow to szpieg, a Zasławski to krzywoprzysięzca? Niemożność korzystania ze znanych rodzajów oręża czyniła nas słabymi w porównaniu z niektórymi sąsiadami z łagrowych prycz. Nauczyliśmy się zadowalać małym i z małych rzeczy się cieszyć. Zrozumieliśmy także coś zadziwiającego: w oczach Państwa i jego przedstawicieli człowiek silny fizycznie jest lepszy, właśnie lepszy, bardziej wartościowy moralnie, cenniejszy niż człowiek słaby - ten, który nie może wyrzucić z wykopu dwudziestu metrów sześciennych ziemi w ciągu zmiany. Ten pierwszy jest bardziej cenny moralnie niż ten drugi. Właśnie on wykonuje „procenty”, to jest wypełnia swój główny obowiązek w stosunku do państwa i społeczeństwa i dlatego jest przez wszystkich szanowany. Słuchają jego rad i liczą się z nim, jest on zapraszany na narady i zebrania, których tematyka jest daleka od zagadnień wyrzucania ciężkiej i śliskiej ziemi z oślizłych, mokrych rowów. Dzięki swojej fizycznej wyższości nad innymi staje się on siłą moralną przy rozwiązywaniu wielorakich problemów życia w łagrze. Przy tym jest on siłą moralną dopóty, dopóki przedstawia sobą siłę fizyczną. Aforyzm Pawła Pierwszego,

który brzmi: „w Rosji zdobywa sławę ten, z kim ja rozmawiam, ale też tylko dopóki z nim rozmawiam”, znalazł nowy, nieoczekiwany wyraz w wyrobiskach Dalekiej Północy. W ciągu pierwszych miesięcy swojego życia w kopalni był Iwan Iwanowicz przodującym robotnikiem – „rabotiaga”. Obecnie nie mógł pojąć, dlaczego teraz, kiedy osłabł i wygłodniał, wszyscy przy każdej sposobności go biją, wprawdzie nie bardzo boleśnie, ale jednak biją: sprzątający z baraku, fryzjer, dyspozytor, starosta, brygadzysta, konwojent. Oprócz prominentów – osób urzędowych – biją go „błatniacy-kryminaliści”. Iwan Iwanowicz był szczęśliwy, że udało mu się wydostać na tę leśną delegację. Fiedia Szczapow, ałtajski podrostek, stał się wcześniej od innych „dochodiaga”, dlatego że jego na wpół dziecięcy organizm nie zdążył jeszcze okrzepnąć. Z tego właśnie powodu Fiedia trzymał się około dwóch tygodni krócej niż inni, szybciej osłabł. Był on jedynym synem wdowy, a sędzono go za niedozwolony ubój bydła – jedynej posiadanej owcy, którą Fiedia zarżnął. Ubój taki był wbrew prawu. Fiedia dostał dziesięć lat. Praca w kopalni, pospieszna, niepodobna do pracy na wsi, była dla niego ciężka. Fiedia zachwycał się swobodnym życiem błatniaków w kopalni, jednakże było w jego naturze coś, co nie pozwalało mu na zbliżenie się ze

złodziejami. Ta zdrowa chłopska postawa, przyrodzona miłość do pracy, a nie pogarda - to mu trochę pomagało. Będąc najmłodszym spośród nas, od razu „przykleił się” do tego, kto był najstarszy i jednocześnie najbardziej wartościowy - do Iwana Iwanowicza Sawieljewa, student Moskiewskiego Instytutu Łączności, był moim krajanem z więzienia na Butyrkach. Wstrząśnięty tym wszystkim, co widział, napisał jako wierny komsomolec list z celi do „wodza” partii w przekonaniu, że tego rodzaju doniesienia do wodza dochodzą. Jego sprawa była zupełnie błaża (korespondencja z własną narzeczoną); dowodem agitacji (punkt 10. pięćdziesiątego ósmego paragrafu) były wzajemne listy narzeczonego do narzeczonej. Jego „organizacja” (punkt 11. tego samego paragrafu) składała się z dwóch osób. Wszystko to jak najbardziej poważnie zapisywano w formularzach zeznań. Jednak wszyscy myśleli, że ponad zesłanie, nawet według ówczesnych miar, Sawieljew nic więcej otrzymać nie może. W niedługim czasie po wysłaniu listu z celi - któregoś dnia, będącego dniem „podaniowym” - wywołano Sawieljewa na korytarz i wręczono mu za pokwitowaniem zawiadomienie. Prokurator naczelny informował w nim, że osobiście zajmie się jego sprawą. Potem już tylko jeden raz wezwano Sawieljewa - po to, aby wręczyć mu wyrok sądu specjalnego,

osobowo sowieszczanija: dziesięć lat łagrów. W łagrze Sawieljew „dopłynął” bardzo szybko. Do dziś nie mógł pojąć, dlaczego rozprawiono się z nim tak okrutnie. My obaj nie tyle przyjaźniliśmy się ze sobą, ile po prostu lubiliśmy razem wspominać Moskwę - jej ulice, pomniki i rzekę Moskwę muśniętą cienką warstwą ropy, lśniąca jak masa perłowa. Ani mieszkańcy Leningradu, ani Kijowa, ani Odessy nie mają pośród siebie takich wielbicieli, koneserów, miłośników. Gotowi byliśmy mówić o Moskwie bez końca...Przyniesiony przez nas żelazny piecyk postawiliśmy w izbie i mimo że było lato, rozpaliliśmy w nim. Ciepłe, suche powietrze miało niezwykły, cudowny aromat. Każdy z nas przywykł oddychać kwaśnym zapachem noszonej odzieży i potu - dobrze jeszcze, że łzy nie wydzielały żadnej woni. Zgodnie z radą Iwana Iwanowicza, zdjęliśmy z siebie bieliznę i zakopaliśmy ją w ziemi, oddzielnie każda koszulę i kalesony, pozostawiając jedynie wystający na zewnątrz rąbek. Był to ludowy środek przeciwko wszom, pracując bowiem w kopalni, byliśmy bezsilni w ich zwalczaniu. Rzeczywiście, do rana wszystkie wszy zebrały się na tych wystających z ziemi skrawkach. Pokryta wieczną zmarzliną ziemia odtajała na tyle, że udało się bieliznę zakopać. Był to oczywiście grunt zawierający, jak tu wszędzie, więcej

kamieni niż ziemi. Ale na tym kamienistym, zlodowaciałym gruncie wyrastały gęste rusztowania olbrzymich modrzewi, których pnie musiałyby objąć trzech ludzi - tak wielka była siła żywotna drzew, wielki pouczający przykład dawany nam przez przyrodę. Wszy spaliliśmy, przybliżając do koszul gorejące główne z ogniska. Niestety, ten przemyślny sposób nie zniszczył gnid, a zatem jeszcze tego samego dnia długo i zawzięcie wygotowywaliśmy bieliznę w wielkich puszkach po konserwach; tym razem dezynfekcja okazała się skuteczna. Z cudownymi własnościami ziemi zapoznaliśmy się później, gdy łowiliśmy myszy, kruki, mewy, wiewiórki. Mięso każdego zwierzęcia traci swój specyficzny zapach, jeśli zakopać je wstępnie do ziemi. Zatrzaszczyliśmy się o to, aby nieustannie podtrzymywać ogień - mieliśmy przecież zaledwie kilka zapalek przechowywanych przez Iwana Iwanowicza. Związał on te drogocenne zapalaki niezwykle starannie w kawałek brezentu i szmatki. Każdego wieczoru składaliśmy razem dwie płonące główne - tliły się one do rana, nie gasnąc i nie wypalając się. Gdyby były trzy - spaliłyby się. Zasadę tę znaliśmy obaj z Sawieljewem jeszcze z ławy szkolnej, a Iwan Iwanowicz i Fiedia wiedzieli o tym od dziecka (z domu). Rano dmuchaliśmy na główne, zapalał się żółty ogień i na rozpalone ognisko narzucaliśmy co

grubsze polana...Podzieliłem kaszę na dziesięć części, ale przeraziło mnie to. Nakarmienie do syta pięciu tysięcy ludzi pięcioma bochenkami chleba było prawdopodobnie łatwiejsze i prostsze do przeprowadzenia niżli dla więźnia podział dziesięciodniowego przydziału żywnościowego na trzydzieści części. Przydziały i kartki były zawsze dziesięciodniowe. Na kontynencie dawno już odtrąbiono odwrót od wszelkiego rodzaju „pięciodniówek”, „dziesięciodniówek”, „okresów nieprzerwanej pracy”, ale tutaj ten dziesiętny system utrzymywał się o wiele bardziej uparcie. Nikt tu nie uważał, że niedziele są dniami wolnymi od pracy, dniami odpoczynku dla więźniów. Zsypałem kaszę z powrotem, nie mogąc wytrzymać tej nowej dla mnie męki podziału. Poprosiłem Iwana Iwanowicza i Fiedię, aby przyjęli mnie do wspólnego kotła, i oddałem im swoje produkty. Za moim przykładem uczynił to samo Sawieljew. We czterech podjęliśmy mądrą decyzję gotowania strawy dwa razy dziennie; na trzy zdecydowanie nie starczało produktów.

- Będziemy zbierać jagody i grzyby - powiedział Iwan Iwanowicz. - Będziemy łowić myszy i ptaki, a przez parę dni w dekadzie pozostaniemy na samym chlebie.

- Ale jeśli będziemy głodzić się przez parę dni przed otrzymaniem produktów - powiedział Sawieljew - to jak potem

wytrzymać, aby nie zjeść za dużo, gdy przywiozą nam żywność?

Zadecydowaliśmy, że w żadnym przypadku nie będziemy jeść więcej niż dwa razy dziennie. W ostateczności będziemy gotować jedzenie bardziej rzadkie. Przecież tutaj nikt nas nie okradnie. Otrzymaliśmy wszystko zgodnie z przysługującą nam normą, nie mamy tutaj kucharzy-pijaków ani złodziejaskowatych magazynierów, nie ma chciwych obozowych nadzorców ani złodziei wydzierających najlepsze produkty żywnościowe, nie ma tych wszystkich niezliczonych przedstawicieli władzy, objadających i obdzierających więźniów bez żadnej kontroli, bez obaw i bez sumienia. Otrzymaliśmy należny nam tłuszcz w pełnym wymiarze, w postaci grudki „hydrotłuszczu”, otrzymaliśmy cukier-piasek, którego było mniej, niż udało mi się wypłukać złotego piasku na sicie; był też lepki, klajstrowaty chleb, nad którego wypiekiem trudzili się jedyni w swoim rodzaju mistrzowie „ciężkiej wagi”, zapewniający dodatkowe utrzymanie kierownikom piekarń. Kasze miały około dwudziestu różnych przedziwnych nazw, z którymi nie zdołaliśmy się zetknąć w ciągu całego naszego życia: „magara”, „sieczka pszeniczna” - wszystko to było zagadkowe. I jednocześnie napawające strachem. Ryby - zastępujące, zgodnie z tajemniczymi „tabelami zamiany produktów”, mięso - zapleśniałe śledzie,

miały uzupełnić wzmożony ubytek białka w naszych organizmach. Niestety, nawet te w całości otrzymane „treściwe pasze” nie mogły nas wyżywić ani nasycić. Potrzebowaliśmy trzy, cztery razy więcej - organizm każdego z nas od dawna morzony był głodem. Nie rozumieliśmy wtedy jednej prostej rzeczy. Wierzyliśmy normom i nieznane nam było powszechne spostrzeżenie kucharzy, iż łatwiej gotować dla dwudziestu osób niż dla czterech. Zupełnie jasne było dla nas tylko jedno: że produktów nie wystarczy. I to nas nawet nie tyle przerażało, ile dziwiło. Trzeba było koniecznie zacząć pracować, trzeba było wycinać przesiekę w wiatrołomach. Na północy drzewa umierają, leżąc, podobnie jak ludzie. Ich ogromne, obnażone korzenie, wczepione w kamień, podobne są do szponów gigantycznego drapieżnego ptaka. Od tych potężnych szponów biegły w dół, w kierunku wiecznej zmarzliny, tysiące maleńkich czulek, białawych odrostków pokrytych brązową ciepłą korą. Każdego lata wieczna zmarzlina cofała się odrobinę i w każdy milimetr odtajającego gruntu natychmiast wczepiały się i umacniały najdrobniejszymi włoskami te korzenie-macki. Modrzewie osiągały dojrzałość mając trzysta lat, powoli wznosząc swe ciężkie, potężne ciało, wspierające się na słabych korzeniach, rozplaszczonych na kamienistej ziemi. Silna wichura z łatwością powalała tak

niepewnie stojące drzewa. Modrzewie padały na wznak, skierowane w jedną stronę głowami, i umierały, leżąc na miękkiej, grubej warstwie mchu – zielonej lub purpurowej. Jedyne poskręcane, pozwijane, niskopienne drzewa, wymęczone nieustannym obracaniem się w kierunku słońca, ku ciepłu, trzymały się mocno, pojedynczo, oddalone jedno od drugiego. Prowadziły one tak długo wytężoną walkę o życie, że ich rozszarpywane, rozgniatane drewno nie nadawało się do niczego. Krótki, sękaty pień, omotany strasznymi narostami, jakby łubkami po złamaniach, nie nadawał się do wykorzystania w budownictwie nawet na Północy, nie stawiającej materiałom wielkich wymagań. Owe poskręcane pnie nie nadawały się nawet na drewno opałowe, gdyż opierając się uderzeniom siekiery, mogły zmęczyć każdego. Mściły się w ten sposób za swoje złamane przez Północ życie. Naszym zadaniem było zrobienie przesieki, śmiało więc zabraliśmy się do roboty. Piłowaliśmy od wschodu do zachodu słońca, zwalaliśmy, odrąbywaliśmy i znosiliśmy w sągi. Zapomnieliśmy o wszystkim, chcieliśmy zostać tu jak najdłużej; obawialiśmy się wyrobisk kopalń złota. Jednakże sągi rosły zbyt wolno i pod koniec drugiego tak wypełnionego pracą dnia okazało się, że zrobiliśmy niewiele i że więcej zdziałać – to ponad nasze siły. Iwan Iwanowicz zrobił metrowy

przymiar, równy pięciu rozpiętościom
palców, na zrąbanym,
młodym, dziesięcioletnim modrzewiu. Pod
wieczór przyszedł dziesiętnik, obmierzył
naszą pracę za pomocą swojej ponacinanej
pałeczki i pokręcił głową. Wykonaliśmy
tylko dziesięć procent normy! Iwan
Iwanowicz coś tam udowadniał, mierzył,
lecz dziesiętnik był nieustępliwy.
Burczał coś na temat „festmetrów”,
„drewna w swojej masie” – co było poza
naszymi możliwościami rozumienia. Jasne
było tylko jedno: będziemy musieli
wrócić do łagru, za druty, znowu wejść
przez bramę z państwotwórczym napisem:
„Praca jest sprawą honoru i chwały,
sprawą dzielności i bohaterstwa”.
Podobno na wrotach niemieckich obozów
koncentracyjnych widniał cytat z
Nietzschego: „Każdemu za swoje”. Beria,
naśladując Hitlera, przeszedł go jednak
w cynizmie. Łagier był miejscem, gdzie
uczono nienawiści do fizycznej pracy i
do pracy w ogóle. Najbardziej
uprzywilejowaną grupą w łagrze byli
błatniacy – czy to przypadkiem nie dla
nich praca była sprawą dzielności i
bohaterstwa? Jednakże nie baliśmy się.
Co więcej, to uznanie przez dziesiętnika
beznadziejności naszych wysiłków, naszej
fizycznej niedołężności, przyniosło nam
niebывałą ulgę, bez żadnych śladów
goryczy czy obaw. Płynęliśmy z prądem i
jednocześnie „dopływaliśmy”, jak to się
mówi w obozowym języku. Nic już nas nie

poruszało, żyło nam się łatwo we władzy cudzej woli. Nie troszczyliśmy się nawet o to, by zachować życie, i nawet śpiąc, ulegaliśmy porządkowi w łagrze. Osiągnięty dzięki przytępieniu uczuć spokój ducha przypominał o wyższego rodzaju wolności koszar, o której marzył Lawrence, lub o Tołstojowskim niesprzeciwianiu się złu – cudza wola zawsze ochraniała nasz spokój ducha. Już dawno temu staliśmy się fatalistami i nie planowaliśmy naszego życia dalej niż na dwa dni naprzód. Zgodnie z logiką, najlepiej byłoby zjeść od razu cały przydział żywności, powrócić do łagru, odsiedzieć w karczerze należną karę i wyjść do pracy w wyrobisku. Jednakże tak nie zrobiliśmy. Każda ingerencja w to, co niesie los, w wolę bogów, była czymś, co nie przystoi i sprzeczne jest z kodeksem postępowania w łagrze. Dziesiętnik odszedł, a nam pozostało wyrąbywanie przesieki, stawianie nowych sągów, jednak już bardziej spokojnie i z większą obojętnością. Teraz już nie spieraliśmy się o to, kto ma stanąć do dźwigania wierzchołka zwalonego pnia, a kto z drugiej strony – w trakcie znoszenia w stosy, zwanego w leśnej gwarze „trełowaniem”. Częściej odpoczywaliśmy, zwracaliśmy więcej uwagi na słońce, las, na bladobłękitne, wysokie niebo. Całkiem po prostu zaczęliśmy się obijać. Na drugi dzień rano udało nam się z Sawieljewem powalić

ogromny modrzew, który jakimś cudem oparł się wichurom i pożarom. Piłę rzuciliśmy wprost na trawę – zadźwięczała, potracając kamienie – a sami usiedliśmy na pniu zwalonego drzewa. – No, tak – powiedział Sawieljew – spróbujmy pomarzyć. Przeżyjemy to, pojedziemy na kontynent, szybko się zestarzejemy i zostaniemy chorowitymi staruszkami: to serce zakłuje, to bóle reumatyczne nie dadzą spokoju, to piersi zabolą; wszystko, co teraz robimy, w jakich warunkach żyjemy w młodości, wszystko to nie minie bez śladu, jeśli pozostaniemy żywi. Będziemy chorować, nie znając przyczyn chorób, będziemy stękać i chodzić po przychodniach. Praca ponad siły zadała nam rany nie do wyleczenia i całe nasze życie w podeszłym wieku będzie życiem niekończącego się i różnorodnego bólu, fizycznego i duchowego. Jednak pośród tych strasznych przyszłych dni znajdują się i takie, kiedy będziemy oddychać lżej, kiedy będziemy prawie zdrowi, a nasze cierpienia nie będą nas przerażać. Takich dni będzie niewiele. Będzie ich tyle, ile każdy z nas potrafi ich w łagrze „przemarkierować”.

– A co z „uczciwą pracą”? – spytałem.

– Do uczciwej pracy w łagrze nawołują niegodziwcy i ci, którzy nas biją, kaleczą, wyjadają naszą żywność, zmuszają do pracy żywe szkielety – aż do samej śmierci. Ta „uczciwa praca” im

przynosi korzyść, jakkolwiek oni sami jeszcze mniej w nią wierzą niż my.

Wieczorem siedzieliśmy wokół naszego miłego piecyka, a Fiedia Szczapow z uwagą wsłuchiwał się w chrypliwy głos Sawieljewa:

- No więc odmówił wykonania pracy. Sporządzono protokół: „ubrany zgodnie z porą roku”...

- A cóż to znaczy „ubrany zgodnie z porą roku”? - spytał Fiedia.

- Noo, po to, żeby nie wyliczać wszystkich zimowych czy letnich rzeczy, które masz na sobie. Nie można przecież pisać zimą w protokole, że posłano cię do pracy bez buszłata czy też rękawic. Ile razy pozostawałeś w baraku z powodu rękawic?

- U nas nie pozostawiano - nieśmiało odpowiedział Fiedia. - Naczelnik zaganiał nas wtedy do udeptywania drogi. W innym przypadku nazywałoby się to, że „nie wyszedł do pracy z powodu braku odzieży”.

- No właśnie.

- No, to opowiedz o metrze.

I Sawieljew opowiadał Fiedii o moskiewskim metrze. Nam obu z Iwanem Iwanowiczem również ciekawie się słuchało opowieści Sawieljewa, znał on bowiem takie rzeczy, których nawet ja, rodowity moskwianin, nie domyślałem się.

- Czy wiesz, Fiedia - mówił Sawieljew, ciesząc się, że mózg jego jeszcze pracuje - że mahometan zwołuje na

modlitwę muezzin z minaretu? Mahomet wybrał głos jako sygnał wzywający do modlitwy. Wypróbował on wszystko: trąby, grę na tamburynie, ognie sygnałowe, i wszystko odrzucił...W półtora tysiąca lat później, w czasie badań przydatności sygnałów dla kolei metra, okazało się, że ani świst, ani gwizd, ani syrena nie są z taką dokładnością wychwytywane przez ucho ludzkie, ucho maszynisty kolejki metra, jak głos dyżurnego ruchu wołającego: „Gotowe!”

Fiedia aż postękiwał z zachwyty. Był on najbardziej z nas wszystkich przygotowany do życia w lesie i bez względu na swój wiek bardziej doświadczony niż którykolwiek z nas. Fiedia znał ciesielkę, potrafił zbudować prostą chatkę ze zrąbanych w tajdze drzew, wiedział, jak nakłonić drzewo i gałęziami wzmocnić miejsce noclegu. Fiedia był myśliwym - w jego stronach do strzelby przywykano od dzieciennych lat. Wszystkie te zalety Fiedii zostały przez chłód i głód zniwelowane do zera, ziemia pogardzała jego wiedzą i jego umiejętnościami. Fiedia nie zazdrościł mieszczuchom, on po prostu ich podziwiał, a opowiadań o osiągnięciach techniki i innych miejskich cudach gotów był słuchać bez względu na dręczący głód. Przyjaźń nie rodzi się ani w nieszczęściu, ani w biedzie. Te „trudne” warunki życia, które - jak mówią nam bajeczki literatury pięknej - są

nieodzownym warunkiem powstawania przyjaźni, są całkiem po prostu nie aż tak trudne. Jeśli nieszczęście i bieda spowodowały zbliżenie, zrodziły przyjaźń - oznacza to, że bieda nie jest skrajna, nieszczęścia nie tak wielkie, a zmartwienie nie tak ostre i głębokie, jeśli można je dzielić z przyjaciółmi. W prawdziwej biedzie poznaje się jedynie własną wytrzymałość ducha i ciała; określone zostają granice własnych możliwości, odporności fizycznej i siły moralnej. Wszyscy rozumieliśmy, że jedynie przypadek pozwoli nam przeżyć. Dziwna sprawa - w czasach mojej młodości, kiedy trafiały się różne niepowodzenia i przegrane, mawiałem „no, ale z głodu to nie umrzemy”. Głęboko do mnie przemawiała ta fraza-pogaduszka. A w wieku trzydziestu lat znalazłem się w sytuacji człowieka naprawdę umierającego z głodu, walczącego w sposób dosłowny o kawałek chleba, i wszystko to na wiele lat przed wojną. Kiedy my czterej zetknęliśmy się ze sobą w krynicy „Duskania”, wiedzieliśmy, że nie dla przyjaźni znaleźliśmy się tutaj; wiedzieliśmy, że jeśli przeżyjemy, to nie będziemy się chętnie spotykać. Przykro nam będzie wspominać głód zaćmiewający rozum, parzenie wszy w kociołkach służących do jedzenia, nie dające się powstrzymać łągarstwa przy ognisku, zmyślenia, rojenia, gastronomiczne baśnie, wzajemne

kłótnie i jednakowe u wszystkich sny; wszystkim nam bowiem jawiło się jedno i to samo - przelatujące nad nami, jak jakieś bolidy czy też aniołowie, bochenki żytniego chleba. Człowiek żyje dzięki właściwej sobie umiejętności zapomnienia. Pamięć zawsze gotowa jest pożyć się tego, co złe, i zachować tylko to, co dobre. Nie było tego podczas naszego pobytu w krynicy „Duskania”; nie było niczego dobrego przed nami ani poza nami. Północ zatrzała nasze życie na zawsze i wszyscyśmy to dobrze rozumieli. Trzech spośród nas zaprzestało opierania się losowi, jedynie Iwan Iwanowicz odznaczał się taką samą tragiczną pilnością pracy jak poprzednio. Sawieljew próbował utemperować Iwana Iwanowicza w czasie jednej z „przerw na palenie”. „Przerwa na palenie” to najzwyklejsza przerwa na odpoczynek dla niepalących, nie mieliśmy bowiem ani razu machorki, przerwy natomiast były. W tajdze amatorzy palenia zbierali i suszyli liście czarnej porzeczki i prowadzili całe dyskusje, po aresztancku zapalczywe, który z liści bardziej „smakowity” - brusznicy czy czarnej porzeczki. Znawcy uważali, że ani jeden, ani drugi nie jest nic wart, albowiem organizm potrzebuje jadu nikotynowego, a nie zwykłego dymu, i nie można takim prostym sposobem oszukać komórek mózgowych. Ale dla przerw na palenie - „na odpoczynek” - taki liść czarnej

porzeczeki zupełnie dobrze się nadawał, gdyż w łagrze słowo „odpoczynek” w czasie pracy zbyt jaskrawo odbiega od zasadniczych praw produkcyjnej moralności, wpajanych na Dalekiej Północy.

Odpooczywać co godzinę to prowokacja i przestępstwo, ale cogodzinna „przerwa na palenie” należy do porządku rzeczy. Tak tutaj, jak i we wszystkim, co działo się na Północy, jawiąca się rzeczywistość nie zgadzała się z zasadami. Suszony liść czarnej porzeczeki był oczywistym kamuflażem.

- Posłuchaj, Iwanie - powiedział Sawieljew - opowiem ci jedną historię. W Bamłagu, na „bocznym nasypie”, woziliśmy piasek w taczkach. Odwozić trzeba było daleko, a norma wynosiła dwadzieścia pięć metrów sześciennych. Wywieziesz poniżej tego, to karna norma żywnościowa: trzysta gramów chleba. I zupka „bałanda” jeden raz dziennie. Ten zaś, kto wykona normę, otrzymuje oprócz gorącego pożywienia kilogram chleba, a do tego ma prawo dokupić za własne pieniądze w sklepiku dodatkowy kilogram. Pracowaliśmy parami, a normy były nieprawdopodobne, wobec tego wpadliśmy na taki pomysł: dzisiaj wozimy obaj na twój rachunek, z twojego wyrobiska. Wykonujemy limit. Otrzymujemy dwa kilogramy chleba oraz trzysta gramów mojej karnej normy, dla każdego po kilo sto pięćdziesiąt gramów. Jutro pracujemy na ciebie. A pojutrze znowu na mnie.

Przez cały miesiąc tak woziliśmy. Czego jeszcze chcieć od życia? Najważniejsze, że dziesiętnik był swój chłop, bo oczywiście wiedział o tym. Było to dla niego nawet korzystne, ludzie nie słabli, a urobek się nie zmniejszał. Potem jednak ktoś z kierownictwa odkrył tę sztuczkę i nasze szczęście się skończyło.

- No i co, chciałbyś tu spróbować? - spytał Iwan Iwanowicz.

- Ja nie. Całkiem po prostu tobie chcemy pomóc.

- A wy?

- Nam, kochany, już wszystko jedno.

- Mnie również. Niech przychodzi ten starszy.

Starszy, to znaczy dziesiętnik, przyszedł po paru dniach. Sprawdziły się nasze najgorsze obawy.

- No, odpoczęliście, ale przyszła pora i na przyzwoitość. Zróbcie miejsce dla innych. Wasz teren pracy to coś jakby Ozdowieńczy Punkt czy Ozdowieńcza Brygada, jakieś OP czy OB - pozwolił sobie na dowcip dziesiętnik.

- Tak - odpowiedział Sawieljew - OP, OB, wszyscy wiemy: znak na nogę i do ziemi! Pośmieliśmy się trochę dla przyzwoitości.

- No, to kiedy z powrotem?

- Pewnie jutro pójdziemy.

Iwan Iwanowicz o nic więcej nie pytał. Nocą powiesił się na rozwidlonych gałęziach drzewa, dziesięć kroków od naszej chatki. Takiego samobójstwa jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się

widzieć. Znalazł go Sawieljew, spostrzegł ze ścieżki i zaczął krzyczeć. Dziesiętnik, podbiegłszy, nie pozwolił go zdejmować do czasu przyjscia „funkcjonariuszy”, ponaglaając jednocześnie do odejścia. My obaj z Fiedią Szczapowem zbieraliśmy się bardzo zaambarasowani – Iwan Iwanowicz miał dobre jeszcze, całe onuce, woreczki, ręcznik, perkalową koszulę, z której zdążył już wygotować wszy, naprawiane watowe chodaki-burki; na pryczy leżał jeszcze jego waciak. Wszystkie te rzeczy wzięliśmy, po krótkiej naradzie, dla siebie. Sawieljew nie uczestniczył w podziale odzieży umarłego – przez cały czas chodził tylko wokół ciała Iwana Iwanowicza. Martwe ciało „na wolności” zawsze i wszędzie wywołuje jakąś dziwną ciekawość, przyciąga jak magnes. Inaczej jest w łagrze – pospolitość śmierci i stopienie uczuć anulują tę ciekawość względem zwłok. Śmierć Iwana Iwanowicza rozświetliła w duszy Sawieljewa jakieś nieznane zakątki, dotknęła, poruszyła i naprowadziła na podjęcie jakiejś decyzji.

Wszedł do chatki, wziął z kąta siekiere i przekroczył próg. Siedzący na przyzbie dziesiętnik poderwał się i zawrzeszczał niezrozumiale. Obaj z Fiedią wyskoczyliśmy na zewnątrz. Sawieljew podszedł do krótkiej i grubej kłody, na której zawsze piłowaliśmy drewno na opał. Była ona pocięta, z porąbaną korą. Położył rękę na pień, rozpostarł palce i

zamachnął się. Dziesiętnik zaczął przeraźliwie krzyczeć. Fiedia rzucił się do Sawieljewa, ale cztery palce znalazły się w trocinach. Nie było ich nawet widać pomiędzy gałązkami i szczapkami drewna. Szkarłatna krew buchnęła z kikutów. Razem z Fiedią rozzerwaliśmy koszulę po Iwanie Iwanowiczu, zrobiliśmy zacisk na rękę i opatrzyliśmy ranę. Dziesiętnik odprowadził nas do łagru. Sawieljewa - do ambulatorium na opatrunek, a potem do śledczego, aby rozpoczął sprawę o samookaleczenie. Fiedia i ja powróciliśmy do tego samego namiotu, z którego przed dwoma tygodniami wychodziliśmy pełni nadziei na oczekujące nas szczęście. Nasze górne miejsca na pryczach były już zajęte przez innych, jednakże nie przejmowaliśmy się tym - trwało lato i na dole było chyba lepiej niż na górze. Zanim przyjdzie zima, jeszcze bardzo wiele się zmieni. Zasnąłem szybko, a przebudziwszy się w nocy, podszedłem do stolika sprzątającego-dyżurnego tej nocy. Przysiadł się tam Fiedia z kawałkiem papieru w ręce. Przez ramię przeczytałem, co on tam nagryzmolił: „Mamo - pisał Fiedia - mamu, żyje mi się dobrze. Mamu, ubrany jestem zgodnie z porą roku...”.

INŻEKTOR

Kierownik odcinka „Złote źródło” Kudinow
L.W. Do Kierownika kopalni tow. A.C.

Korolowa. Raport. Zgodnie z Waszym zarządzeniem dotyczącym podania wyjaśnień w związku z sześciogodzinnym przestojem 4.brygady, do którego doszło 12 listopada br. na odcinku „Złote źródło” powierzonej Wam kopalni, donoszę, co następuje: temperatura powietrza rano wynosiła ponad 50 stopni. Termometr nasz został zniszczony przez dyżurnego nadzorcę, o czym już Wam meldowałem. Jednakże można było określić temperaturę, gdyż plwocina zamarzała w locie. Brygada została wyprowadzona na czas, ale nie mogła przystąpić do pracy, gdyż przy bojlerze obsługującym nasz odcinek przy rozgrzewaniu gruntu zupełnie odmówił pracy inżektor. O złej pracy inżektora niejednokrotnie powiadamiałem głównego inżyniera, ale nie podejmuje się żadnych środków i inżektor zupełnie się rozregulował. W chwili obecnej główny inżynier nie chce go wymienić. Zła praca inżektora spowodowała nieprzygotowanie gruntu i trzeba było brygadę trzymać przez kilka godzin bez pracy. Nie ma się u nas gdzie ogrzać, a ognisk rozpalać się nie zezwala. A na odesłanie brygady z powrotem do baraku nie zgadza się konwój. Pisałem już wszędzie, gdzie tylko można, że z takim inżektorem nie mogę dalej pracować. On już przez pięć dni tak skandalicznie pracował, a przecież od niego zależy wykonanie planu całego odcinka. Nie możemy sobie z nim poradzić, a główny inżynier nie zwraca

na to uwagi i żąda tylko kubików. Za powyższe Naczelnik odcinka „Złote źródło”, Inżynier górniczy L.Kudinow

Na raporcie, na ukos, napisano wyraźnym charakterem pisma: "za odmowę pracy w ciągu pięciu dni, która spowodowała załamanie produkcji i przestoje odcinka, ukarać z/k Inżyniera trzydniowym aresztem bez wyprowadzania do pracy, umieszczając go w kompanii o zastrzyżonym reżimie. Sprawę przekazać do organów śledczych w celu pociągnięcia z/k Inżyniera do przewidzianej przepisami odpowiedzialności. Głównemu inżynierowi Goriewowi zwracam uwagę w związku z brakiem dyscypliny w pracy. Proponuję zamienić z/k Inżyniera kimś z wolnego najmu. Naczelnik kopalni Aleksander Korolow".

APOSTOŁ PAWEŁ

Kiedy wywichnąłem stopę, spadając w szurfię ze śliskich schodków wykonanych z żerdzi, naczałstwo zrozumiało, że będę długo kuleć, a ponieważ nie można było tak siedzieć bez pracy, przeniesiono mnie jako pomocnika do naszego stolarza, Adama Fruhsorgera, z czego obaj - i on, i ja - byliśmy bardzo zadowoleni. W swym „pierwszym życiu” Fruhsorger był pastorem w jakiejś niemieckiej wsi koło Marksstadtu na Wołdze. Spotkałem się z nim na jednym z większych tranzytowych

punktów w czasie tyfusowej kwarantanny i przyjechaliśmy razem tutaj do pracy w oddziale zwiadu węglowego. Fruhsorger, podobnie jak ja, zdążył już być w tajdze, zdążył stać się „dochodiagą” i na wpeł obłąkany trafił z kopalni na punkt tranzytowy. Odesłano nas do zwiadu węglowego jako inwalidów, w charakterze „obsługi” - kadry pracowników zwiadu kompletowano jedynie wolnymi. Co prawda byli to tylko wczorajsi więźniowie, po niedawno odbytym wyroku, nazywani pogardliwie w łagrze „wolniaszkami”. Kiedy jechaliśmy tutaj, pomiędzy czterdziestu ludźmi z ledwością udało się znaleźć dwa ruble na kupno machorki, ale jednak to już nie byli ci nasi. Wszyscy rozumieli, że gdy miną dwa, trzy miesiące, oni także będą mogli się ubrać, wypić, otrzymają dowód osobisty, a może za rok pojedą nawet do domu. Te nadzieje były tym bardziej żywe, że Paramonow, naczelnik zwiadu, obiecał im ogromne zarobki i polarne racje żywnościowe. „Wszyscy pojedziecie do domu w cylindrach” - stale im powtarzał. Natomiast z nami, aresztantami, nie rozpoczynano żadnych rozmów o cylindrach i polarnych racjach żywnościowych. Zresztą naczelnik nie był w stosunku do nas ordynarny. Do pracy w zwiadzie nie dawano mu więźniów, i tych pięciu ludzi do obsługi - to było wszystko, co Paramonowowi udało się wyprosić. Kiedy wywołano nas, nie znających się jeszcze

wzajemnie, według listy z baraku, i zaprowadzono przed jasne i przenikliwe oczy Paramonowa ten, po przepytaniu nas, wydał się bardzo zadowolony. Jeden z nas był zdunem - siwowasy kpiarz z Jarosławia, Izgibin, który nie utracił w łagrze swej wrodzonej żywości. Jego fach pomagał mu trochę i dlatego nie był tak wycieńczony jak pozostali. Drugim był jednooki olbrzym z Kamieńca Podolskiego - „palacz parowozu”, jak przedstawił się Paramonowowi. „A więc potrafisz coś zrobić jako ślusarz” - powiedział Paramonow. „Potrafię, potrafię” - potwierdził skwapliwie „palacz”. On szybko zorientował się w korzyści pracy w zwiadzie zatrudniającym wolnych. Trzeci, Riazanow, był agronomem. Zawód ten wprowadził Paramonowa w zachwyt. Na porwane łachmany, stanowiące odzież agronoma, nie zwrócił oczywiście żadnej uwagi. W łagrze nie sądzi się ludzi według ich ubioru, a Paramonow dostatecznie dobrze znał łagier. Czwartym byłem ja. Nie byłem ani zdunem, ani ślusarzem, ani agronomem. Ale widocznie Paramonowa uspokoił mój wysoki wzrost, nie warto było zresztą mozolić się z poprawianiem listy z powodu jednego człowieka. Skinął więc głową. Natomiast nasz piąty zachowywał się bardzo dziwnie. Mamrotał jakieś słowa modlitwy i zakrywał rękami twarz, nie słysząc głosu Paramonowa. Ale i to nie było nowością dla naczelnika. Paramonow obrócił się do

dyspozytora, stojącego tuż obok i trzymającego w rękach plik żółtych skoroszytów – tak zwanych „akt personalnych”.

- To stolarz – powiedział dyspozytor, odgadując pytanie Paramonowa.

Przyjmowanie zostało zakończone i odprowadzono nas na teren zwiadu. Fruhsorger opowiedział mi później, że kiedy go wywołano, to pomyślał, że wołają go na rozstrzelanie, tak bardzo go zastraszył śledczy jeszcze na kopalni.

Mieszkaliśmy z nim razem przez okrągły rok w jednym baraku i nie zdarzyło się, żebyśmy się pokłócili. Jest to rzadkość w stosunkach pomiędzy aresztantami, zarówno w łagrze, jak i w więzieniu. Kłótnie wynikają z powodu byle głupstwa, wzajemne obrzucanie się wyzwiskami osiąga taki poziom, że dalej to już może być tylko nóż lub w najlepszym wypadku jakiś pogrzebacz. Ja szybko nauczyłem się jednak nie przywiązywać znaczenia do tych tak wyszukanych przekleństw. Gorączka szybko opadała i jeżeli obaj jeszcze przez jakiś czas obrzucali się leniwie wyzwiskami, odbywało się to raczej dla „porządku”, dla zachowania „twarzy”. Ale z Fruhsorgerem nie pokłóciłem się ani razu. Myślę, że to jego zasługa, gdyż nie było bardziej od niego zgodnego człowieka. Nikogo nie obrażał i niewiele mówił. Głos miał starczy, drżący, ale w jakiś sztuczny sposób podkreślający jego drżenie. Takim

głosem mówią młodzi aktorzy grający w teatrze starców. W łagrze wiele osób stara się (i nie bez powodzenia) uchodzić za starszych i fizycznie słabszych, niż nimi są naprawdę. Wszystko to robi się nie zawsze świadomie, a jakoś tak instynktownie. Ironia życia zawiera się w tym, że więcej niż połowa z tych, co dodawali sobie lat i jakby się pozbawiali sił, rzeczywiście znalazła się w stanie znacznie gorszym od tego, który miał być na pokaz. Ale w głosie Fruhsorgera nie było żadnego udawania. Codziennie, rano i wieczorem, Fruhsorger cicho się modlił, odwróciwszy się od wszystkich i utkwivszy wzrok w podłogę, a jeżeli już brał udział w ogólnych rozmowach, to jedynie na tematy religijne, a więc bardzo rzadko, gdyż aresztanci nie lubią takich tematów. Stary bezwstydnik, miły memu sercu Izgibin, próbował kiedyś pokpić sobie z Fruhsorgera, ale jego dowcipy napotykały taki spokojny uśmiech, że wszystek ich ładunek szedł na marne. Cały zwiad lubił Fruhsorgera, nawet sam Paramonow, któremu Fruhsorger zrobił wspaniałe biurko, przepracowawszy przy nim chyba z pół roku. Nasze łóżka stały obok siebie, więc często prowadziliśmy rozmowy i czasem Fruhsorger, wymachując po dziecinnemu niewielkimi rękami, wyrażał zdziwienie, zetknąwszy się z moją znajomością jakichś popularnych historii ewangelicznych - co w prostocie swej

duszy uważał za dostępne jedynie wąskiemu kręgowi religijnych ludzi. Chichotał i cieszył się, kiedy wykazywałem się znajomością tych spraw. I podniesiony na duchu, zaczął opowiadać mi te miejsca z Ewangelii, których albo nie byłem pewien, albo w ogóle o nich nic nie wiedziałem. Bardzo mu się te rozmowy podobały. Ale jednego razu, wyliczając imiona dwunastu apostołów, Fruhsorger się pomylił. Wymienił imię Pawła Apostoła jako rzeczywistego twórcy religii chrześcijańskiej, jej przywódcy i teoretyka. Znałem trochę biografię świętego Pawła i nie przepuściłem okazji, aby poprawić Fruhsorgera.

- Nie, nie - powiedział, śmiejąc się. - Pan nie wie, proszę - i zaczął wyliczać na palcach - Piotr, Paweł, Marek...

Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o apostołe Pawle. Słuchał mnie uważnie i milczał. Było już późno i należało iść spać. W nocy przebudziłem się i w migoczącym, dymiącym świetle kopciłki ujrzałem otwarte oczy Fruhsorgera i usłyszałem jego szept: „Boże, dopomóż mi - Peter, Paul, Markus...”. Do rana już nie spał i wcześniej poszedł do pracy. Powrócił późno wieczorem, kiedy już zdążyłem zasnąć. Rozbudził mnie cichy, starczy płacz. Fruhsorger modlił się, klęcząc.

- Co z panem? - spytałem, doczekawszy końca modlitwy. Fruhsorger znalazł ma

rękę i uściśnął ją.- Ma pan rację - powiedział - Pawła nie było w liczbie dwunastu apostołów. Zapomniałem o Bartłomieju.

Milczałem.

- Pan się dziwi moim łzom? - powiedział.

- To łzy wstydu. Ja nie mogę, nie powinienem zapominać takich rzeczy. To grzech, to wielki grzech. Mnie, Adamowi Fruhsorgerowi, obcy człowiek wytyka niewybaczalny błąd. Nie, nie, pan tu nic nie zawinił - to ja sam, to jest mój grzech. Ale to dobrze, że pan mnie poprawił.

- Wszystko będzie dobrze.

Ledwo go uspokoilem i od tej pory (było to krótko przed zwichnięciem stopy) staliśmy się jeszcze większymi przyjaciółmi. Jednego razu, kiedy w warsztacie stolarskim nikogo nie było, Fruhsorger wydobyl z kieszeni zatłuszczony notatnik w płóciennej oprawie i przywołał mnie skinieniem ręki do okna.

- Spójrz - powiedział, wyciągając do mnie maleńką połamaną fotografię- „momentówkę”. Było to zdjęcie młodej kobiety, z jakimś przypadkowym, jak na wszystkich „momentówkach”, wyrazem twarzy. Pożółkła, popękana fotografia była starannie oklejona kolorowym papierkiem. - To moja córka - powiedział uroczyście Fruhsorger. - Moja jedyna córka. Żona już dawno umarła. Córka co prawda do mnie nie pisze, ale pewnie nie

zna adresu. Pisałem do niej wiele razy i teraz też piszę. Tylko do niej. Nikomu tej fotografii nie pokazuję. Jeszcze z domu ją mam. Sześć lat temu wziąłem ją z komody.

W drzwiach warsztatu bezszelestnie pojawił się Paramonow.

- Czy to córka? - powiedział, szybko spojrzawszy na zdjęcie.

- Córka, obywatelu naczelniku - odrzekł, uśmiechając się, Fruhsorger.

- Pisze?

- Nie.

- Cóż to, zapomniała o starym? Napisz do mnie podanie, aby ją odzuczano, wyśle gdzie należy. Jak twoja noga?

- Kuleję, obywatelu naczelniku - odpowiedziałem.

- No, to kulej sobie, kulej - i Paramonow wyszedł.

Od tego czasu, nie kryjąc się już przede mną, Fruhsorger po ukończeniu modlitwy i położeniu się do łóżka wyciągał fotografię córki i głaskał jej barwne obramowanie. I tak żyliśmy spokojnie przez prawie pół roku, aż jednego razu przywieziono pocztę. Paramonowa nie było, gdzieś wyjechał, i pocztę przyjmował jego sekretarz, więzień Riazanow, który, jak się okazało, wcale nie był agronomem, lecz jakimś tam esperantystą, co mu zresztą nie przeszkadzało w zręcznym zdzieraniu skór z padłych koni, w wyginaniu grubych żelaznych rur po napełnieniu ich piaskiem i rozgrzaniu w

ognisku oraz w prowadzeniu kancelarii naczelnika.

- Spójrz no - powiedział do mnie - przysłali jakieś oświadczenie związane z Fruhsorgerem.

W pakiecie było oficjalne „pismo” zawierające prośbę o zapoznanie więźnia Fruhsorgera (paragraf, wyrok) z podaniem jego córki, którego kopia znajduje się w załączeniu. W podaniu krótko i jednoznacznie napisała, że po przekonaniu się, iż jej ojciec jest wrogiem ludu, wyrzeka się go i prosi, aby uznać jej pokrewieństwo za niebyłe. Riazanow pokręcił papierek w rękach. „Cóż to za paskudztwo - powiedział. - Po co jej to? Czyżby miała zamiar zapisać się do partii?”. Ja myślałem o czymś innym: po co przesyła się ojcu-aresztantowi takie oświadczenia? Czy jest to swego rodzaju sadyzm, podobny do praktykowanego zwyczaju zawiadamiania krewnych o rzekomej śmierci więźnia, czy też całkiem po prostu pragnienie przeprowadzenia wszystkiego zgodnie z prawem? A może jeszcze coś innego?

- Słuchaj, Waniuszka - powiedziałem Riazanowowi. - Czy już zarejestrowałeś pocztę?

- Skądże, dopiero co nadeszła.

- Daj mi ten pakiet - i opowiedziałem mu, o co chodzi.

- A list? - powiedział niepewnie. - Przecież ona na pewno napisze też do niego.

- To list też zatrzymasz.

- No to bierz.

Zmiałem pakiet i wrzuciłem go w otwarte drzwiczki palącego się pieca. Po miesiącu przyszedł także list, równie krótki jak podanie. Spaliliśmy go w tym samym piecu.

Wkrótce mnie dokądś wywieziono, a Fruhsorger pozostał na miejscu. Nie wiem, jak mu się dalej żyło. Często go wspominałem, dopóki starczało mi na to sił. Słyszałem wówczas jego drżący, pełen przejęcia szept „Peter, Paul, Markus...”

JAGODY

Fadiejew powiedział: „Poczekajcie no, ja sam z nim pogadam”; podszedł do mnie i postawił kolbę karabinu koło mojej głowy.

Leżałem w śniegu, trzymając w objęciach bierwiono, które upuściłem z ramienia, nie mogąc go podnieść i zająć swego miejsca w szeregu schodzących z góry ludzi - u każdego z nich spoczywało na ramieniu podobne bierwiono, „pałka drew”, u jednych większe, u drugich mniejsze.

Wszyscy, konwojenci i więźniowie, spieszyli się do domu - wszystkim dał się we znaki niekończący się zimowy dzień. A ja - leżałem w śniegu. Fadiejew zawsze zwracał się do więźniów per „pan”.

- Słuchaj pan, staruszkule - powiedział - to niemożliwe, aby takie chłopisko jak pan nie miało siły nieść takiego polana,

prawie kija, można by rzec. Pan jesteś oczywistym symulantem. Pan jesteś faszystą. Podczas gdy ojczyzna zмага się z wrogiem, pan wtykasz kij w jej szprychy.

- Nie jestem faszystą - odpowiedziałem - jestem chorym i głodnym człowiekiem. To ty jesteś faszystą.

- Przecież czytasz w gazetach, jak faszyci mordują starych ludzi. Pomyśl tylko, w jaki sposób opowiesz swojej narzeczonej o tym, co robiłeś na Kołymie? Było mi już wszystko jedno. Nie znosiłem tych rumianoliczych, krzepkich, sytych, należycie ubranych...i nie bałem się. Zwinąłem się, chroniąc brzuch, ale był to wrodzony, instynktowny odruch - wcale nie bałem się takich uderzeń. Fadiejew kopnął mnie w plecy. Zrobiło mi się nagle ciepło i zupełnie nie odczułem bólu. Jeżeli umrę - tym lepiej.

- Słuchaj no pan - powiedział Fadiejew, odwróciwszy mnie czubkiem buta twarzą ku niebu - nie jesteś pan pierwszy, z którym pracuję. Widziałem już takie towarzystwo.

Podszedł drugi konwojent, Sieroszapka.

- Ano, pokaż się, zapamiętam ciebie. Jakiś ty zły...

Zaczęło się bicie. A potem, gdy się skończyło:

- Zrozumiałeś?! - warknął Sieroszapka.

- Zrozumiałem. - podniosłem się, wypluwając krwawą ślinę. Powlokłem bierwiono, ciągnąc je w takt

podszuczowania, krzyków i przekleństw kolegów; w czasie gdy mnie bito, oni marzli. Następnego dnia z rana Sieroszapka wyprowadzał nas do pracy, do wyrąbanego jeszcze w ciągu zeszłej zimy lasu, aby zbierać wszystko, co nadaje się do palenia zimą w żelaznych piecykach. Las rąbano zimą - pozostałe po wyрубie pnie były wysokie. Karczowaliśmy, wydzierając je z ziemi za pomocą dźwigni, piłowaliśmy i składali w sągi. Na rzadko stojących wokół miejsca naszej pracy drzewach Sieroszapka porozwieszał „wiechy” wiązane z wyschniętej trawy, żółtej i szarej, zakreśliwszy w ten sposób „zakazaną strefę”. Nasz brygadzysta rozniecił dla Sieroszapki ognisko na wzgórku - w czasie pracy jedynie konwojenci mają prawo do ogniska; naściągał również drewna na zapas. Śnieg, który spadł przedtem, wydmuchały wiatry. Zastygła, oszroniona trawa ślizgała się w rękach i zmieniała swą barwę przy dotknięciu ludzkich rąk. Na pagórkach marzł górski głóg; jego ciemnoliliowe, przymrożone jagody miały niezwykły aromat. Jeszcze smaczniejsze od owoców głogu były brusznice, tknięte już mrozem, przejrzałe, szarobłękitne... Na króciutkich, prostych gałązkach zwisały jagody łochyni - jaskrawoniebieskiego koloru, zmarszczone jak pusta sakiewka, ale zawierające w sobie ciemny, niebieskoczarny sok o niewypowiedzianie dobrym smaku. Jagody

tknięte mrozem były zupełnie niepodobne do dojrzałych, soczystych jagód. Smak ich był o wiele bardziej delikatny. Rybakow, mój kolega, zbierał jagody nie tylko w czasie „przerw na palenie” - zbierał do puszki po konserwach - lecz i w chwilach, gdy Sieroszapka patrzył gdzie indziej. Jeżeli Rybakow uzbiera pełną puszkę, to kucharz oddziału strażników da mu chleba. Przedsięwzięcie Rybakowa stawało się od razu ważną sprawą. Ja nie miałem takich zamówień i sam zjadałem jagody, ostrożnie i chciwie, przyciskając każdą z nich do podniebienia; słodki, aromatyczny sok rozdużonej jagody na moment mnie odurzał. Nie miałem zamiaru pomagać Rybakowowi w zbiorze, a i on sam nie chciałby tego, bo trzeba by się dzielić chlebem. Puszka Rybakowa zapełniała się zbyt wolno, jagody pojawiały się coraz rzadziej. Niepostrzeżenie, nie zauważywszy tego, pracując i zbierając jagody, przybliżyliśmy się do granicy „strefy” - wiechy zawisły nad naszymi głowami.

- Uważaj no - powiedziałem do Rybakowa - wracamy.

A z przodu, przed nami, były kępki z owocami głogu, łożyni i brusznicy... Widzieliśmy je od dawna. Drzewo, na którym wisiała wiecha, powinno by stać dwa metry dalej. Rybakow wskazał na nienapełnioną jeszcze puszkę, na zniżające się nad horyzontem słońce i z

wolna zaczął podchodzić do czarownych jagód. Sucho szcęknał strzał i Rybaków padł między kępy twarzą w dół. Sieroszapka, wymachując karabinem, wrzeszczał:

- Pozostać na miejscu, nie podchodzić!
Sieroszapka zarepetował i wystrzelił ponownie. Wiedzieliśmy, co znaczy ten drugi wystrzał. Wiedział o tym również Sieroszapka. Powinny być dwa wystrzały, pierwszy zazwyczaj uprzedza. Rybakow leżał pomiędzy kępami, nagle zmały. Niebo, góry, rzeka były ogromne, i Bóg jeden wie, ilu ludzi można ułożyć w tych górach na ścieżkach, wśród pagórków. Puszka Rybakowa stoczyła się daleko, zdążyłem ją podnieść i schować do kieszeni. Być może dadzą mi chleba za jagody - wiem przecież, dla kogo zbierał je Rybakow. Sieroszapka spokojnie ustawił nasz niewielki oddziałek, przeliczył, wydał komendę i poprowadził do domu. Końcem karabinu szturchnął mnie w ramię - odwróciłem się.

- Miałem ochotę na ciebie - powiedział Sieroszapka - ale nie podlażłeś, swołocz!

SUKA TAMARA

Sukę Tamarę przyprowadził z tajgi nasz kowal, Mojżesz Mojżeszowicz Kuzniecowa. Sądząc po nazwisku, zawód jego był zawodem rodzinnym, Mojżesz Mojżeszowicz urodził się w Mińsku i był sierotą, co można było wywnioskować z jego imienia i

imienia ojca - u Żydów imię ojca daje się jedynie, ale też koniecznie, dzieciom urodzonym po śmierci ojca. Pracy w kuźni uczył się od małego u swego wuja - takiego samego kowala, jakim był jego ojciec. Żona Kuzniecowa była kelnerką w jednej z mińskich restauracji.

Znacznie młodsza od swego czterdziestoletniego męża, poszła za radą przyjaciółki od serca - bufetowej - i napisała na męża donos. W tamtych latach sposób ten był o wiele pewniejszy niż jakakolwiek zмова czy pomówienie, bardziej nawet pewny niż jakiś tam kwas siarkowy - mąż, Mojżesz Mojżeszowicz, znikł natychmiast. Kuzniecowa nie był zwykłym kowalem. Pracował w fabryce, był mistrzem - trochę poetą - w swoim zawodzie, z tego rodzaju kowali, którzy potrafili wykuć nawet róże. Narzędzia, którymi pracował, wykonywał własnoręcznie. Narzędzia te - szczypce, dłuta górnicze, młotki, kamieniarskie młoty - odznaczały się niewątpliwą elegancją, ukazując miłość mistrza do swego dzieła i zrozumienie duszy ukrytej w materiale. Nie była to sprawa symetrii czy asymetrii, było to coś głębszego, bardziej intymnego. Każda podkova, każdy gwóźdź były prawie wytworne, każdy każdy przedmiot wychodzący z jego rąk niósł na sobie odbicie jego mistrzostwa. Pracując nad każdym - rozstawał się z nim z żalem: zdawało mu się że należałoby uderzyć raz jeszcze, zrobić to lepiej,

właściwiej. Mimo że na potrzeby geologów nie było wiele pracy do wykonania w kuźni, Mojżesz Mojżeszowicz był bardzo ceniony przez kierownictwo. Pozwalał sobie niekiedy na żarty z władzą, ale wybaczano mu to przez wzgląd na jego dobrą pracę. Na przykład przekonał kierownictwo o tym że świdry lepiej hartują się w maśle niż w wodzie i naczelnik zapotrzebował je dla kuźni; oczywiście w znikomej ilości. Niewiele z tego wrzucał Kuzniecow do wody i wtedy koniuszki świdrów uzyskiwały miękki blask, którego zazwyczaj nie miały. Resztę masła Kuzniecow zjadał wspólnie ze swym podręcznym. Wkrótce doniesiono naczelnikowi o tych „kombinacjach” kowala, ale nie pociągnęło to za sobą żadnych represji. Później Kuzniecow, uparcie zapewniając, że „maślane” wiercenie odznacza się wysoką jakością, wyprosił u naczelnika obrzynki nadpleśniałych brył masła ze składu. Obrzynki te przetapiał i otrzymywał gorzkawe nieco, topione masło. Kowal był człowiekiem dobrym i dobrze wszystkim życzył. Nasz naczelnik obznajmiony był ze wszystkimi „subtelnościami” życia. Podobnie jak Likurg, zatroszczył się o to, aby w jego gospodarstwie w tajdze było dwóch felczerów, dwóch kowali, dwóch dziesiętników, dwóch kucharzy, dwóch buchalterów. Jeden z felczerów leczył, a drugi pracował jako zwykły robotnik i pilnował, czy jego kolega nie

dopuszcza się przypadkowo jakiegoś bezprawia. Jeśli felczer niewłaściwie posługiwał się „narkotykami” - różnymi „kodeinkami”, „kofeinkami” - zostawał zdemaskowany, ukarany i wysłany do zwykłej roboty, a jego kolega po ułożeniu i podpisaniu aktu przejęcia wprowadzał się do lekarskiego namiotu. Zgodnie z koncepcją naczelnika, rezerwowe kadry specjalistów nie tylko zapewniały zmianę w odpowiednim czasie, ale również sprzyjały utrzymaniu dyscypliny, która oczywiście od razu by upadła, gdyby choć jeden specjalista poczuł, że jest nie do zastąpienia. Lecz buchalterzy, felczerzy i dziesiętnicy zamieniali się miejscami zupełnie bezmyślnie, a już w żadnym razie nie odmawiali stopki spirytusu, nawet gdy częstował nim prowokator. Kowalowi dobranemu przez naczelnika w charakterze „przeciwwagi” Mojżesza Mojżeszowicza nie dane jednak było chwycić za młot. Mojżesz Mojżeszowicz był bez zarzutu, na niczym nie można było go przyłapać, a przy tym posiadał wysokie kwalifikacje. On właśnie natknął się na ścieżce w tajdze na nieznanego mu jakuckiego psa, podobnego do wilka; była to suka z pasmem wytartej sierści na piersiach, a więc pies pociągowy. Wokół nie było żadnej osady ani też żadnego jakuckiego koczowiska - pies pojawił się nagle na ścieżce, porażając strachem Kuzniecowa. Mojżesz Mojżeszowicz pomyślał, że to wilk, i pobiegł z

powrotem, tupiąc butami po ścieżce - za Kuzniecowerem szli inni ludzie. Lecz wilk położył się na brzuchu i kręcąc ogonem, zaczął pełznąć w ich kierunku. Pogłaskali go, pokleпали po wychudłych bokach i nakarmili. Pies pozostał u nas. Wkrótce stało się jasne, dlaczego nie odważył się szukać swych prawowitych właścicieli. Suka miała się szczeniść i jeszcze tego samego wieczoru poczęła spieszenie wygrzebywać jamę pod namiotem, odrywając się tylko na dźwięk ludzkiego głosu. Każdemu z pięćdziesięciu chciało się ją pogłaskać, przytulić, opowiedzieć i przekazać swą tęsknotę za czułością. Sam Kasajew, prowadzący prace trzydziestoletni geolog, obchodzący niedawno dziesięciolecie pracy na Dalekiej Północy, wyszedł - i nie przestając brzdąkać na swej nieodłącznej gitarze - obejrzał naszego nowego współmieszkańca.

- Niech się nazywa Bojec - powiedział.

- To suka, Walentyne Iwanowiczu - radośnie oznajmił Sławek Ganuszewicz, kucharz.

- Suka? Ach tak. No to niech się wabi Tamara. - i Kasajew oddalił się.

Pies jakby uśmiechnął się w ślad za nim i pomachał ogonem. Tamara szybko nawiązała stosunki ze wszystkimi niezbędnymi jej ludźmi. Rozumiała rolę, jaką odgrywają w naszej osadzie Kasajew i dziesiętnik Wasylenko, pojmowała wagę przyjaźni z kucharzem. Na noc

kładła się obok stróża nocnego. Szybko się wyjaśniło, że Tamara bierze jedzenie tylko z rąk i że niczego nie rusza ani w kuchni, ani w namiocie, czy są tam ludzie, czy też ich nie ma. Ten twardy charakter specjalnie rozczulał mieszkańców osady, którzy wiele widzieli i bywali w wielu sytuacjach. Kładziono przed Tamara na podłodze mięso konserwowe i chleb z masłem. Suka obwąchiwała te zapasy żywności, ale wybierała i unosiła zawsze to samo - kawałek solonego syberyjskiego łososa - to, co było jej najbliższe, najsmaczniejsze i na pewno bezpieczne. Wkrótce suka oszczeniła się - w ciemnej jamie pojawiło się sześć maleńkich szczeniąt. Zrobiono im budę i przeniesiono je tam. Tamara długo niepokoiła się, łąsała, kręciła ogonem, ale widać wszystko było w porządku, szczeniaki były całe. W tym czasie zwiad geologiczny musiał przenieść się około trzech kilometrów w góry; od bazy, w której znajdowały się składy, kuchnia, kierownictwo, dzieliło nas około siedmiu kilometrów. Budę ze szczeniętami przeniesiono na nowe miejsce i Tamara dwa, trzy razy dziennie biegała do kucharza, po czym taszczyła szczeniakom jakąś ofiarowaną przez niego kość. Szczenięta i tak by nakarmiono, ale Tamara nigdy nie była tego pewna. Zdarzyło się, że do naszej osady przybył oddział narciarzy „operatywki”,

myszkujących po tajdze w poszukiwaniu uciekinierów. Ucieczka w czasie zimy to niesłychanie rzadkie wydarzenie, ale doszły wiadomości, że z sąsiedniej kopalni uciekło pięciu więźniów, w związku z czym „przeczesywano” tajgę. Oddziałowi narciarzy oddano do dyspozycji jedyną w naszej osadzie budowlę z bierwion - łaźnię, a nie namiot podobny do takich, w jakich my mieszkaliśmy. Zbyt poważna była misja narciarzy, aby przeciwko temu protestować - wyjaśnił nam to prowadzący roboty Kasajew. Stosunek mieszkańców do nieproszonych gości był obojętnie pokorny. Jedna tylko istota okazała z tego powodu swe ostre niezadowolenie. Suka Tamara, milcząc, rzuciła się na najbliższego strażnika i przegryzła mu jeden z walonków. Sierść się na niej zjeżyła, a w oczach pojawiła się nieposkromiona wściekłość. Z trudem psa odegnano i powstrzymano. Naczelnik „grupy operacyjnej” Nazarov, o którym już wcześniej co nieco słyszeliśmy, chwycił za automat, żeby zastrzelić psa, ale Kasajew przytrzymał go za rękę i wciągnął za sobą do łaźni. Za radą cieśli Siemiona Parmienowa nałożono Tamarze sznurkową obrozę i przywiązano do drzewa - przecież ci z grupy operacyjnej nie będą tu mieszkać wiecznie. Jak każdy jakucki pies, Tamara nie umiała szczekać. Warczała, starając się przegryźć starymi kłami sznur; nie

był to już ten sam spokojny pies, który przeżył z nami zimę. Jej nienawiść była niezwykła, a spoza niej wзираła przeszłość; nie po raz pierwszy pies spotkał się z „konwojentami” - każdy to widział. Jakaż to leśna tragedia utkwiała na zawsze w psiej pamięci? Czyżby ta straszna przeszłość stała się przyczyną pojawienia się jakuckiej suki w sąsiadującej z osadą tajdze? Przepuszczalnie mógł coś na ten temat powiedzieć Nazarow. Jeśli pamiętał ludzi, to chyba i zwierzęta. Po pięciu dniach trzej narciarze odeszli, a Nazarow wraz z przyjacielem i naszym kierownikiem zbierali się wyruszyć nazajutrz. Przez całą noc pili, o świcie poprawili i poszli. Tamara zawarczała i Nazarow zawrócił. Zdjął z ramienia automat i z bliska wypuścił w psa całą serię. Tamara szarpnęła się i zamilkła. Na dźwięk strzałów biegli już z namiotów ludzie, chwytając topory i łomy. Kierownik rzucił się naprzeciw robotnikom, a Nazarow zniknął w lesie. Niekiedy życzenia się spełniają, a - być może - nienawiść tych pięćdziesięciu była tak żywiołowa i silna, że stała się realną mocą i dogoniła Nazarowa. Nazarow uciekł na nartach razem ze swoim pomocnikiem. Nie poszli korytem zamarznętej do dna rzeki - najlepszą zimową drogą do dużej szosy, odległej o dwadzieścia kilometrów od naszej osady - lecz górami przez przełęcz. Nazarow obawiał się pościgu.

Był doskonałym narciarzem, a droga przez góry była bliższa. Ściemniało się już, gdy osiągnęli przełęcz; tylko na wierzchołkach gór utrzymywał się jeszcze dzień, natomiast zagłębienia wąwozów były ciemne. Nazarow zaczął zjeżdżać. Na zboczu las gęstniał i Nazarow zrozumiał, że powinien się zatrzymać, ale narty niosły go w dół, aż wleciał na ukryty pod śniegiem, długi, wygładzony na ostro przez czas, powalony pień modrzewia. Pień rozpruł brzuch Nazarowa i przebił plecy, rozrywając szynel. Drugi strażnik był już daleko w dole; na nartach dobrnął do szosy i dopiero nazajutrz wszczął alarm. Nazarowa odnaleziono po dwóch dniach; wisiał na owym pniu zeszywniały, zastygły w ruchu, podobny do postaci z panoramy batalistycznej. Z Tamary zdjęto skórę i rozciągnięto na gwoździach wbitych w ścianę stajni. Rozciągnięto jednak źle - wyschnięta skóra skurczyła się tak, że nie sposób było pomyśleć, iż był to kiedyś duży jakucki pies pociągowy. Niedługo potem przyjechał leśniczy, aby wypełnić dokumenty związane z nieprawidłowym wyrębem lasu. Kiedy powalaliśmy drzewa, nikt nie myślał o wysokości pozostawianych pni; okazały się one wyższe, niż zezwalała norma - konieczna była dodatkowa praca. Sprawa okazała się jednak łatwa. Leśniczemu umożliwiono zakup czegoś tam w sklepiku, dano pieniądze i spirytus. Odjeżdżając,

leśniczy wyprosił jeszcze wiszącą na stajni skórę psa - wyprawi ją i uszyje północne „psie rękawice”, futrem na wierzch. Dziury po kulach nie miały według niego żadnego znaczenia.

SHERRY BRANDY

Poeta umierał. Wielkie, spuchnięte od głodu kiście rąk z białymi, bezkrwistymi palcami i brudnymi paznokciami, które poodrastały w kształcie rurek, spoczywały na piersiach, nie kryjąc się przed chłodem. Przedtem chował je za pazuchę, na gołe ciało, lecz teraz było tam zbyt mało ciepła. Rękawice skradziono mu już dawno - do tego potrzeba było jedynie bezczelności - kradziono więc w biały dzień. Zmatowiałe elektryczne słońce, opaskudzone przez muchy i zakute w okrągłą kratkę, umocowane było wysoko pod sufitem. Światło padało na nogi poety - a on leżał jak w pudle, w ciemnej głębi dolnego rzędu piętrowych nar. Od czasu do czasu palce jego rąk poruszały się, wydając suchy dźwięk, jak kastaniety, i obmacywały guzik, pętelkę, wgłębienie na buszłacie, strzepywały jakieś śmieci i ponownie nieruchomiały. Poeta tak długo umierał, że już przestał rozumieć, iż rzeczywiście umiera. Niekiedy pojawiała się, boleśnie i prawie dotykalnie przenikająca jego mózg, jakaś silna i prosta myśl - że ukradziono mu chleb,

który położył pod głową. I było to takie okropne, oblewające żarem, że gotów był się kłócić, bić, przeklinać, szukać, udowadniać. Ale nie miał na to już siły i myśl o chlebie stawała się słabsza... I od razu zaczynał myśleć o czymś innym - o tym, że wszystkich powinni wywieźć gdzieś za morze, a statek z jakiegoś tam powodu spóźnia się, i jak to dobrze, że on jest tutaj. Podobnie łatwo i niepewnie zaczynał myśleć o wielkim znamieniu na twarzy sprzątającego w baraku. Przez większą część doby rozmyślał o tych wydarzeniach, które wypełniały tutaj jego życie. Przywidzenia, które pojawiały się przed jego oczami, nie były obrazami dzieciństwa, młodości, sukcesów. Przez całe życie gdzieś się spieszył. To wspaniale, że nie trzeba się spieszyć, że można myśleć powoli. I nie spiesząc się, myślał o wielkiej jednolitości przedśmiertnych ruchów - o tym, co zrozumieli i opisali lekarze - wcześniej, niż zrobili to artyści i poeci. Twarz Hipokratesa - to przedśmiertna maska człowieka, znana każdemu studentowi wydziału lekarskiego. Ta zagadkowa jednolitość skłaniająca do najśmielszych hipotez. Jednolitość i powtarzalność - to niezbędne ugruntowanie nauki. Tego, co jest w śmierci niepowtarzalne, poszukiwali nie lekarze, lecz poeci. Przyjemna była świadomość, że jeszcze potrafi myśleć. Głodowe nudności stały

się już od dawna czymś zwykłym. I wszystko było dlań jednakowo ważne - Hipokrates, sprzątający ze znamieniem na twarzy i jego własny brudny paznokieć. Życie powracało do niego, to znów uchodziło, i wtedy umierał. Ale życie zjawiało się znowu, oczy się otwierały, pojawiały się myśli. Jedynie nie pojawiały się pragnienia. On już od dawna żył w tym świecie, gdzie często trzeba było przywracać ludziom życie - sztucznym oddychaniem, za pomocą glukozy, kamfory czy kofeiny. Martwy znów stawał się żywym. A dlaczego? On wierzył w nieśmiertelność, w prawdziwą ludzką nieśmiertelność. Często myślał o tym, że całkiem po prostu nie ma żadnych biologicznych przyczyn, z powodu których człowiek nie miałby żyć wiecznie... Starość - to tylko uleczalna choroba, i gdyby nie to, do tej chwili niewyjaśnione, tragiczne nieporozumienie - to on sam mógłby żyć wiecznie. Albo do tego momentu, aż się zmęczy. On wcale nie zmęczył się życiem. Nawet teraz, w tym etapowym baraku, w tej „tranzytce”, jak czule wymawiali to słowo tutejsi mieszkańcy. To był przedsięwzięcie zgrozy i rozpacz, ale w nim samym niczego takiego nie było. Przeciwnie, panował tu duch wolności, i wszyscy to czuli. Przed nimi był łagier, a poza nimi - więzienie. To był „pokój na drogę” i poeta rozumiał to.

Istniała jeszcze jedna droga do nieśmiertelności - Tiutczewa:

Szczęśliwy, kto
odwiedził światy
Gdy losy jego się
ważyły.

Ale jeśli już, jak widać, nie uda mu się być nieśmiertelnym, zachowując ludzką postać, jako ktoś fizycznie istniejący, to na nieśmiertelność jako twórca zasłużył na pewno. Nazywano go największym rosyjskim poetą dwudziestego wieku i on często myślał, że tak jest naprawdę. Wierzył w nieśmiertelność swych wierszy. Nie miał swoich uczniów, ale czy poeci mogą ich ścierpieć? Pisał również prozę - słabą, pisał także artykuły. Ale, jak zawsze mu się wydawało, jedynie w wierszach odkrył coś nowego i ważnego dla poezji. Całe jego przeszłe życie było literaturą, książką baśnią, snem i tylko dzień powszedni był prawdziwym życiem. Myślało mu się o tym wszystkim bez jakichś wewnętrznych sprzeciwów, odbywało się to samo z siebie, gdzieś głęboko w nim utajone. Rozmyślenia te pozbawione były pasji. Już dawno o władnęła nim obojętność. Jakie to wszystko było nieważne, jakaś „mysia krzątania” w porównaniu z niedobrym ciężarem życia. Sam się sobie dziwił - jak on może tak myśleć o wierszach, kiedy wszystko zostało już

zdecydowane, i on o tym wiedział bardzo dobrze, lepiej niż ktokolwiek. I któż to by mógł być? Komu on tu jest potrzebny i kto się może z nim równać? Po co więc należało to zrozumieć i po co on czekał...i zrozumiał. W tych chwilach, kiedy życie z powrotem pojawiała się w jego ciele jego na wpół otwarte, zmętniałe oczy zaczynały nagle widzieć, powieki zaczynały drżeć, a palce się poruszać – powracały również myśli i nie wydawało mu się, że są to już myśli ostatnie. Życie pojawiała się samo, jak pełnoprawny władca; nie przywoływał go, a mimo wszystko wnikało w jego ciało, w jego mózg, przepelniało go podobnie jak wiersze, jak natchnienie. I znaczenie tego słowa po raz pierwszy ujawniło się przed nim w pełni. Wiersze były tą życiodajną siłą, dzięki której on żył. To właśnie tak było. On nie żył dla wierszy, on żył wierszami. Teraz było to tak oczywiste, tak dotkliwie jasne, że natchnienie to właśnie było życie: przed śmiercią dane mu było poznać, że życie było natchnieniem, właśnie natchnieniem. I cieszył się z poznania tej ostatniej prawdy. Wszystko, cały świat równał się wierszom – praca, odgłosy końskich kopyt, dom, ptaki, skała, miłość – całe życie układało się w wiersze i wygodnie tam bytowało. I tak powinno być, gdyż wiersze były słowem. Strofy wierszy i teraz powstawały z łatwością, jedna za drugą, i jakkolwiek od dawna już nie

zapisywał ich i nie mógł zresztą tego
robić, to słowa pojawiały się łatwo w
jakimś zadanym i za każdym razem
niezwykłym rytmie. A rym był
czujnikiem, magnetycznym narzędziem
odnajdywania słów i pojęć. Każde słowo
było częścią świata, odpowiadało na
wezwanie rymu, i cały świat przelatywał
z prędkością właściwą elektronicznej
maszynie. Wszystko krzyczało - weź mnie.
Nie, to mnie! Niczego nie trzeba było
szukać. Jedynie odrzucać. Jakby dwaj
ludzie tu istnieli - jeden, który tworzy,
włączywszy pełne obroty, i drugi, który
wybiera i od czasu do czasu zatrzymuje
rozpędzoną maszynę. I ujrawszy w sobie
dwóch ludzi, poeta pojął, że właśnie
teraz tworzy prawdziwe wiersze. Cóż I
tego, że niezapisane? Zapisać,
wydrukować - wszystko to marność nad
marnościami. To, co najlepsze - to
bezinteresowne. Najlepsze jest to, co
nie zostało zapisane, co powstało i
znikło, roztopiło się bez śladu, i tylko
odczucie twórczej pracy, której nie
sposób z niczym pomylić, dowodzi, że
powstał wiersz, że powstało piękno. A
może się myli? Czy jego twórcza radość
nie niesie w sobie błędu? Przypomniał
sobie, jakie słabe, jak poetycko
bezradne były ostatnie wiersze Błoka, i
jak Błok tego, zdaje się, nie rozumiał.
Poeta zmusił się do powstrzymania tego
nawału myśli. Było to łatwiej zrobić tu
niż gdzieś w Leningradzie czy Moskwie.

Połapał się naraz w tym, że przecież już od dawna o niczym nie myśli. Życie uchodziło z niego ponownie. Przez długie godziny leżał nieruchomo i nagle ujrzał w pobliżu siebie coś w rodzaju tarczy strzelniczej czy też mapy geologicznej. Mapa była niema i on na próżno starał się zrozumieć, co ona przedstawia. Minęło wiele czasu, zanim się zorientował, że to – jego własne palce. Na ich koniuszkach pozostały jeszcze brązowe ślady dopalanych, wysysanych do końca machorkowych papierosów – na opuszkach wydzielały się wyraźnie linie papilarne, jakby odwzorowanie górskiego reliefu. Rysunek ich był jednakowy na wszystkich dziesięciu palcach – koncentryczne kręgi podobne do słoików ściętego drzewa. Przypomniawszy sobie, jak jednego razu, w dzieciństwie, zatrzymał go na bulwarze Chińczyk z pralni znajdującej się w suterrenach domu, w którym wyrósł. Chińczyk przypadkiem chwycił go za rękę, potem za drugą, obrócił dłonie do góry i coś w podnieceniu zawołał w swoim języku. Okazało się, że uznał go za szczęściarza, naznaczonego przez los. O tym znamieniu szczęścia poeta przypominał sobie wielokrotnie, zwłaszcza wtedy, kiedy wydrukował swoją pierwszą książkę. A teraz wspominał Chińczyka bez złości i bez ironii – było mu wszystko jedno. Najważniejsze, że jeszcze nie umarł. A przy tym, co to znaczy: umarł jak poeta? W takiej

śmierci powinno być coś dziecięco naiwnego. Albo coś rozmyślnie teatralnego - jak u Jesienina czy Majakowskiego. Umarł jak aktor - to jeszcze da się zrozumieć. Ale umarł jak poeta? Tak, on domyślał się czegoś, co było przed nim. Na punkcie tranzytowym zdążył wiele zrozumieć i odgadnąć. I cieszył się, spokojnie cieszył się z własnej bezsilności, mając nadzieję, że umrze. Przypomniawszy sobie dawny już więzienny spór, co jest gorsze, straszniejsze - łagier czy więzienie - nikt niczego naprawdę nie wiedział, argumenty były wyдумane. Przypomniawszy sobie również, jak okrutnie uśmiechał się przywieziony do tego więzienia człowiek z łagru. Zapamiętał ten uśmiech na zawsze, tak, że bał się o nim wspominać. Pomyślcie, jeśli teraz umrze, jak sprytnie ich oszuka - tych, co go tu przywieźli na całe dziesięć lat. Przed kilkoma laty był na zesłaniu i wiedział, że umieszczono go na specjalnej liście, na zawsze. Na zawsze? Skala odniesień została przemieszczona i słowa utraciły swój sens. Ponownie poczuł rozpoczynający się przypływ sił, tak właśnie jak w morzu. Wielogodzinny przypływ. A potem - odpływ. Ale morze nie odchodzi przecież od nas na zawsze. Jeszcze wyzdrowieje. Nagle zachciało mu się jeść, ale nie miał sił, aby się poruszyć. Powoli i z trudem przypomniał sobie, że oddał dzisiejszą miskę zupy

swojemu sąsiadowi, że jedynym jego pożywieniem w ciągu ostatniego dnia był kubek gorącej wody. Oczywiście oprócz chleba. Ale chleb wydawano dawno temu, bardzo dawno. A wczorajszy - ukradli. Ktoś jeszcze miał dość siły, aby móc ukraść. Leżał tak, lekki i bez czucia, aż nastąpił ranek. Elektryczne światło trochę zżółkło i przyniesiono chleb na dużych tacach z dykty, tak jak każdego dnia. Ale on już się nie denerwował, nie wypatrywał piętki, nie płakał, jeśli trafiła się innemu; nie wpychał do ust drżącymi palcami „doważonego” kawałka, który natychmiast topniał w ustach, nozdrza rozszerzały się i całe jestestwo przenikał smak i zapach świeżego, żytniego chleba. A w ustach nie było już tego kawałeczka chleba, chociaż nie zdążył go przełknąć ani też poruszyć szczękami. Kawałek chleba roztopił się, znikł i to było jak cud, jak wiele z tutejszych cudów. Nie, teraz już się nie denerwował. Kiedy jednak włożyli mu do ręki jego dobową porcję, otoczył ją bezkrwistymi palcami i przycisnął chleb do ust. Gryzł go nadwerężonymi przez skorbut zębami, dziąsła krwawiły, zęby chwiały się, ale on nie odczuwał bólu. Z całych sił przyciskał chleb do ust, wpychał go, ssał, szarpał i gryzł... Sąsiedzi powstrzymywali go:
- Nie jedz wszystkiego na raz, potem zjesz, potem...

I poeta zrozumiał. Nie wypuszczając okrwawionego chleba z brudnych sinawych palców, szeroko otworzył oczy.

- Kiedy potem? - powiedział wyraźnie i jasno. I zamknął oczy.

Umarł pod wieczór. Ale „spisali” go w dwa dni później - przez dwie doby udawało się pomysłowemu sąsiadom otrzymywać chleb za zmarłego; podnosił on rękę jak marionetka. Tak więc umarł przed oficjalną datą swej śmierci - wcale znaczący szczególnie dla jego przyszłych biografów.

DZIECINNE OBRAZKI

Wyganiano nas do pracy, nie posługując się żadnymi spisami, odliczając jedynie piątki przy przechodzeniu przez bramę. Ustawiano nas zawsze piątkami, gdyż biegłe posługiwać się tabliczką mnożenia potrafiło bardzo niewielu konwojentów. Jakiegokolwiek działanie arytmetyczne, wykonywane na mrozie, a przy tym na żywym materiale, to sprawa poważna. Miara aresztanckiej cierpliwości może się nagle przebrać i naczalstwo brało to pod uwagę. Dzisiaj mieliśmy lekką pracę, błatną - piłowanie drzewa na tarczowej pile. Piła wirowała, leciutko postukując w stojaku. Zwalaliśmy na nią ogromne bierwiono i z wolna posuwaliśmy je w kierunku piły. Piła wydawała jękliwy głos i zaczynała wściekle warczeć - jej, podobnie jak i nam, nie podobała się

praca na Północy, ale przesuwaliliśmy pień wciąż do przodu, aż rozpadał się na dwie części, dwa nieoczekiwanie lekkie kawałki. Trzeci nasz towarzysz rozłupywał drwa ciężkim niebieskawym toporem, osadzonym na długim, żółtym stylisku. Grubsze kloce rozkuwał, zaczynając od brzegu, a te cieńsze – rozrąbał jednym uderzeniem. Uderzenia były słabe – nasz kolega był tak samo głodny jak i my, ale przemarznięty modrzew rozłupuje się łatwo. Przyroda na Północy wcale nie jest pozbawiona charakteru – jest w zмовie z tymi, co nas tu przysłali. Skończyliśmy pracę, poukładali drwa i zaczęliśmy czekać na konwój. Wprawdzie nasz konwojent był na miejscu, grzał się w tym biurze, dla którego piłowaliśmy drzewo, ale do domu należało wracać w pełnej paradzie, całą grupą, która rozdzieliła się w mieście na mniejsze. Po ukończeniu pracy nie poszliśmy się grzać. Już dawno zauważyliśmy wielką kupę śmieci w pobliżu płotu – rzecz, którą nie można wzgardzić. Obydwaj moi towarzysze zręcznie, utartym sposobem zbadali śmietnik zdejmując złodowaciałe warstwy jedna za drugą. Zdobycz ich stanowiły kawałki przemrożonego chleba, zamarznęta bryłka kotletów i porwane męskie skarpety. Najcenniejszym znaleziskiem były oczywiście skarpety i żałowałem, że nie przypadły mi one w udziale. Skarpety, szaliki, rękawice,

koszule, „wolne” spodnie - „cywilne” - to wszystko stanowi wielką wartość dla ludzi noszących przez całe dziesięciolecia państwową odzież. Skarpety można było pocerować, załatać - i jest tytoń, i jest chleb. Powodzenie kolegów nie dawało mi spokoju. Również zacząłem odłamywać za pomocą rąk i nóg różnokolorowe kawałki zlodowaciałej kupy śmieci; odsunawszy jakąś szmatę, podobną do ludzkich kiszek, ujrzałem po raz pierwszy od wielu lat - uczniowski zeszyt. Był to zwykły szkolny zeszyt, dziecinny zeszyt do rysunków. Wszystkie jego stronice były zamalowane farbami, starannie i pracowicie. Przewracałem kruchy od mrozu papier, zaszronione, jaskrawe i zimne, naiwne stronice. Ja też kiedyś rysowałem - jakże to było dawno - usadowiwszy się koło siedmioliniowej naftowej lampy na obiadowym stole. Pod dotykiem czarodziejskich pędzelków ożywał martwy bohater z bajki, jakby spryskany ożywiającą wodą. Akwarelowe farby, podobne do damskich guzików, leżały w białym blaszanym pudełku. Iwan-carewicz galopował przez jodłowy las na szarym wilku. Choinki były mniejsze od wilka. Carewicz siedział na wilku tak, jak Ewenkowie jeżdżą na reniferach, dotykając prawie piętami mchu. Dym unosił się spiralą do góry, a na granatowym gwiazdzistym niebie majaczyły jakieś ptaszki, przypominające

urzędnicze znaczki. I czym wyraźniej wspominałem swoje dzieciństwo, tym bardziej stawało się jasne, że już się ono nie powtórzy, że nawet nie natknę się na jego cień w cudzym dziecięcym zeszycie. A był to groźny zeszyt. Północne miasta budowano z drewna, płoty i ściany domów malowano jasną ochrą i pędzel młodego artysty uczciwie powtarzał tę barwę wszędzie tam, gdzie chłopczyk chciał mówić o zabudowaniach ulic, o dziele ludzkich rąk. W zeszycie było bardzo, bardzo wiele płotów. Prawie na każdym rysunku równe, żółte płoty, zwieńczone czarnymi liniami drutów kolczastych, otaczały ludzi i domy. Żelazne nici wykonane według państwowego wzorca pokrywały wszystkie płoty w dziecięcym zeszycie. Koło płotów stali ludzie. Ci ludzie z zeszytu nie byli ani chłopami, ani robotnikami, ani myśliwymi - byli to żołnierze, konwojenci i wartownicy z karabinami. Podobne do grzybów, chroniące przed deszczem budki stały u stóp ogromnych wież strażniczych. A na wieżach chodzili żołnierze, rozbłyskiwały lufy karabinów. Zeszycik był niewielki, ale chłopczyk zdołał namalować w nim wszystkie pory roku w swoim rodzinnym mieście. Jaskrawa ziemia, jednostajnie zielona, jak na obrazach wczesnego Matissea, i sine, sine niebo, świeże, czyste i jasne. Zachody i wschody słońca były solidnie purpurowe, i nie wynikało to z

dziecięcej nieumiejętności znajdowania półtonów, barwnych przejść czy odkrywania sekretów światłocienia. Nie było też sztuką według recepty Gauguina, zalecającego malować wszystko to, co wywołuje wrażenie zieleni, najmocniejszym kolorem. Zestawienie barw w szkolnym zeszycie bardzo prawdziwie, oddawało koloryt nieba na Dalekiej Północy, niezwykle czysty i jasny, bez półtonów. Przypomniałem sobie starą północną legendę o Bogu, który był jeszcze dzieckiem, gdy stwarzał tajgę. Barw było w niej niewiele, ale były one po dziecinnemu czyste, rysunek prosty i jasny, a tematy niewyszukane. Później, kiedy Bóg wyrósł i stał się dorosłym, nauczył się wycinać dziwaczne wzory liści, wymyślił mnóstwo postaci różnobarwnych ptaków. Dziecięcy świat sprzykrzył mu się jednak i zasypawszy śniegiem swoje tajgowe dzieło, odszedł na południe. Tak mówiła legenda. I w zimowych rysunkach dzieciak także nie rozminął się z prawdą. Drzewa były czarne i nagie. To były daurskie modrzewie, a nie sosny i choiny z mojego dzieciństwa. Odbywało się północne polowanie: szczerzący zęby owczarek niemiecki napinał smycz, którą trzymał w ręku Iwan-carewicz. Był on w czapce uszance wojskowego kroju, w białym półkożuszku z owczej skóry i długich rękawicach - „kragach”, jak je zwa na Północy. Na plecach Iwana-carewicza

zwisał automat. W śniegu tkwiły nagie drzewa o kształcie trójkąta. Dzieciak niczego nie zobaczył ani nie zapamiętał oprócz żółtych domów, drutu kolczastego, wieżyczek strażniczych, owczarków niemieckich, konwojentów z automatami i sinego, sinego nieba. Mój towarzysz zaglądnął do zeszytu i pomacał kartki.

— Lepiej byś gazety poszukał na palenie.

— wyrwał mi z rąk zeszyt, zgniótł go i rzucił z powrotem na kupę śmieci. Zeszyt zaczął pokrywać się szronem.

SKONDENSOWANE MLEKO

Z głodu nasza zawiść, podobnie jak wszystkie inne uczucia, była tępa i bezsilna. Brakowało nam na nie siły, na to, żeby poszukać sobie łatwiejszej pracy, żeby chodzić, pytać, prosić...Zazdrościliśmy tylko znajomym, tym, z którymi razem zjawiliśmy się w tym świecie, tym, którym udało się trafić do pracy w biurze, w szpitalu, w stajni - nie było tam wielogodzinnej, ciężkiej, fizycznej pracy, wysławianej na frontonach wszystkich wrót, że jest to sprawa dzielności i bohaterstwa. Słowem - zazdrościliśmy tylko Szestakowowi. Jedynie coś z zewnątrz mogło odmienić nasze zubożenie, odwieść od zbliżającej się z wolna śmierci. To musiałaby być zewnętrzna, a nie wewnętrzna siła. Wewnątrz wszystko

się wypaliło, została pustka, było nam wszystko jedno, i poza jutrzejszy dzień nie planowaliśmy niczego. Tak było i teraz - chciało mi się pójść do baraku, lec na nary, a tymczasem sterczałem u drzwi sklepiku z żywnością. Mogli w nim kupować tylko skazani za przestępstwa „pospolite”, a także zaliczeni do „przyjaciół ludu” złodzieje-recydywiści. Nie mieliśmy tam co robić, ale nie sposób było oderwać oczu od chlebnych bochenków koloru czekolady; słodki i ciężki zapach świeżego chleba drażnił nasze nozdrza - aż w głowie się od tego kręciło. A ja stałem, nie wiedząc, kiedy znajdę w sobie dość siły, aby odejść do baraku, i patrzyłem na ten chleb. Wtedy właśnie zawołał mnie Szestakow. Znałem go jeszcze z „Wielkiej Ziemi”, z więzienia na Butyrkach; siedziałem z nim w jednej celi. Nie było między nami przyjaźni, całkiem po prostu zwykła znajomość. W kopalni Szestakow nie pracował na przodku. Był inżynierem, geologiem, więc wzięli go do pracy w zwiadzie geologicznym, czyli do biura. Szczęśliwiec, ledwie raczył się witać ze swymi znajomymi z Moskwy. Nie obrażaliśmy się - nie wiadomo, co mogli mu rozkazać w tym względzie. Własna koszula bliższa ciału itd.

- Zapal - powiedział Szestakow i podał mi kawałek oderwanej gazety, nasypał machorki, zapalił zapałkę, prawdziwą zapałkę...

Zapaliłem.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedział.

- Ze mną?

- Tak.

Odeszliśmy za baraki i usiedli na skraju starego wykopu. Moje nogi od razu stały się ciężkie, a Szestakow wesoło majtał swoimi nowiutkimi służbowymi trzewikami, zalatującymi tranem. Spodnie mu się odwinęły, odsłaniając skarpetki z wzorem szachownicy. Oglądałem jego nogi z prawdziwym zachwytem i nawet z pewną dumą - chociaż jeden człowiek z naszej celi nie nosił onuc. Ziemia pod nami trzęsła się od głuchych wybuchów - przygotowywano grunt dla nocnej zmiany. Maleńkie kamyki padały, szeleszcząc, koło naszych nóg, szare i prawie niedostrzegalne, jak ptaszki.

- Odejdźmy dalej - powiedział Szestakow.

- Nie zabijają, nie bój się. Skarpetki będą całe.

- To nie o skarpetki chodzi - powiedział Szestakow i obwiodł horyzont palcem wskazującym. - Jak ty to wszystko widzisz?

- Pewnie poumieramy - powiedziałem.

Już najmniej ze wszystkiego chciało mi się o tym myśleć.

- No, nie, nie zgadzam się umierać.

- A więc?

- Mam mapę - z wolna powiedział Szestakow.

- Wezmę robotników, zabiorę ciebie i pójdziemy na Czarne Źródła - to

piętnaście kilometrów stąd. Będę miał przepustkę. Uciekniemy w kierunku morza. Zgadzasz się? – wszystko to wyłożył mi szybkim, beznamiętnym głosem.

- A co z morzem? Popłyniemy?

- Wszystko jedno. Ważne, żeby tylko zacząć. Tak żyć nie potrafię. Lepiej umrzeć, stojąc, niż żyć na kolanach – oznajmił z namaszczeniem Szestakow. – Kto tak powiedział?

W rzeczy samej. Znajome zdanie. Ale brakowało sił, aby sobie przypominać, kto i kiedy to powiedział. Wszystko, co było w książkach, zostało zapomniane, przestano książkom wierzyć. Podwinąłem spodnie i pokazałem czerwone rany od szkorbutu.

- To właśnie w lesie je wyleczysz - powiedział Szestakow - za pomocą jagód, witamin. Przeprowadzę, znam drogę. Mam mapę.

Przymknąłem oczy i myślałem. Do morza prowadzą trzy drogi - każda długości nie mniej niż pięćset kilometrów. Nie tylko ja, ale i Szestakow nie zdoła dojsć. Chyba nie bierze mnie ze sobą w charakterze żywności. Oczywiście, że nie.

Ale dlaczego on kłamie? Wie przecież o tym nie gorzej ode mnie; nagle przestraszyłem się Szestakowa - jedyne go z nas, który dostał pracę we własnym zawodzie. Kto go tam urządził i za jaką cenę? Przecież za wszystko trzeba płacić.

Cudzą krwią, cudzym życiem.

- Zgadzam się - powiedziałem, otwierając oczy. - Tylko powinienem się odkarmić.

- No, to pięknie, pięknie. Oczywiście, że musisz się odkarmić. Przyniosę ci... konserw. Przecież u nas można...

Istnieje wiele konserw na świecie - mięsne, rybne, owocowe...Ale najlepsze ze wszystkich są mleczne - skondensowane mleko. Oczywiście, że nie należy pić rozproszanego wrzątkiem. Powinno się je jeść łyżką albo rozsmarowywać na chlebie lub też po troszkę łykać, powoli wyjadać z puszki, patrząc, jak żółknie rzadka, jasna masa i jak przylepia się do ścianki cukrowa gwiazdka.

- Jutro - powiedziałem z zapartym od szczęścia oddechem - mlecznych.

- Dobrze, dobrze. Mlecznych. - I Szestakow odszedł.

Powróciłem do baraku, położyłem się i zamknąłem oczy. Niełatwo było mi myśleć. Po raz pierwszy w całej okazałości objawił mi się fizyczny charakter naszej psychiki, w pełni odczuwalny. Myślenie sprawiało ból. Ale trzeba było myśleć. On zbierze nas wszystkich i „zda” - to zupełnie jasne. Zapłaci za swą biurową pracę naszą krwią, moją krwią. Zabija nas tam na miejscu, na Czarnych Źródłach, albo przyprowadzą żywych i osądzą - dodadzą po piętnaście lat. Przecież on nie może nie wiedzieć, że stąd uciec nie sposób. Ale mleko, zgęszczone mleko...Usnąłem i w swoim poszarpanym, głodowym śnie widziałem tę jego puszkę

ze skondensowanym mlekiem – ogromne monstrum oklejone granatowym papierem. To gigantyczne, granatowe niczym nocne niebo naczynie podziurawione było w tysiącach miejsc i wyciekało z niego mleko, tworząc szeroką strugę Drogi Mlecznej. Z łatwością dosięgałem rękami nieba i jadłem gęste, słodkie, gwiazdne mleko. Nie pamiętam, co robiłem w tym dniu i jak pracowałem. Czekałem, oczekiwałem zachodu słońca i rżenia koni, które lepiej niż ludzie odgadują koniec roboczego dnia. Chrypliwie zahuczała syrena i poszedłem do baraku, w którym mieszkał Szestakow. Oczekiwał mnie na ganku. Kieszenie jego waciaka odstawały. Siedliśmy za wielkim wyszorowanym stołem w baraku i Szestakow wyciągnął z kieszeni dwie puszki skondensowanego mleka. Rogiem siekiery przebiłem wieczko puszki. Gęsta, biała struga pociekła na wieczko i na moją rękę.

- Trzeba było przebić drugi otwór. Dla powietrza - powiedział Szestakow.

- Nie szkodzi - powiedziałem, oblizując brudne, słodkie palce.

- Dajcie łyżkę - powiedział Szestakow, obracając się do obstępujących nas robotników.

Nad stołem pojawiło się dziesięć błyszczących, wylizanych łyżek. Wszyscy stali i przyglądali się, jak jem. Nie było w tym wcale niedelikatności ani oczekiwania na poczęstunek. Nikt z nich nie spodziewał się, że podzielę się tym

mlekiem. Czegoś takiego nikt nigdy nie widział - ich zaciekawienie było zupełnie bezinteresowne, gdy patrzyli, jak jem. Ja też wiedziałem, że nie sposób nie patrzeć na jedzenie znikające w ustach innego człowieka. Usadawiłem się wygodnie i jadłem mleko bez chleba, popijając od czasu do czasu zimną wodą. Zjadłem zawartość obu puszek. Widzowie rozeszli się - widowisko było skończone. Szestakow przyglądał mi się ze współczuciem.

- Wiesz co - powiedziałem, wylizując dokładnie łyżkę - rozmyśliłem się. Idźcie bezę mnie.

Szestakow zrozumiał i wyszedł, nie powiedziawszy ani słowa. Była to oczywiście mizerna zemsta, słaba jak wszystkie moje uczucia. Ale co ja mogłem jeszcze zrobić? Uprzedzić innych - przecież ich nie znałem. A trzeba było uprzedzić - Szestakow zdażył namówić pięciu. Po tygodniu uciekli; dwóch zostało zabitych niedaleko od Czarnych Źródeł, a trzech sądzono po upływie miesiąca. Sprawa samego Szestakowa została „wyłączona w związku z zatrudnieniem”; w niedługim czasie gdzieś go wywieziono, a po pół roku natknąłem się na niego w innej kopalni. Za ucieczkę nie otrzymał dodatkowego wyroku - naczałstwo prowadziło z nim uczciwą grę, a przecież mogło być inaczej. Pracował w zwiadzie geologicznym, był „syty i golony”, a

jego skarpetki w szachownicę wciąż jeszcze były całe. Nie witał się ze mną, a przecież nic się nie stało. Dwie puszki skondensowanego mleka to w końcu nic takiego ważnego...

CISZA

My wszyscy - cała brygada - siadaliśmy przy stołach w łagrowej stołówce ze zdziwieniem, niedowierzaniem, ostrożnością i strachem. Stoły były brudne i lepkie - jedliśmy przy nich przez cały okres naszego tutaj życia. Nie wiadomo, od czego te stoły były takie - przecież nikt tutaj zupy nie wylewał, nikt „poza usta łyżki nie wtykał”, nie zrobiliby zresztą tego, bo łyżek nie było, a rozlaną zupę zbierano palcami i po prostu ją z nich zlizywano. Była to obiadowa pora dla nocnej zmiany. Na tej właśnie zmianie upchano naszą brygadę, usunięto ją sprzed czyichś oczu - jeśli takie były! - w naszej brygadzie byli sami słabeusze, bezsilni i głodni. Byliśmy ludzkimi odpadami, a jednak trzeba nas było żywić - przy tym wcale nie odpadami, i nawet nie resztkami. Na nas też przydzielono jakiś tam tłuszcz, gotowane jedzenie, a co najważniejsze - chleb, zupełnie takiej samej jakości jak ten, który otrzymywały najlepsze brygady, zachowujące jeszcze siły i wypełniające plan „przy podstawowej produkcji” - dającej złoto, złoto, złoto. Jeżeli

jednak wydawano nam jedzenie, to czyniono to zawsze na końcu, czy w dzień, czy w nocy – wszystko jedno. Tej nocy również przyszliśmy w ostatniej kolejności. Mieszkaliśmy w jednym baraku, w jednej sekcji. Znałem niektórych spośród tych półtrupów – z więzienia czy z punktu tranzytowego. Codziennie poruszałem się razem z tymi kłębami buszłatów, płóciennych uszank niezdejmowanych z głowy od łaźni do łaźni, obuwia ze starych watowanych spodni przepalanych przy ogniskach, i jedynie kierując się pamięcią, rozpoznawałem, że to wśród nich jest czerwonolicy Tatar Mutałow – jedyny mieszkaniec Czimkientu, posiadający piętrowy dom pokryty blachą, i Jefremow – były pierwszy sekretarz czimkienckiego komitetu miejskiego partii, który w trzydziestym roku likwidował Mutałowa jako klasę. Był tu i Oksman, były naczelnik oddziału politycznego, którego marszałek Timoszenko, nie będąc wtedy marszałkiem, przegnał ze swojej dywizji jako Żyda. Był też Łupinow, pomocnik prokuratora generalnego ZSRR Wszyńskiego. Zaworonkow – maszynista parowozowni sawiełowskiej. Był również były naczelnik NKWD z miasta Gorki, który na punkcie tranzytowym wszczął sprzeczkę z jakimś tam swoim „podopiecznym”.

- Bili cię? No to co? Podpisałeś – toś wróg, wprowadzasz w błąd władzę

radziecką, przeszkadzasz nam pracować. Właśnie przez takich gadów dostałem piętnaście lat. Wtrąciłem się:
- Słucham ciebie i nie wiem - czy śmiać się, czy napluć ci w twarz.

Różni ludzie byli w tej „dopływającej” brygadzie... Był też członek sekty „Bóg wie”, a może sekta nazywała się inaczej - była to bowiem jedyna stała odpowiedź sekciarza na wszystkie pytania naczelstwa. Pozostało w pamięci nazwisko sekciarza, oczywiście - Dmitriew, chociaż on sam nigdy się nie odzywał, gdy go tak wołano. Ustawiały go w szeregu, przesuwwały i prowadziły ręce brygadzisty i kolegów. Konwój często się zmieniał i prawie każdy nowy dowódca starał się pojąć tajemnicę odmowy odpowiedzi na głośną komendę: „Odlicz!” przy wychodzeniu do tak zwanej pracy. Brygadzista krótko wyjaśniał „okoliczności” i ucieszony konwojent kontynuował odliczanie. Sekciarz uprzykrzył się już wszystkim w baraku. Nocami, nie mogąc spać z głodu, grzaliśmy się i grzali przy żelaznym piecyku, obejmując go rękami, chwytając uchodzące ciepło stygnącego żelaza, tuląc do niego twarz. Oczywiście odgradzaliśmy od tego marnego ciepła innych mieszkańców baraku leżących w pokrytych szronem oddalonych kątach i, podobnie jak my, nieśpiących z głodu. Stamtąd to, z tych odległych zasronionych kątów, wyskakiwał ktoś,

kto miał prawo krzyczeć, a nawet i bić, i odganiał od piecyka głodnych robociarzy wyzwiskami i kopniakami. Przy piecyku można było stać i legalnie suszyć chleb, ale któż miał chleb, by go legalnie suszyć? I ile godzin można suszyć skrawek chleba? Nienawidziliśmy naczałstwa, nienawidziliśmy jeden drugiego, a nade wszystko nienawidziliśmy sekciarza - za jego pieśni, za hymny, za psalmy. Obejmowaliśmy piecyk w milczeniu. A sekciarz śpiewał, śpiewał ochrypłym, przeziębionym głosem - śpiewał cicho, ale były to jakieś hymny, psalmy, wiersze. Śpiewanie nigdy się nie kończyło. Pracowałem z sekciarzem w parze. Inni mieszkańcy sekcji odpoczywali w czasie pracy od tych hymnów i psalmów, a ja nawet i tej ulgi nie mogłem zaznać.

- Pomilcz trochę!

- Dawno już bym umarł, gdyby nie pieśni. Uciekłbym - w ten mróz. Ale brak mi sił. Gdybyż mieć ich trochę więcej! Nie proszę Boga o śmierć. On wszystko sam widzi.

W brygadzie byli jeszcze jacyś inni ludzie, obmotani szmatami, jednakowo brudni i głodni, z jednakowym blaskiem w oczach. Kim są? Generałami? Bohaterami hiszpańskiej wojny? Rosyjskimi pisarzami? Kołchoźnikami z Wołokołamska? Siedzieliśmy w stołówce, nie pojmując, dlaczego nie dają nam jeść. Na kogo

czekają? Co to za nowinę nam obwieszczają? Dla nas ona mogła być tylko dobrą nowiną.

Istnieje taka granica, kiedy wszystko, co może się jeszcze zdarzyć z człowiekiem - to tylko coś lepszego. Nowina może być tylko dobrą nowiną. Rozumieliśmy to wszyscy, rozumieliśmy to ciałem, a nie mózgiem. Otworzyło się do wewnątrz okienko do rozdawania posiłków i zaczęto nam nosić w miskach zupę - gorącą! Kaszę - ciepłą! I kisiel - trzecie danie - prawie chłodny! Każdemu wydano łyżkę i brygadzysta uprzedził, że trzeba ją oddać. Oczywiście, że oddamy łyżki. Po co nam łyżki? Żeby zamienić na tytoń w drugim baraku? Oczywiście, zwrócimy je. Do czego nam łyżki? Od dawna przywykliśmy jeść „przez burtę”. Po cóż tu łyżka? To, co pozostanie na dnie, można podsunąć palcami na brzeg miski... Nie było się co zastanawiać - przed nami stało jedzenie, pożywienie. Rozdali nam chleb - każdemu po dwusetce do ręki. „Chleba tylko według przydziału - uroczyście oświadczył brygadzysta - a reszta «ile wlicze»”. I my jedliśmy „ile wlicze”. Każda zupa dzieli się na dwie części: „gęste” i „rzadkie”. „Ile wlicze” dawano nam rzadkiego. Za to drugie danie - kasza - wcale nie było w niej oszukaństwa. Trzecie danie - ciepła woda z lekkim posmakiem krochmalu i ledwo wyczuwalnym śladem rozpuszczonego cukru. Był to kisiel. Aresztanckie żołądki wcale nie są zubożniałe, ich

zdolności odczuwania smaku wcale nie zostały przytępione głodem i prymitywnym jedzeniem. Odwrotnie, smakowe wyczulenie aresztanckiego, wygłodzonego żołądka jest wprost niezwykle. Jakościowa reakcja w żołądku aresztanta nie ustępuje pod względem precyzji żadnemu laboratorium fizycznemu. Żaden „wolny” żołądek nie wykryłby obecności cukru w tym kisielu, który jedliśmy, a raczej pili, w tą kołymską noc, na kopalni „Partyzant”. A nam kisiel wydawał się słodki, nieprzeciętnie słodki - jak cud, i każdy wspominał, że jeszcze istnieje cukier na białym świecie i nawet trafia do aresztanckiego kotła. Jakiż to czarodziej...Czarodziej był niedaleko. Przyjrzeliliśmy się jemu po drugim daniu tego drugiego obiadu. „Chleb tylko według przydziału - powiedział brygadzysta - reszta «ile wlicze»”. I spojrział na czarodzieja.

- Tak, tak - odpowiedział czarodziej. Był to malutki, czyściutki, czarniutki, dobrze domyty człowiek z niepoodmrażaną twarzą. Nasi naczelnicy, nadzorcy, dziesiętnicy, kierownicy robót, naczelnicy łagrów, konwojenci - wszyscy oni popróbowali już Kołomy, i na każdej, każdej twarzy wypisała ona swe litery, pozostawiła swój ślad, wryła dodatkowe zmarszczki, na zawsze usadowiła plamy odmrożeń, piętna nie do zmycia - nacechowała swym niezniszczalnym znakiem! Na różowej twarzy czyściutkiego

czarnego człowieka nie było jeszcze ani jednej plamy, żadnego piętna. Był to nowy starszy wychowawca naszego łagru, który dopiero co przyjechał z kontynentu.

Starszy wychowawca przeprowadzał doświadczenie. Dogadał się z naczelnikiem, wymógł na nim, żeby naruszyć stary kołymski obyczaj – codziennie resztki zupy i kaszy odnoszono zgodnie z dawną tradycją do baraku błatniaków – „to, co najgęstsze z dna” i rozdawano również w barakach lepszych brygad, ażeby podtrzymać nie te najbardziej wygłodzone, lecz te najmniej głodne brygady, żeby wszystko zamienić na „plan”, wszystko przemienić w złoto – dusze i ciała wszystkich – naczelników, konwojentów i więźniów. Brygady te – i błatniacy także – przyuczyli się, przywykli liczyć na te resztki. Ale nowy wychowawca nie zgodził się z tym obyczajem i wymógł, żeby resztki jedzenia rozdawać najbardziej głodnym. Wtedy i sumienie się w nich przebudzi.

- Na miejscu sumienia wyrosły im rogi – próbował wmieszać się dziesiętnik, ale wychowawca był nieustępliwy i otrzymał zezwolenie na eksperyment. Aby go przeprowadzić, wybrano najbardziej wygłodzoną brygadę – naszą.

- Zobaczycie, człowiek podje i z wdzięczności dla państwa będzie lepiej pracować. Czyż można wymagać pracy od tych dochodiagów? Dochodiagi – to pierwsze słowo z błatniackiego narzecza,

którego nauczyłem się na Kołymie. Czy dobrze mówię?

- Dobrze - powiedział naczelnik odcinka, „wolniaszka”, stary kołymianin, który posłał „pod sopkę” niejeden tysiąc ludzi z tej kopalni. Przyszedł podziwiać przebieg „eksperymentu”.

- Tych nierobów, symulantów trzeba żywić przez miesiąc mięsem i czekoladą, przy zupełnym zwolnieniu od pracy. I nawet wtedy nie będą pracować. W ich czaszkach coś się zmieniło na zawsze. To - szlaka, odpady. Dla kopalni większą wartość przedstawia dokarmianie tych, co jeszcze pracują, a nie tych nierobów!

Przy okiennym okienku zaczęto się kłócić i krzyczeć. Wychowawca coś tam z zapalem dowodził. Naczelnik odcinka słuchał z niezadowolonym wyrazem twarzy, a kiedy padło nazwisko Makarenki, machnął na to ręką i odszedł na bok. Modliliśmy się każdy do swego Boga, sekciarz też - do swojego. Modliliśmy się, żeby nie zamknęli okienka, żeby wychowawca zwyciężył. Aresztancka wola dwudziestu ludzi napięła się - i wychowawca zwyciężył. Jedliśmy dalej, wcale nie pragnąc rozstania z cudem. Naczelnik odcinka wyjął zegarek, ale już zawył sygnał - przenikliwy dźwięk łagrowej syreny wzywał nas do pracy.

- No, robociarze - niepewnie wymawiając to niepotrzebne w tym miejscu słowo, powiedział nowy wychowawca. - Zrobiłem wszystko, co mogłem. Uzyskałem to dla

was. Do was należy, aby odpowiedzieć na to pracą, tylko pracą.

- Popracujemy, obywatelu naczelniku - poważnie powiedział były pomocnik prokuratora generalnego ZSRR, podwiązując buszłat brudnym ręcznikiem i dysząc w rękawice, nagrzewając ich wewnątrz ciepłym powietrzem. Drzwi się otworzyły, wpuszczając białą parę, a my wyleźliśmy na mróz, ażeby na całe życie zapamiętać ten sukces - jeżeli komuś będzie dane przeżyć. Wydało nam się, że mróz złagodniał. Ale to było niedługo. Mróz był zbyt wielki, aby nie postawić na swoim. Doszliśmy do wykopu i usiedli w krąg, czekając na brygadzystę. Siedliśmy w tym samym miejscu, gdzie kiedyś rozpalaliśmy ognisko i grzaliśmy się przy nim, dmuchając na złoty płomień, gdzie przepalaliśmy rękawice, czapki, spodnie, buszłaty, burki, na próżno starając się ogrzać, ratować przed mrozem. Ale ognisko - to było dawno, zdaje się, w zeszłym roku. Tej zimy nie zezwalano robotnikom na grzanie się, grzał się tylko konwojent, poukładał głównie swego ogniska i rozdmuchał płomień. Owinał się kożuchem i usiadł na pniu. Biała mgła otaczała wykop oświetlony jedynie płomieniem ogniska. Siedzący obok mnie sekciarz wstał i poszedł mimo konwojenta w tę mgłę, do nieba...

- Stój! Stój!

Konwojent był niezły chłop, ale z karabinem umiał się dobrze obchodzić.

- Stój!

Potem rozległ się wystrzał, suchy szczęk karabinu, sekciarz jeszcze nie znikł we mgle - drugi wystrzał...

- Widzisz więc, ty jeleniu - powiedział po błatniacku naczelnik do starszego wychowawcy - obaj przyszli do wykopu. Ale wychowawca nie śmiał wyrażać zdziwienia z powodu zabicia więźnia, a naczelnika już takie rzeczy nie dziwiły. - Masz tutaj swój eksperyment. Te psy jeszcze gorzej zaczęły pracować. Dodatkowy obiad - to dodatkowe siły na walkę z mrozem. Od nich robotę - zapamiętaj to sobie, jeleniu - wymusza tylko mróz. Ani twój obiad, ani moje walenie po pysku, tylko mróz. Oni machają rękami, żeby się zagrzać. A my wkładamy w nie kilofy, łopaty, przecież wszystko jedno, czym machać - podstawiamy taczki, skrzynie, grabiarki i kopalnia wykonuje plan. Daje to złotko...Teraz są syci i już wcale nie będą pracować. Dopóki nie przemarzną. Wtedy pomachają łopatami. A karmić ich nie ma sensu. Sfrajerowałeś mocno z tym obiadem. Za pierwszym razem wybacza się. Wszyscyśmy byli takimi samymi jeleniami.

- Nie wiedziałem, że to takie gady - powiedział wychowawca.

- Na drugi raz będziesz wierzyć starszym. Jednego już dzisiaj zastrzelono. Nierób

- fiłon. Pół roku na darmo jadł państwowy chleb. Powtórz to - fiłon!

- Fiłon - powtórzył wychowawca.

Stałem tuż obok, ale naczałstwo nie krępowало się mną. Miałem legalny powód oczekiwania - brygadzista powinien mi przyprowadzić innego towarzysza pracy. Przyprowadził Łupiłowa - byłego pomocnika prokuratora generalnego ZSRR. I zaczęliśmy wspólnie nasypywać do skrzyń wysadzone wybuchem i rozkruszone kamienie - robić to, co robiłem razem z sekciarzem. Powracaliśmy znajomą drogą, jak zawsze, nie wykonawszy normy ani nie troszcząc się o nią. Ale wydawało się, że marzyliśmy trochę mniej niż zazwyczaj. Staraliśmy się pracować, ale zbyt wiele dzieliło nasze życie od tego, co można wyrazić w liczbach, w teczkach, w procentach planu. Liczby były bluźnierstwem. Ale na jakąś godzinę, na jakąś chwilę nasze siły - duchowe i fizyczne - okrzepły po tym nocnym obiedzie. I zimno mi się zrobiło, gdy odgadłem i zrozumiałem, że ten nocny obiad przysporzył sił sekciarzowi do samobójstwa. To była właśnie ta porcja kaszy, której brakowało mojemu towarzyszowi w pracy, ażeby zdecydować się umrzeć. Czasem człowiek powinien się spieszyć, żeby nie utracić woli śmierci. Jak zawsze okrażyliśmy piecyk. Tylko nie było komu śpiewać hymnów. I byłem bodaj nawet rad - że zapanowała cisza.

CHLEB

Ogromne, dwuskrzydłowe drzwi rozwarły się i do etapowego baraku wszedł rozdawca. Stał w szerokim paśmie porannego światła odbijanego przez niebieskawy śnieg. Ze wszystkich stron spoglądało na niego tysiące oczu: z dołu - spod nar, na wprost, z boku, z góry z wysokości trójpiętrowych nar, dokąd wdrapali się po drabince ci, co jeszcze zachowali siły. Dzisiaj był dzień śledziowy i za rozdawcą niesiono ogromną tacę z dykty, uginającą się pod górami śledzi, poprzecinanych na pół. Za tacą szedł dyżurny nadzorca w białym, błyszczącym jak słońce półkożuszką z garbowanej owczej skóry. Śledzie wydawano rano co drugi dzień po połowie. Jakże tu przeprowadzono obliczenia dotyczące ilości białka i kalorii - tego nikt nie wiedział i nikt zresztą nie interesował się tego rodzaju scholastyką. Szept setek ludzi powtarzał jedno i to samo słowo: ogonki. Jakiś mądry naczelnik, biorąc pod uwagę psychologię aresztantów, żeby wydawano jednocześnie albo głowy śledzi, albo ogony. Zalety jednych i drugich zostały już wielokrotnie przedyskutowane: w ogonkach było chyba więcej rybiego mięsa, ale za to głowa dawała znacznie więcej zadowolenia: wysysano skrzela, wyjadano rybi mózg. Śledzie wydawano nieoprawione i wszystkim to dogadzało: przecież jedli

je z ośmi, ze skórą. Żal, że to nie głowy, przemknął i znikł: ogonki były faktem, zostały dane. A do tego taca już się zbliżała i miała nastąpić najbardziej denerwująca chwila – jakiej wielkości kawałek się trafi – nie można było go zamienić ani zaprotestować – wszystko było na los szczęścia – wyciągniętą kartą w tej rozgrywce z głodem. Człowiek nieuważnie dzielący śledzie na porcje nie zawsze rozumie (albo szybko zapomniał), że dziesięć gramów więcej czy mniej – dziesięć gramów, tak na oko – może doprowadzić do dramatu, może nawet do krwawego dramatu. A o łzach nawet nie warto mówić. Łzy się często zdarzają, wszyscy je rozumieją i nikt się nie śmieje z płaczącego. Zanim rozdawca się zbliżył, każdy już wyliczył, jaki właśnie kawałek zostanie mu podany przez tę obojętną rękę. Każdy zdążył już się zmartwić, ucieszyć, przygotować na cud i znaleźć na krawędzi rozpacz, jeżeli pomylił się w swoich spiesznym obliczeniach. Niektórzy przymykali oczy, nie panując nad zdenerwowaniem, aby otworzyć je dopiero wtedy, gdy rozdawca szturchnie, podając przydzieloną porcję. Schwyciwszy śledzia brudnymi palcami, gładząc go i przyciskając szybko i delikatnie, żeby ocenić, jaki kawałek się trafił – chudy czy tłusty (zresztą śledzie z Morza Ochockiego nie bywają tłuste i ten ruch palców to także oczekiwanie na cud), nie mogą się

powstrzymać, żeby nie obrzucić szybkim spojrzeniem rąk tych, co się znajdują obok i co również gładzą i ściskają swe porcje, bojąc się zbyt spieszenie przełknąć ten maleńki ogonek. Nie zjadają śledzia od razu. Liżą, liżą, aż ogonek po trochu wyślizguje się z palców i znika. Pozostają ości, przeżuwane ostrożnie i delikatnie, aż roztają i znikną. Potem biorą się do chleba - pięćset gramów wydaje się z rana na cały dzień - odszczypują go po kawałeczku i wsuwają do ust. Wszyscy zjadają cały chleb od razu - dzięki temu nikt go nie ukradnie i nie odbierze, a i tak nie starcza siły woli, aby go zostawić na później. Nie należy się tylko spieszyć, nie należy zapijać wodą, nie należy go przeżuwać. Trzeba go ssać jak cukier, jak landrynkę. Potem można wziąć kubek herbaty - ciepławej wody, zabarwionej paloną chlebową skórką. Zjedzony został śledź, zjedzony chleb, wypita herbata. Od razu robi się gorąco i nie chce się nigdzie iść, tylko położyć, ale już trzeba się odziewać - naciągać na siebie oberwany waciacz, który był twoją kołdrą, podwiązać sznurkiem podeszwy do porwanych burek z pikowanej waty, do burek, które służyły ci za poduszkę, i trzeba się spieszyć, gdyż drzwi już otwarto na oścież i za ogrodzonym kolczastym drutem placykiem oczekują konwojenci z psami. Odbywamy kwarantannę, tyfusową, ale nie dają nam próżnować.

„Gonia” nas do pracy - nie według list, a całkiem po prostu odliczają piątkami w bramie. Istnieje sposób, dostatecznie pewny, ażeby każdego dnia trafić do względnie korzystnej pracy. Trzeba tylko cierpliwości i opanowania. Korzystna praca - to zawsze taka, do której biorą mało ludzi - dwóch, trzech, czterech. Praca, do której biorą dwudziestu, trzydziestu, stu - to praca na pewno ciężka, najczęściej roboty ziemne. I chociaż aresztantom nigdy zawczasu nie podają miejsca pracy - dowiadują się o tym w drodze - sukces w tej strasznej loterii przypada w udziale ludziom odznaczającym się cierpliwością. Należy przeciskać się do tyłu, do cudzych szeregów, odchodzić na bok i rzucać się do przodu, kiedy ustawiają małą grupkę. Natomiast dla dużych grup najbardziej korzystna praca - to przebieranie warzyw w magazynie, piekarnia, jednym słowem, te wszystkie miejsca, gdzie praca wiąże się z żywnością, czy to w stanie surowym, czy też nadającym się do spożycia - tam zawsze znajdują się resztki, odłamki, skrawki tego, co da się zjeść. Ustawiono nas i poprowadzono po grząskiej kwietniowej drodze. Nogi konwojentów żwawo człapały po kałużach. Nie zezwalano nam łamać szyku w obrębie miasta - nikt więc tych kałuż nie omijał. Nogi robiły się mokre, ale nikt na to nie zwracał uwagi - przeziębień się nie obawialiśmy. Zdarzało się to nam tysiące

razy, a przy tym najbardziej niebezpieczne, co mogło nas spotkać - powiedzmy, zapalenie płuc - zaprowadziłoby nas do upragnionego szpitala. W szeregach słychać było urywany szept: „do piekarni, słuchajcie, do piekarni” - istnieją ludzie, którzy zawsze o wszystkim wiedzą i wszystko odgadują. Są także tacy, którzy we wszystkim chcą widzieć to najlepsze. Dla innych, przeciwnie, wszystko idzie ku gorszemu i każde polepszenie przyjmują z niedowierzaniem, jak jakieś niedopatrzenie losu. I ta różnica w sposobie podejścia niewiele zależy od własnego doświadczenia - jest jakby dana w dzieciństwie - na całe życie... Nasze najśmielsze nadzieje ziściły się - staliśmy przed bramą piekarni. Dwudziestu ludzi, wsunawszy ręce w rękawy, dreptało w miejscu, odwracając się plecami do przejmującego wiatru. Konwojenci odeszli na bok i zapalili. Przez maleńkie drzwi wycięte w bramie wyszedł człowiek bez czapki, w granatowym fartuchu. Pogadał z konwojentami i podszedł do nas. Z wolna obwiódł wszystkich wzrokiem. Kołysa z każdego robi psychologa, a on musiał w jednej chwili we wszystkim się zorientować. Spomiędzy tych dwudziestu oberwańców trzeba wybrać dwóch ludzi do pracy wewnątrz piekarni, w „oddziałach”. Powinni mieć dość siły, aby mogli dźwigać nosze z potłuczoną cegłą, która

pozostała po przebudowie pieca. Nie mogą być złodziejami, „błatniakami”, gdyż wtedy cały roboczy dzień zejdzie na różnego rodzaju spotkaniach, przekazywaniu „grypsów”, karteczek, a nie na pracy. Trzeba, żeby nie osiągnęli jeszcze tej granicy, poza którą każdy z głodu staje się złodziejem, bo przecież na oddziałach nikt ich pilnować nie będzie. Trzeba, żeby nie byli „skłonni do ucieczki”. Trzeba...I wszystko to trzeba wyczytać w jednej chwili z dwudziestu aresztanckich twarzy i od razu wybrać.

— Wchodź — powiedział do mnie człowiek bez czapki. — I ty — wskazał na mojego piegowatego, wszechwiedzącego sąsiada — wezmę tych powiedział do konwojenta.

— Dobrze — obojętnie odpowiedział tamten. Odprowadzały nas spojrzenia pełne zazdrości. U ludzi pięć zmysłów nigdy nie działa jednocześnie w tym samym pełnym napięciu. Nie słyszę radia, kiedy uważnie czytam. Linijki tekstu przebiegają mi przed oczami, kiedy słucham audycji radiowej — automatyzm czytania zostaje zachowany — podążam wzrokiem za nimi i nagle okazuje się, że nic nie pamiętam z tego, co przed chwilą przeczytałem. To samo bywa, kiedy w czasie czytania pomyślisz o czymś innym — działają tu jakieś wewnętrzne przełączniki. Ludowe powiedzonko „kiedy jem, tom głuchy i niemy” — znane jest każdemu. Dodać by można „i ślepy”, gdyż

przy takim jedzeniu z apetytem funkcja wzroku skupia się na pomocy smakowym odczuciom. Kiedy staram się coś wymacać głęboko w szafie i cały mój zmysłowy odbiór lokalizuje się w koniuszkach palców - niczego nie widzę ani nie słyszę - wszystko zostaje wyparte przez napięcie tego, co odczuwam. Tak i teraz, przekroczywszy próg piekarni, nie widząc życzliwych i współczujących twarzy robotników (pracowali tu i byli, i rzeczywiście więźniowie), nie słyszałem słów majstra - tego znajomego bez czapki, który mówił nam, że mamy wynieść na dwór potłuczoną cegłę, że nie powinniśmy chodzić po innych oddziałach, że nie powinniśmy kraść, bo chleba i tak nam da - niczego nie słyszałem. Nie odczuwałem też tego ciepła silnie nagrzanego oddziału, ciepła, za którym stęskniło się moje ciało przez długą zimę. Wdychałem zapach chleba, gęsty aromat „bochenków”, w których zapach przypalonego tłuszczu mieszał się z zapachem podpiekanej mąki. Znikomą część tego upajającego aromatu usiłowałem wyłowić każdego ranka, przycisnąwszy nos do skórki niezjedzonej jeszcze „porcji” chleba. Ale tutaj istniał on w całej swej stężonej mocy i wydawało się, że rozrywa moje nieszczęsne nozdrza. Ten czar przerwał majster.

- Zapatrzyłeś się - powiedział. -
Chodźmy do kotłowni.

Zeszliśmy do piwnicy. W czysto wymiecionej kotłowni siedział już przy stoliku palacza mój towarzysz pracy. W takim samym granatowym fartuchu jak u majstra stał przy piecu palacz, ćmiąc papierosa, i przez otwory w żeliwnych drzwiczkach paleniska widać było, jak wewnątrz, pobłyskując, szalał płomień, to czerwony, to żółty, a ściany kotła drżały i huczały od ognistych konwulsji. Majster postawił na stole czajnik, kubek z powidłem i położył bochenek chleba.

- Daj im się napić - powiedział do palacza. Ja przyjdę za dwadzieścia, minut. Tylko nie ciągnijcie, jedzcie szybko. Wieczorem damy jeszcze, tylko połamiecie na kawałki, bo w łagrze wam odbiorą.

Majster wyszedł.

- Widziałeś psa - powiedział palacz, obracając w rękach ten bochenek chleba.

- Pożałował gad trzydziestki. Ale poczekaj.

Wyszedł w ślad za majstrem i po minucie powrócił, podrzucając w rękach nowy bochenek.

- Ciepłutki - powiedział, rzucając chleb piegowatemu chłopakowi. Z trzydziestki. A to, widzisz, chciał was zbyć mieszanym.

Daj go tu. I wziąwszy w ręce bochenek, który pozostawił nam majster, palacz otworzył drzwiczki kotła i wrzucił chleb w huczący i wyjący ogień. Zatrzasnął drzwiczki i zaśmiał się. - No tak - powiedział wesoło, odwracając się ku nam.

- Po co to? - spytałem. - Lepiej
wzięlibyśmy ze sobą.

- Ze sobą to jeszcze wam damy -
powiedział palacz.

Ani ja, ani piegowaty chłopak nie
mogliśmy przełamać chleba.

- Nie masz noża? - spytałem palacza.

- Nie mam. Po co ci nóż?

Palacz ujął bochenek w dwie ręce i z
łatwością go przełamał. Z rozłamanego
bochenka unosiła się aromatyczna para.
Palacz tknął palcem miąższ.

- Dobrze piecze ten Fiedka, zuch z niego
- pochwalił.

Ale my nie mieliśmy czasu na dopytywanie
się - kto taki Fiedka. Zabraliśmy się do
jedzenia, parząc się i chlebem, i
wrzątkiem, który mieszaliśmy z powidłem.
Lał się z nas strumieniami gorący pot.
Spieszyliliśmy się - majster już po nas
wrócił. Przyniósł ze sobą nosze,
przyciągnął je do kupy potłuczonej cegły,
przyniósł też łopaty i sam załadował
pierwszą skrzynię. Przystąpiliśmy do
pracy. I nagle stało się jasne, że to
nie na nasze siły. Kręciło się w głowie,
kiwało nami. Drugie nosze ja sam
załadowałem i nałożyłem o połowę mniej,
niż wynosił poprzedni ładunek.

- Starczy, starczy - powiedział
piegowaty chłopak.

Był jeszcze bardziej blady niż ja, a
może to tylko piegi podkreślały jego
bladość.

- Odpocznijcie, chłopcy - wesoło i nie naśmiewając się z nas wcale, powiedział przechodzący mimo piekarz i my posłusznie usiedliśmy. Przeszedł obok nas majster, ale też nic nie powiedział. Odpocząwszy, znowu zabraliśmy się do roboty, ale po każdym dwu noszach siadaliśmy - kupa gruzu nie zmniejszała się.

- Zapalcie, chłopcy - powiedział ten sam piekarz, pojawiając się ponownie.

- Nie mamy tytoniu.

- No to dam wam na papieroska. Tylko trzeba wyjść. Tutaj nie wolno palić.

Podzieliliśmy machorkę i każdy zapalił swojego papierosa - luksus już dawno zapomniany. Zaciągnąłem się wolno kilka razy, ostrożnie przygasiłem palcem papierosa, zawinałem go w papier i schowałem za pazuchę.

- Słusznie - powiedział piegowaty chłopak. - A ja nawet o tym nie pomyślałem.

Do przerwy obiadowej oswoiliśmy się tu na tyle, że zaglądaliśmy i do sąsiadujących pomieszczeń z takimi samymi piekarniczymi piecami. Wszędzie wychodziły z nich z piskiem żelazne formy i blachy, a na półkach wszędzie leżał chleb. Od czasu do czasu podjeżdżał wagonik na kółkach, ładowano do niego wypieczony chleb i gdzieś go wywożono, tylko nie tam, gdzie mieliśmy powrócić wieczorem - to był biały chleb. Przez szerokie okno (bez krat) widać

było, że słońce kłoni się ku zachodowi. Od drzwi pociągnęło chłodem. Przyszedł majster.

- No, to kończcie. Nosze zostawcie na gruzie. Coś mało zrobiliście. Dla was tygodnia nie starczy na wyniesienie tej kupy gruzu, pracusie.

Dali nam po bochenku chleba, porozłamywaliśmy każdy na kawałki, ponapychali kieszenie... Ale ile chleba może wejść do naszych kieszeni?

- Chowaj wprost do spodni - komenderował piegowaty chłopak. Wyszliśmy na zimne wieczorem podwórze - grupa już się ustawiała - poprowadzono nas z powrotem. Przy przejściu przez łagrową „wartownię” nikt nas nie rewidował - nikt z nas nie niósł w rękach chleba. Wróciłem na swoje miejsce, podzieliłem się z sąsiadami przyniesionym chlebem, ległem i zasnąłem, od razu jak nagrzały się przemoknięte i zziębnięte nogi. Przez całą noc przemykały przed moimi oczami bochenki chleba i pojawiała się łobuzerska twarz palacza, wrzucającego chleb w ognistą gardziel pieca.

ZAKLINACZ WĘŻY

Siedzieliśmy na powalonym przez burzę ogromnym modrzewiu. W kraju wiecznej zmarzliny drzewa ledwo trzymają się niegościnniej ziemi i burza z łatwością wyrывa je z korzeniami i wali na ziemię.

Płatonow opowiadał mi właśnie historię swojego życia tutaj - powtórnego naszego życia na tym świecie. Gdy wspomniał o kopalni Dżanchara, nachmurzyłem się. Bywałem w różnych trudnych i parszywych miejscach, jednak straszna sława Dżanchary huczała wszędzie.

- I długo pan był w Dżancharze?

- Rok - cicho powiedział Płatonow. Oczy mu się zwięzły, zmarszczki ostro uwydatniły; przede mną był inny Płatonow, starszy o dziesięć lat od poprzedniego.

-
Zresztą, trudno było tylko z początku, przez pierwsze dwa, trzy miesiące. Tam są sami złodzieje. Ja byłem jedynym wykształconym człowiekiem. Opowiadałem im

powieści, „ciskałem romanse”, jak to mówią błatniacy; opowiadałem Dumasa, Conan Doylea, Wellsa. W zamian za to oni mnie żywili, odziewali; pracowałem niewiele. Przypuszczam, że pan w swoim czasie również wykorzystywał tę jedyną zaletę wykształcenia?

- Nie - odpowiedziałem. - Nie. Wydawało mi się to zawsze krańcowym poniżeniem. Końcem. Za zupełną nigdy nie opowiadałem „romansów”. Ale wiem, co to takiego. Słyszałem tych „opowiadaczy”.

- Czy to potępienie? - spytał Płatonow.

- Ani trochę - powiedziałem. - Głodnemu człowiekowi można wiele wybaczyć, bardzo wiele.

- Jeśli przeżyję - Płatonow wypowiedział uświęconą formułę rozpoczynającą wszystkie myśli o czasie wykraczającym poza dzień jutrzejszy - napiszę o tym opowiadanie. Już nawet wymyśliłem tytuł: "zaklinacz węży". Ładny?

- Ładny. Trzeba tylko przeżyć. To najważniejsze.

Andrzej Fiodorowicz Płatonow, w swoim pierwszym życiu scenarzystą, umarł w trzy tygodnie po tej rozmowie. Umarł tak, jak umierało wielu - zamachnął się kilofem i upadł twarzą na kamień. Wstrzyknięta dożylnie glukoza czy inne środki nasercowe mogłyby go na pewno przywrócić do życia, a tak, chrapliwie oddychał jeszcze przez jakieś półtorej godziny i ucichł, gdy przysłano nosze ze szpitalika. Sanitariusze unieśli maleńkie martwe ciało do trupiarni - nieważką masę

skóry i kości. Lubiłem Płatonowa za to, że nie przestawało go ciekawić to odległe za morzami i górami życie, od którego oddzielało nas tyle wiorst i tyle czasu i w którego istnienia już prawie przestaliśmy wierzyć; a raczej wierzyliśmy tak, jak uczniacy wierzą w istnienie jakiejś tam Ameryki. Płatonow miewał również książki, które Bóg jeden wie jak do niego trafiały, i gdy nie było

zbyt zimno, na przykład w lipcu, nie uczestniczył w rozmowach na tematy, którymi żyła cała nasza „społeczność”:

jaka była lub będzie zupa na obiad, czy chleb wydawany będzie trzy razy dziennie, czy też w całości z rana, czy będzie jutro deszcz, czy też piękna pogoda. Lubiłem Płatonowa, spróbuję więc napisać projektowane przez niego opowiadanie "Zaklinacz węży".

Koniec pracy wcale jeszcze nie oznacza jej zakończenia. Po sygnale należy jeszcze zebrać narzędzia, odnieść je do składu, zdać, ustawić się, przebrnąć przez dwukrotne przeliczanie (dwukrotne z codziennych dziesięciu) przy wtórze ordynarnych przekleństw konwojentów, bezlitosnych, obraźliwych krzyków własnych towarzyszy niedoli, jeszcze na razie silniejszych od ciebie, ale także zmęczonych, spieszących się do domu i wściekłych z powodu każdego opóźnienia powrotu. Trzeba odliczyć jeszcze raz, uformować się i wyruszyć do odległego o pięć kilometrów lasu po drewno; pobliski las dawno już wyrabano i spalono. Drewno na opał przygotowywane jest w lesie przez brygadę drwali i każdy z pracujących robociarzy zabiera po jednym polanie. W jaki sposób te ciężkie bierwiona, które trudno unieść nawet dwóm ludziom, docierają na miejsce, tego nikt nie wie. Samochodów po drewno nigdy się nie posyła, a wszystkie konie stoją chore w stajni. Konie słabną o wiele szybciej niż ludzie, jakkolwiek różnica pomiędzy ich poprzednim i obecnym

bytowaniem jest oczywiście niewspółmiernie mniejsza niż w przypadku ludzi. Wydaje się często, chyba tak jest naprawdę, że człowiek właśnie dlatego opuścił królestwo zwierząt i stał się istotą ludzką, tj. taką, która potrafiła wymyślić coś takiego, jak te nasze wyspy z niewiarygodnym na nich bytowaniem, iż wytrzymałością fizyczną przewyższał każde zwierzę. To nie posługiwanie się rękami przekształciło małpę w człowieka, ani zarodek mózgu ani dusza - trafiają się i psy, i niedźwiedzie, które postępują rozumnie i wykazują więcej charakteru niż człowiek. Nie było to też zawładnięcie ogniem; główny warunek przemiany pojawił się przed tym. W swoim czasie w tych samych warunkach człowiek okazał się silniejszy i bardziej wytrzymały niż jakiegokolwiek zwierzę. Powiedzenie „żywotny jak kot” nie jest słuszne w odniesieniu do człowieka. To o kocie należałoby raczej powiedzieć „żywotny jak człowiek”. Koń nie wytrzyma nawet miesiąca w warunkach tutejszej zimy w chłodnej stajni po wielogodzinnej pracy na mrozie. Chyba że jest to koń jakucki. Ale jakuckich koni nie używa się do takiej pracy. I nie karmi się ich. Podobnie jak renifery, rozgrzebują one kopytami śnieg i wyszczypują zeszłoroczną suchą trawę. A człowiek - żyje. Czyżby nadzieją? Przecież on nie ma nadziei. Jeżeli nie jest durniem, to nie może żyć nadzieją.

Dlatego jest tak wielu samobójców. Jednakże uporczywe fizyczne trzymanie się życia, instynkt samozachowawczy, który rządzi jego świadomością – ratuje go. Żyje on tak samo jak kamień, drzewo, ptak czy pies. Ale trzyma się życia mocniej. I wytrzymałością góruje nad każdym zwierzęciem. O tym wszystkim myślał właśnie Płatonow, stojąc z bierwionem na ramieniu u wrót wejściowych w oczekiwaniu na ponowne przeliczanie. Po przyniesieniu i złożeniu drewna ludzie, cisnąc się, spiesząc i przeklinając, weszli do ciemnego, zbudowanego z drewnianych bali baraku. Gdy oczy przywykły do ciemności, Płatonow zauważył, że wcale nie wszyscy wychodzili do pracy. W odległym kącie baraku, na prawo, na górnej pryczy, w świetle zawłaszczzonej, jedynej w baraku lampy – benzynowego kopcidła bez szkła – siedziało siedmiu czy ośmiu ludzi otaczających dwóch, którzy skrzyżowawszy po tatarsku nogi i położywszy między sobą zatłuszczoną poduszkę, grali w karty. Kopcający kaganek drgał i wydłużał swoim płomieniem chybotliwe cienie grających. Płatonow przysiadł na skraju pryczy. Czuł łamanie w barkach, a kolana i mięśnie drżały. Dopiero dziś rano przywieziono go do Dżanchary i był to jego pierwszy dzień pracy. Na pryczach nie było wolnego miejsca. Jak wszyscy wyjdą, to się położę – pomyślał Płatonow i zaczął drzemać. Na górze skończono

grać. Czarnowłosy człowiek z wąsikami i długim paznokciem na lewym małym palcu przewalił się na skraj pryczy.

- Zawołaj no tego „Iwana Iwanowicza” - powiedział.

Kuksaniec w plecy obudził Płatonowa.

- Ty, wołają cię.

- No, gdzież on jest, ten Iwan Iwanowicz?! - wołano z górnej pryczy.

- Ja nie jestem Iwan Iwanowicz - powiedział Płatonow, mrużąc oczy.

- Fiedieczka, on nie idzie!

- Jak to nie idzie?

Wypchnięto Płatonowa na światło.

- Czy ty myślisz żyć? - spytał cicho Fiedia, kręcąc przed oczyma Płatonowa odhodowanym, brudnym paznokciem.

- Myślę - odpowiedział Płatonow.

Silne uderzenie pięścią w twarz zważyło go z nóg. Płatonow podniósł się i wytarł krew rękawem.

- Tak nie można odpowiadać - dobrotliwie wyjaśnił Fiedia. - Czyżby was, Iwanie Iwanowiczu, tak w instytucie uczono odpowiadać?

Płatonow milczał.

- Idź, bydlaku - wycodził Fiedia. - Idź i kładź się przy kiblu. Tam będzie twoje miejsce. A jeśli będziesz krzyczeć, zadusimy.

To nie była czcza pogroźka. Dwukrotnie na oczach Płatonowa w rezultacie jakichś własnych złodziejskich porachunków duszono ludzi ręcznikiem... Płatonow położył się na śmierdzących deskach.

- Ale nudno, koledzy! - powiedział Fiedia, ziewając. - Chociażby który pięty poskrobał, czy co...Maszka, hej, Maszka, chodź skrobać pięty Fiedieczce! W smudze światła pojawił się Maszka, blady, ładniutki, osiemnastoletni złodziejasek. Zdjął z nóg Fiedieczki znoszone, żółte półbuciki, ostrożnie ściągnął brudne, porwane skarpetki i uśmiechając się, zaczął skrobać Fiedii pięty. Fiedia chichotał, podrygując z łaskotek.

- Poszedł won! - wykrztusił nagle. - Nie potrafisz skrobać, nie umiesz...

- Przecież ja, Fiedieczka...

- Poszedł won, jak ci mówię. Skrobie, drapie bez żadnej delikatności...- dookoła kiwano ze zrozumieniem głowami.- Był u mnie na Krzywym taki Żyd. Ten dopiero skrobał pięty. Ten dopiero skrobał! Inżynier!

I Fiedia pogrążył się we wspomnieniach o skrobiącym go w pięty Żydzie.

- Fiedia, posłuchaj, a ten nowy? Nie chcesz spróbować?

- A niech go - powiedział Fiedia. - Czy tacy jak on potrafią skrobać? A zresztą, kaźcie mu wstać.

Płatonowa wprowadzono w krąg światła.

- Ej, ty, Iwanie Iwanowiczu, podkreć lampę - zadysponował Fiedia. - I będziesz w nocy dorzucał drew do pieca. A rano wyniesiesz kibel Sprzątający pokaże, gdzie wylać...

Płatonow pokornie milczał.

- Za to - wyjaśnił Fiedia - otrzymasz miseczkę zupki. Ja przecież i tak tej wody nie jem. A teraz idź, śpij.

Płatonow położył się na starym miejscu. Prawie wszyscy spali, przytuliwszy się jeden do drugiego, a nawet w trójkę. Tak było cieplej.

- Ech, nuda, a noce takie długie - przeciągając się, powiedział Fiedia. - Choćby kto jakiś romans cisnął. Ot, u mnie na Krzywym...

- Fiedia, słuchaj, Fiedia, a może ten nowy? Nie chcesz spróbować?

- A właśnie - ożywił się Fiedia. - No, to podnieście go na nogi.

Kazano Płatonowowi wstać.

- Słuchaj - powiedział Fiedia, uśmiechając się prawie przymilnie - trochę się tu pogorączkowałem.

- Nie szkodzi - rzekł przez zęby Płatonow.

- Słuchaj, a romanse ty potrafisz ciskać? Zmętniałe oczy Płatonowa zabłysły ogniem.

- Jeszcze by nie!

Cała cela w więzieniu śledczym zasłuchiwała się, gdy opowiadał Hrabiego Drakulę. Tam jednak byli ludzie. A tutaj?

Zostać błaznem na dworze księcia Mediolanu, błaznem, którego żywiono w nagrodę za dobre żarty, a bito za złe? Można jednak na to spojrzeć również z innej strony. Zapozna ich z prawdziwą literaturą. Będzie krzewicielem oświaty. Rozbudzi w nich zainteresowanie dla kunsztu słowa i tutaj, będąc na dnie

ludzkiego życia, wypełni swoje dzieło, wykona swój obowiązek. Zgodnie ze starym przyzwyczajeniem Płatonow nie chciał się przyznać przed sobą, że całkiem po prostu będzie dokarmiany, będzie otrzymywał dodatkową zupkę nie za wynoszenie kibla, a za inną, szlachetniejszą pracę. Czyżby? To przecież bliższe jest czochraniu brudnych złodziejskich pięt niż krzewieniu oświaty. Ale przecież głód, chłód, bicie... Fiedia uśmiechał się w napięciu, oczekując odpowiedzi.

- Potrafię - wymamrotał Płatonow i po raz pierwszy w ciągu tego tak trudnego dnia uśmiechnął się. - Potrafię cisnąć.

- Ach, mój ty kochany - rozweselił się Fiedia - chodź, włącz tutaj. Masz tu chlebek. Jutro pożywisz się lepiej. Siadaj tu, na kocu. Masz, zapal.

Niepalącemu od tygodnia Płatonowowi machorkowy niedopałek dostarczył niebywałej rozkoszy.

- A jak ci na imię?

- Andriej - powiedział Płatonow.

- No to, Andrieju, znaczy się, coś dłuższego, mocnego. Tak jak Hrabia Monte Christo. O oberżach nie trzeba.

- Nędznicy mogą być? - zaproponował Płatonow.

- To o Zanie Walżanie? To mnie na Krzywym ciskali.

- No to może Klub waletów kierowych albo Wampira?

- Właśnie, właśnie. Dawaj te walety. Uciszcie się, bydlaki! - krzyknął Fiedia. Płatonow odkaszlnął.

- W Petersburgu roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego popełniono tajemnicze przestępstwo...

Świtało już, gdy Płatonow zupełnie opadł z sił.

- Na tym kończy się pierwsza część - powiedział.

- To rozumiem! - zawołał Fiedia. - Jak on ją! Kładź się tu, razem z nami. Długo wprawdzie nie pośpimy, już świta. Prześpisz się trochę w pracy. Nabieraj sił na wieczór.

Płatonow zasnął. Wyprowadzano do pracy. Wysoki, wiejski chłopak, który przespał wczorajsze walety kierowe, popchnął ze złością Płatonowa przy przechodzeniu przez drzwi.

- Ty gadzie, nie rozglądaj się!

Natychmiast powiedziano mu coś szeptem na ucho. Ustawiano się w szeregi, gdy do Płatonowa podszedł ten wysoki chłopak.

- Nie mów Fiedii, że cię uderzyłem. Ja, bratku, nie wiedziałem, żeś ty opowiadacz.

- Nie powiem - odrzekł Płatonow.

TATARSKI MUŁŁA I CZYSTE POWIETRZE

Taki upał panował w więziennej celi, że nie widać było ani jednej muchy. Ogromne, okratowane żelazem okna otwarte były na oścież, ale nie dawało to żadnej ulgi -

rozpalony asfalt więziennego podwórca wysyłał w górę fale gorąca i w celi było nawet cieplej niż na zewnątrz. Zrzucono wszystką odzież i setki nagich ciał, buchających ciężkim, wilgotnym żarem, wierciło się na podłodze, ociekając potem - na narach było zbyt gorąco. Więźniowie ustawiali się w samych kałesonach w czasie komendanckich apeli, godzinami sterczeli w ustępach podczas „załatwiania

potrzeby", polewając się wodą z umywalni. Pomagało to jednak nie na długo. Ci, którzy z powodu ciasnoty zmuszeni byli leżeć pod pryczami, stali się nagle posiadaczami najlepszych miejsc. Żartowano, w związku z nieuniknionym przygotowaniem się do „odległych obozów" - żarty były po więziennemu ponure - że to tortura pary przed torturą mrozu. Tatarski mułła, więzień znajdujący się w śledztwie dotyczącym słynnej sprawy „Wielkiej Tatarii", o której wiedzieliśmy o wiele wcześniej, nim wspomniały o niej gazety, silny jeszcze sześćdziesięciolatek o typie sangwinika, z potężną pierśią pokrytą siwymi włosami i żywym spojrzeniem ciemnych oczu, mówił nieustannie, wycierając mokrą szmatą łysą, lśniącą czaszkę.

- Byle tylko nie rozstrzelali. Dadzą dziesięć lat, głupstwo. Taki wyrok przerazić może tylko tego, kto zbiera się żyć do czterdziestki. A ja mam

zamiar dożyć osiemdziesięciu lat. (Mułła, wracając ze „spaceru”, wbiegał na czwarte

piętro bez żadnej zadyszki). Jeżeli dadzą więcej niż dziesięć - ciągnął swoje wywody - to w więzieniu zdołam przeżyć dwadzieścia lat. A w łagrze - tu mułła zamilkł - na czystym powietrzu, to dziesięć.

Przypomniałem sobie dzisiaj tego rzeźwego, mądrego mułłę gdy ponownie czytałem "Wspomnienia z domu umarłych". Mułła wiedział co to jest „czyste powietrze”. Mikołaj Morozow i Wiera Figner przebywali w Twierdzy Pietropawłowskiej, przy nadzwyczaj srogim reżimie, przez dwadzieścia pięć lat i wyszli na wolność jako ludzie całkowicie zdolni do pracy. Wiera Nikołajewna, nie zmuszając się do tego, znalazła w sobie siły do dalszej aktywnej pracy dla rewolucji, a potem napisała wielotomowe wspomnienia o przebytych okrucieństwach. Mikołaj Aleksandrowicz z kolei napisał szereg znanych prac naukowych (których zasadniczy trzon stworzył jeszcze w twierdzy) i ożenił się z miłości z jakąś gimnazjalistką. W łagrze, aby stać się „dochodiagą” - cieniem człowieka, młody, zdrowy człowiek rozpoczynający swą karierę w wyrobisku na „czystym powietrzu” potrzebuje nie mniej niż dwadzieścia do trzydziestu dni przy szesnastogodzinnej pracy bez wolnych dni,

przy stałym głodzie, porwanej odzieży i noclegach w dziurawych brezentowych namiotach na sześćdziesięciostopniowym mrozie; bijący dziesiętnicy, bijący starostowie-kryminaliści, bijący konwojenci - przyspieszają nieco ten proces. Sprawdzono to wielokrotnie. Brygady rozpoczynające sezon wydobywania złota i noszące imiona swoich brygadzystów nie zachowują w składzie do końca sezonu ani jednego człowieka z tych, którzy go rozpoczynali. Oczywiście oprócz samego brygadzisty, sprzątającego i jeszcze kogoś z osobistych przyjaciół brygadzisty. Pozostały skład brygady zmienia się kilkakrotnie w ciągu lata. Kopalnia złota nieustannie wyrzuca ludzkie odpady produkcji do szpitali, do tak zwanych brygad ozdrowieńczych, do miasteczek inwalidzkich i na bratnie cmentarze. Sezon wydobywczy rozpoczyna się piętnastego maja, a kończy piętnastego września. O pracy w zimie nie ma nawet co mówić. Wraz ze zbliżającym się latem podstawowe brygady do pracy formuje się z ludzi nowych, którzy jeszcze nie zimowali. Więźniowie, po otrzymaniu swojego „terminu”, rwali się z więzienia do łagru. Tam praca, wiejskie powietrze, przedterminowe zwolnienia, możliwość korespondencji i paczek od rodziny, możliwość zarobienia pieniędzy. Człowiek zawsze wierzy w to, co lepsze. Przy szczelinach w drzwiach wagonu towarowego, którym wieziono nas

na Daleki Wschód, bez przerwy tłoczyli się pasażerowie więziennego etapu, z upojeniem wdychając poruszane przejazdem pociągu chłodne, przesycone zapachem polnych kwiatów powietrze łagodnego wieczoru. Było ono odmienne od gęstego, pachnącego karbolem i ludzkim potem powietrza więziennej celi, tak znieawidzonej przez wiele miesięcy śledztwa. W celach tych zostawiano wspomnienia poniżeń i zniewag, wspomnienia, których nie chciano zachować.

Ludzie prostodusznie wyobrażali sobie, że więzienie śledcze jest najbardziej okrutnym przeżyciem, które tak gwałtownie obróciło wniwecz ich egzystencję. W szczególności aresztowanie stało się niesłychanie silnym wstrząsem moralnym. Teraz, wyrwawszy się z więzienia, podświadomie chcieli uwierzyć w wolność, chociażby względną, ale jednak wolność, i życie bez przeklętych krat, bez obrażających i poniżających przesłuchań. Rozpoczęła się nowe życie, bez tego napięcia woli, koniecznego w czasie przesłuchań w śledztwie. Głęboką ulgę sprawiała im świadomość tego, że otrzymany wyrok pozwala nie myśleć, co akurat należy mówić śledczemu, że nie trzeba układać życiowych planów, nie trzeba walczyć o kawałek chleba — poddani bowiem zostali cudzej woli, bez możliwości żadnej zmiany ani opuszczenia tej drogi —

wyznaczonej przez błyszczące tory – powoli, lecz nieustępliwie wiodącej na północ. Pociąg szedł na spotkanie zimie. Każda noc była chłodniejsza od poprzedniej, a zielone, grube liście topoli pociągnięte już były bladą żółcią. Słońce przestało już tak jaskrawo świecić ani tak nie grzało; jak gdyby jego złocista moc została pochłonięta przez liście topoli, klonów, brzoź, osik. Liście same jarzyły się złocistym światłem. A blade, anemiczne słońce, skrywające się przez większą część dnia za ciepłymi chmurkami, od których jeszcze nie pachniało śniegiem, nie potrafiło nawet ogrzać wagonów. Ale i do śniegu nie było już tak daleko. Punkt tranzytowy to jeszcze jeden element „marszruty” wiodącej na Północ. Dalekowschodnia zatoka powitała ich niewielką zamiecią. Śnieg jeszcze się nie trzymał – wiatr zdmuchiwał go z przemarzniętych, żółtych urwisk do jam wypełnionych mętną i brudną wodą. Zamiecie tworzyły lekką, przezroczystą siatkę, podobną do sieci rybackiej, której białe nici tworzone przez opad śniegu narzucono na miasto. Nad morzem śniegu w ogóle nie było widać – ciemnozielone, grzywiaste fale nabiegały na oślizłe, zielonkawe kamienie. Patrząc z góry na stojący na redzie parowiec, można było mieć złudzenie, że jest załadowany; i nawet kiedy ich podwieziono kutrem pod samą burtę i gdy

wdrapali się jeden za drugim na pokład, aby od razu się rozproszyć i zniknąć w gardzielach ładowni - nawet wtedy parowiec wydał się nieoczekiwanie mały, tak wiele wody go okrażało. Po pięciu dniach wyladowano ich na surowym, posępnym brzegu, gdzie rozpoczyna się tajga, i rozwieszono ciężarówkami do tych różnych miejsc, gdzie mieli żyć i przeżyć. Zdrowe wiejskie powietrze pozostawili za morzem. Tu otaczało ich przepojone zapachem błot, rozrzedzone powietrze tajgi. Stożkowate wzgórza pokryte były warstwą błota i tylko ich niezalesione miejsca połyskiwały nagim, wypolerowanym przez burze i wiatry wapieniem. Nogi tonęły w grzaskim mchu i rzadko kiedy w ciągu lata były suche. Zimą wszystko skuwał lód. Pięćdziesięciostopniowy mróz skuwał wszystko w jedną całość - złowieszczą i nieprzyjazną; a góry i rzeki, i błota zdawały się być jakąś jedną istotą. Dla sercowców powietrze było latem zbyt ciężkie, zimą zaś nie do wytrzymania. W czasie wielkich mrozów ludzie oddychali nierówno. Tutaj nikt nie poruszał się biegiem, chyba tylko bardzo młodzi; a i to nie biegiem, tylko jakimiś zrywami. Twarze oblepiały chmury komarów - bez siatki nie można było zrobić kroku. W czasie pracy trudno było przez nią oddychać, a na uniesienie jej nie pozwalały komary. Pracowali wtedy po szesnaście godzin na dobę i normy były

obliczone na szesnaście godzin. Jeśli uwzględnić, że ranne wstawanie, posiłek, wyprowadzenie do pracy i dojście na miejsce zajmują minimum półtorej godziny, to na sen, po ciężkiej, morderczej fizycznej pracy na świeżym powietrzu, zostawały tylko cztery godziny. Człowiek zasypiał natychmiast, z chwilą gdy przestawał się ruszać, lecz udawało się także zasypiać, stojąc, a nawet w marszu. Brak snu zabierał więcej sił niż głód. Niewykonanie normy groziło karą w postaci czterystu gramów chleba na dzień i pozbawienia zupy - „bałandy”. Z pierwszą iluzją rozprawiono się szybko. Była to iluzja pracy, tej pracy, o której nad wrotami wszystkich łagrów głosił ustawowy napis: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa”. Ale łagier nie potrafił zaszcześcić miłości do pracy - jedynie nienawiść i wstręt. Raz w miesiącu obozowy listonosz odwoził do ocenzurowania nagromadzoną korespondencję. Listy szły z kontynentu i na kontynent po pół roku - jeżeli w ogóle szły. Paczki wydawano tylko tym, którzy wykonali normę, pozostałe podlegały konfiskacie. Wszystko to w żadnym wypadku nie było bezprawiem. Na ten temat czytano odpowiednie zarządzenia, a w szczególnie ważnych przypadkach wszyscy musieli złożyć podpis pod zarządzeniem. Nie był to wybryk dzikiej fantazji jakiegoś

naczelnika-degenerata, było to zarządzenie z góry. Jeżeli jednak paczki do kogoś docierały (można było na przykład obiecać jedną połowę zawartości paczki jakiemukolwiek łagrowemu nadzorcy, drugą wówczas otrzymać samemu), to nie było takiej przesyłki gdzie zanieść. W baraku błatniacy tylko czekali, żeby na oczach wszystkich odebrać paczkę i podzielić się ze swoimi „Wanieczkami” i „Sienieczkami”. Trzeba ją było natychmiast zjeść (co fizycznie niemożliwe) lub sprzedać. Nabywców było ich tylko trochę: dziesiętnicy, naczelnicy, lekarze. Było jeszcze trochę wyjście, najbardziej rozpowszechnione. Paczki oddawało się na przechowanie swoim znajomym z łagru czy też z więzienia, pracującym na różnych stanowiskach i w miejscach, gdzie można było paczki schować i zamknąć. Oddawano też komukolwiek z wolnych pracowników. I w jednym, i w drugim przypadku zawsze jednak istniało ryzyko – nikt nie wierzył w rzetelność owych powierników, ale był to jedyny sposób ratowania otrzymanych przesyłek. Pieniądzy nie płacono wcale. Ani kopiejki. Płacono tylko najlepszym brygadziście, ale i to były śmiechu warte sumy, nie mogące w niczym pomóc. Wielu brygadziście postępowało w taki sposób: to, co brygada wypracowała, zapisywali na konto dwóch, trzech ludzi, dając im taki procent wykonania normy, za który

przysługiwała premia pieniężna. Pozostałym dwudziestu, trzydziestu ludziom w brygadzie przypadała w udziale karna norma żywnościowa. Było to sprytne rozwiązanie. Gdyby rozdzielić ten zarobek po równo – nikt nie dostałby kopiejki. A w ten sposób otrzymywało go dwóch, trzech ludzi, wybieranych zupełnie przypadkowo, często bez udziału brygadzisty, przy sporządzaniu raportu. Wszyscy wiedzieli, że normy są nie do wykonania, że zarobków pieniężnych nie ma i nie będzie, mimo to chodzono w ślad za dziesiętnikiem, interesując się urobkiem, czy biegano naprzeciw kasjerowi, zachodzono do biura po informacje. Cóż to więc takiego? Czyżby to było pragnienie, aby przedstawić się jako prawdziwi „robociarze”, czy też podnieść swoją reputację w oczach kierownictwa? A może całkiem po prostu było to jakieś psychiczne zboczenie na tle spadku wyżywienia i ogólnej słabości? To ostatnie chyba najbardziej prawdopodobne. Jasne, ciepłe, czyste więzienne powietrze, tak jeszcze niedawno i jednocześnie nieskończenie dawno opuszczone, wydawało się wszystkim, absolutnie wszystkim, najlepszym miejscem na ziemi. Zapominano wszystkie więzienne urazy i wszyscy z entuzjazmem wspominali, jak to słuchali wykładów prawdziwych uczonych i opowiadań ludzi bywałych w świecie, jak czytali książki, jak spali i jedli do syta, chodzili do

cudownej, pachnącej farbą więziennej łaźni, jak wyraźnie czuli, że ich rodziny znajdują się tutaj blisko, za podwójnymi żelaznymi wrotami, jak mówili swobodnie, o czym tylko chcieli (w łagrze należy się za to dodatkowy wyrok), nie bojąc się ani szpiegów, ani nadzorców. Więzienie śledcze wydawało im się bliższe niż dom rodzinny i niejeden, choć zostało mu niewiele dni życia, mówił w rozmarzeniu, leżąc na szpitalnym łóżku: „chciałbym, oczywiście, zobaczyć się jeszcze z rodziną, wyjechać stąd. Ale jeszcze bardziej chciałbym trafić do celi więzienia śledczego - tam było lepiej i ciekawiej niż w domu. I teraz dopiero opowiadałbym wszystkim znajomym, czym jest czyste powietrze". Do tego trzeba dodać skorbut (na który chorowali prawie wszyscy), stający się jak za czasów Beringa groźną, niebezpieczną epidemią, porywająca dziesiątki istnień; dyżenterię, ponieważ jedzono wszystko, co udało się znaleźć, w dążeniu do napełnienia żołądka, zbierając kuchenne odpadki z wysypisk gęsto pokrytych muchami; pelagrę - tę chorobę biedaków, wycieńczenie organizmu, objawiające się tym, że skóra na stopach i dłoniach schodziła jak stara rękawiczka, na całym ciele łuszczyła się w postaci płatków przypominających odciski daktyloskopijne; i wreszcie słynną dystrofię głodową - chorobę głodujących, którą dopiero po blokadzie

Leningradu zaczęto nazywać właściwym imieniem. Przedtem nosiła ona różne nazwy: OWF – tajemnicze litery figurujące w historiach chorób, oznaczające ostre wyczerpanie fizyczne; częściej jednak – poliawitaminoza, piękna łacińska nazwa mówiąca o braku całego szeregu witamin w organizmie ludzkim, a uspokajająca lekarzy tym, że znaleźli wywodzącą się z łaciny wygodną i uprawnioną formę mówienia o skutkach zawsze tego samego, głodu. Nieopalane, wilgotne baraki, gdzie wszystkie szczeliny pokryte były od zewnątrz grubą warstwą lodu, podobną do stearyny spływającej z jakiejś ogromnej świecy w rogu baraku, marna odzież i głodowe porcje, odmrożenia – męki, których skutki pozostaną już na zawsze, nawet bez uciekania się do amputacji. Jeśli wyobrazić sobie, ile przy tym, w owych pokrytych błotem górach, tak zgubnych dla

sercowców, musiało pojawić się zachorowań na grypę, zapaleń płuc, różnego rodzaju przeziębień i gruźlicy. Jeśli przypomnieć całe epidemie samookaleczeń. Jeśli jeszcze uwzględnić zarówno ogromną moralną udrękę, jak i brak nadziei, to jasno widać, jak „czyste powietrze” górowało nad więzieniem, zagrażając ludzkiemu życiu. Dlatego nie ma co polemizować z Dostojewskim na temat „pracy” na

katordze w porównaniu z więzienną bezczynnością i zalet „czystego powietrza”. Czasy Dostojewskiego to inne czasy i katorga nie wzniosła się wówczas na te wyżyny, o których będzie mowa. Trudno sobie to wcześniej dokładniej wyobrazić, dlatego że wszystko to jest zbyt niezwykle i nieprawdopodobne, a biedny ludzki mózg nie może po prostu stworzyć konkretnego wyobrażenia o tym życiu, o którym mgliste, słabo zarysowane, chwiejne pojęcie miał znajomy z więzienia - tatarski mułła.

TERMOMETR GRISZKI ŁOGUNA

Ogarnęło nas takie zmęczenie, że przed odejściem do domu usiedliśmy wprost na śniegu przy drodze. Zamiast wczorajszych czterdziestu stopni było ich zaledwie dwadzieścia i dzień wydawał się letni. Obok nas przeszedł ubrany w kożuszek Griszka Łogun, kierownik robót z sąsiedniego odcinka, trzymając w rękę nowy trzonek od kilofa. Griszka był młody, gorący, zadziwiająco czerwonolicy. Wywodził się z dziesiątników, a nawet z młodszych dziesiątników, i częstokroć nie mógł się powstrzymać, by samemu nie podeprzeć grzęznącego w śniegu samochodu, nie pomóc dźwignąć jakiejś kłody lub nie ruszyć z miejsca przymarzniętego do gruntu kosza pełnego ziemi; były to postęпки jawnie nielicujące z funkcją

kierownika robót. On stale zapominał, kim jest. Szła mu naprzeciw brygada Winogradowa - robociarze byle jacy, tak jak i my. Jej skład osobowy był dokładnie taki sam jak u nas: byli sekretarze komitetów wojewódzkich i miejskich, profesorowie, docenci, wojskowi średniej rangi... Ludzie bojaźliwie zbili się w gromadkę przy śnieżnym obrzeżu, chcąc zrobić przejście Griszce Łogunowi, on jednak zatrzymał się - brygada pracowała na jego odcinku. Z grupy wysunął się Winogradow - gaduła, były dyrektor jednego z ukraińskich POM-ów. Łogun zdążył już znacznie oddalić się od tego miejsca, gdzie siedzieliśmy, i jego głos do nas nie docierał. Ale i bez słów wszystko było zrozumiałe. Winogradow objaśniał coś Łogunowi, wymachując rękami. Potem Łogun pchnął Winogradowa w pierś trzonkiem kilofa i ten upadł na wznak. Nie podnosił się. Łogun skoczył na niego nogami, deptając i wymachując trzonkiem. Żaden z dwudziestu członków brygady Winogradowa nie ruszył się w obronie swego brygadzysty. Łogun podniósł z ziemi czapkę, która mu spadła z głowy, pogroził pięścią i ruszył przed siebie. Winogradow zaś wstał i poszedł jak gdyby nic. Również pozostali - brygada przechodziła mimo nas - nie wyrażali ani swego współczucia, ani oburzenia. Zrównawszy się z nami, Winogradow skrzywił rozbite, krwawiące wargi.

- No, termometr to ma ten Łogun - powiedział, mając na myśli trzonek kilofa.

Tak deptać - to po błatniacku „tańczyć”. Albo: „Ach w tej sieni mojej sieni”.

- No - rzekłem do Wawiłowa, mego przyjaciela, z którym razem przyjechałem do kopalni aż z samego więzienia na Butyrkach - i co ty na to? Trzeba coś przedsięwziąć. Do wczoraj nas jeszcze nie bito. Mogą to zrobić jutro. Co byś zrobił, gdyby Łogun potraktował cię tak jak Winogradowa? Co?

- Pewnie wytrzymałbym - odparł cicho Wawiłow.

Zrozumiałem, że od dawna już zastanawiał się nad tym, co nieuchronne. Potem i ja pojąłem, że wszystko polega na przewadze fizycznej, jeżeli odnieść to do brygadzystów, sprzątających, nadzorców - wszystkich funkcyjnych nie noszących broni. Dopóki jestem silniejszy, nikt mnie nie uderzy. Jeżeli osłabłem, bije mnie każdy. Biję sprzątający, bije łaziebny, fryzjer i kucharz. Dziesiętnik i brygadzysta, bije każdy błatniak, nawet najslabszy. Natomiast fizyczna przewaga konwojenta to jego karabin. Siła bijącego mnie naczelnika to prawo i sąd, i trybunał wojskowy, i straż obozowa, i wojsko. Nietrudno mu być silniejszym ode mnie. Siła błatniaków leży w ich liczbie, ich „kolektywie”, w tym, że mogą po paru słowach zarżnąć człowieka (jak widziałem to wiele razy).

Ale ja też jeszcze jestem silny. Może mnie bić naczelnik, konwojent, błatniak. Sprzątający, dziesiętnik, fryzjer jeszcze mnie bić nie zdołają. Niegdyś Polański, w przeszłości działacz sportowy, otrzymujący wiele paczek, który nigdy nie podzielił się z nikim najmniejszym kawałkiem, mówił mi w formie zarzutu, że zupełnie nie rozumie, jak ludzie mogą doprowadzić się do takiego stanu, że ich biją - i obruszał się, gdy byłem innego zdania. Nie minął jednak rok, a spotkałem Polańskiego już jako „dochodiagę”, „knota” zbierającego niedopałki, szukającego okazji, aby podrapać pięty przed nocą jakimś błatniackim wodzom-pachanom. Polański był uczciwy. Targały nim jakieś tajemne męczarnie, tak silne, ostre, drażące, że zdołały się przebić przez lód, przez śmierć, przez obojętność i bicie, przez głód, bezsenność i strach. Kiedyś wydarzył się dzień świąteczny, a w święta sadzano nas pod klucz - nazywało się to świąteczną izolacją - i byli ludzie, którzy spotkali się, poznawali wzajemnie, zaczynali darzyć zaufaniem właśnie na tych „izolacjach”. Jakkolwiek okropna byłaby izolacja, jaka bądź poniżająca - była jednak dla więźniów z pięćdziesiątego ósmego paragrafu lżejsza niż praca. Przecież izolacja była wypoczynkiem - choćby chwilowym. Któż wtedy był w stanie się zorientować, czy właśnie minuta, doba czy rok lub

stulecie potrzebne są nam, aby odzyskać kondycję fizyczną? Bo na powrót do poprzedniego stanu ducha nie liczyliśmy. I tak się oczywiście działo.

- Od dawna chcę cię o coś spytać.

- Cóż to takiego?

- Gdy przed paru miesiącami patrzyłem na ciebie, jak chodzisz, jak nie możesz przekroczyć leżącej na drodze kłody, którą przekroczyłby pies, i obchodzisz ją, jak szurasz nogami po kamieniach i jak najmniejsza nierówność, nieznaczny wzgórek napotkany na drodze wydaje ci się przeszkodą nie do pokonania, wywołującą bicie serca, zadyszkę i wymagającą dłuższego odpoczynku, myślałem: to symulant, to spryciarz, doświadczona swołocz, próżniak.

- No, a potem zrozumiałeś?

- Potem zrozumiałem. Pojąłem, kiedy sam osłabłem. Gdy wszyscy poczęli mnie szturchać, bić; a dla człowieka nie ma nic przyjemniejszego niż świadomość, że ktoś jest jeszcze słabszy, w gorszym stanie. Dlaczego przodowników zaprasza się na zebrania, dlaczego siła fizyczna stanowi miarę moralną? Fizycznie silniejszy oznacza, że lepszy ode mnie, cenniejszy moralnie. No bo jakżeby. Podnosi głaz ważący dziesięć pudów, a ja zginam się pod półpudowym kamieniem. Ja to wszystko zrozumiałem i chcę ci o tym powiedzieć.

- Dzięki i za to.

Wkrótce potem Polański zmarł, upadł

gdzieś tam na wyrobisku. Uderzył go pięścią w twarz brygadzista. Brygadzista tym był nie Griszka Łogun, lecz swój, Firsow, wojskowy z pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Ja sam doskonale pamiętam, kiedy uderzono mnie po raz pierwszy. Pierwszy z setek tysięcy razy otrzymywanych w dzień i w nocy. Zapamiętać wszystkie razy to niemożliwe, ale pierwsze uderzenie pamiętam dobrze - byłem nawet na to przygotowany, ponieważ widziałem zachowanie Griszki Łoguna i pokorę Wawiłowa. Pośród głodu i chłodu, czternastogodzinnego roboczego dnia w mroźnej mgie kamienistego wyrobiska złota błysnęło nagle coś innego, jakieś szczęście, jakaś jałmużna wetknięta po drodze - nie jałmużna chleba czy lekarstwa, ale czasu, dodatkowego wypoczynku. Nadzorcą górniczym dziesiątnikiem na naszym odcinku, był Zujew, „wolniaszka”, były więzień, który zaznał łagru. Było coś takiego w czarnych oczach Zujewa, jak gdyby wyraz jakiegoś współczucia dla nieszczęsnego ludzkiego losu. Władza to deprawacja. Spuszczone z łańcucha zwierzę ukryte w duszy człowieka szuka pożądliwie wypełnienia swej ludzkiej treści w biciu i zabójstwach. Nie wiem, czy może sprawiać zadowolenie podpis na wyroku skazującym na rozstrzelanie. Pewnie w tym również kryje się ponura rozkosz, imaginacja nie szukająca usprawiedliwienia. Widziałem ludzi,

wielu ludzi, którzy kiedyś rozkazywali rozstrzeliwać, a teraz zabijano ich samych. Sama w nich już tylko tchórzliwość i krzyk: „To przecież jakaś omyłka!”, „To nie ja!”, „Ja sam umiem zabijać tego, kogo trzeba zgładzić w interesie państwa!”. Nie znam ludzi, którzy wydawali rozkazy dotyczące rozstrzelań. Widziałem ich tylko z daleka.

Myślę jednak, że wydanie takiego rozkazu opiera się na istnieniu tych samych stanów duszy, tych samych sił duchowych, co rzeczywiste rozstrzelanie, własnoręczne zabójstwo. Władza to deprawacja. Upojenie władzą nad ludźmi, bezkarność, znęcanie się, poniżenia i zachęty to moralna miara służbowej kariery naczelnika. Lecz Zujew był taki w mniejszym stopniu niż inni – mieliśmy szczęście. Dopiero co przyszliśmy do pracy i brygada stłoczyła się w „zaciszu”, schowała się przed ostrym, tnącym wiatrem za występ skalny. Zakrywając twarz rękawicami, podszedł do nas Zujew, dziesiętnik. Rozprowadzono nas do różnych prac, do różnych wykopów, a ja pozostałem bez zajęcia.

– Mam do ciebie prośbę – powiedział Zujew, dławiąc się własną śmiałością. (Prośbę! To nie rozkaz!) – Napisz mi podanie do Kalinina. Żeby skreślono karalność. Powiem ci, w czym rzecz...

Miało to być w maleńkiej budce dziesiętnika, gdzie palił się piecyk i dokąd nasz ludek nie był wpuszczany; wyganiano kuksańcami, szturchańcami każdego robociarza, który ośmielił się otworzyć drzwi, aby choć trochę, przez chwilę odetchnąć tym gorącym, życiodajnym powietrzem. Ale zwierzęcy instynkt wiódł nas wciąż do owych upragnionych drzwi. Wymyślano prośby i zapytania: powiedzcie, która godzina? Czy wykop pójdzie w prawo, czy w lewo? Pozwólcie przypalić! Nie ma tu Zujewa? A Dobriakowa? Lecz prośby nie myliły nikogo w budce. Tych, co chcieli wejść, wyszturchiwano z otwartych drzwi. Mimo wszystko, ta chwila ciepła. Mnie teraz nie goniono, siedziałem przy samym piecyku.

- Cóż to, jesteś prawnikiem? - syknął ktoś pogardliwie.

- Tak, polecił mnie Paweł Iwanowicz.

- No dobrze. - starszy dziesiętnik pobłażliwie potraktował potrzebę swojego podwładnego. Sprawa Zujewa (skończył odsiadkę w zeszłym roku) była najzwyczajszą wiejską sprawą o płacenie alimentów rodzicom - oni właśnie wsadzili go do więzienia. Do zakończenia terminu pozostawało już niewiele, ale naczałstwo zdążyło przerwucić Zujewa na Kołymę. Kolonizacja kraju wymaga trzymania się twardej linii, stwarzania wszelkiego rodzaju przeszkód przy próbach wyjazdu, okazywania pomocy

państwa i poświęcania uwagi wszystkiemu, co związane jest z przyjazdem i przywożeniem ludzi na Kołymę. Transport więźniów to najprostszy sposób zaludniania nowego, trudnego terytorium. Zujew chciał odejść z pracy w Dalstroju, prosił o skreślenie karalności i wypuszczenie go chociażby na „kontynent”.

Pisanie sprawiało mi trudność i to nie dlatego, że zgrubiały mi ręce, że palce zginały się w kształt trzonka łopaty czy kilofa i nieprawdopodobnie trudno dawały się rozginać. Jedyne, co można było zrobić, to owinać ołówek czy pióro grubszymi szmatkami, aby uczynić te drzewca. Jak tylko na to wpadłem, byłem gotów do pracy. Pisanie sprawiało mi trudność również dlatego, że podobnie do rąk miałem zgrubiały mózg; dlatego, że tak jak ręce, mózg ociekał krwią. Trzeba było ożywić, wskrzesić słowa, które dawno uleciały z mojego życia i - jak sądziłem - na zawsze. Zapisywałem ten papier, pocąc się i ciesząc. W budce było gorąco, od razu poruszyły się i zaczęły pełzać po ciele wszy. Bałem się poskrobać, żeby - jako zawszonego - nie wyrzucono mnie na mróz; bałem się obudzić wstręt w swoim wybawcy. Pod wieczór ukończyłem to zażalenie do Kalinina. Zujew podziękował mi i wsunął do ręki porcję chleba. Należało ją natychmiast zjeść. Zresztą, nic, co można zjeść od razu, nie powinno być odkładane do jutra - tego mnie już

nauczono. Dzień się kończył i według zegarków dziesiętników, bo biała mgła była jednakowa i rano, i o północy, i w południe - poprowadzono nas więc do domu.

Spałem i, jak zawsze dotychczas, śniłem swój stały kołymski sen: bochenki chleba, które płynęły w powietrzu, zapełniały wszystkie ulice, całą ziemię. Z rana oczekiwałem spotkania z Zujewem - może da

zapalić. I Zujew przyszedł. Nie kryjąc się przed brygadą i konwojem, wrzasnął, wyciągając mnie z zacisza na wiatr:

- Oszukałeś mnie, psie!

W nocy przeczytał podanie. Nie spodobało mu się. Jego sąsiedzi, dziesiętnicy, także przeczytali i nie zaaprobowali tego podania. Zbyt suche. Za mało łez. Takiego podania nie ma nawet co posyłać. Takim byle czym nie rozczuli się Kalinina. Ja nie mogłem, nie potrafiłem wycisnąć ze swego wysuszonego przez łagier mózgu ani jednego zbędnego słowa. Nie udało mi się zagłuszyć nienawiści. Nie poradziłem sobie z tą pracą i to nie dlatego, że istniała zbyt wielka przepaść między wolnością i Kołymą, nie dlatego, że mózg mój był zmęczony i chory, lecz dlatego, że tam, gdzie powinny kryć się w nim przymiotniki wyrażające uniesienie, nie było niczego oprócz nienawiści. Pomyślcie, jak biedny Dostojewski przez całe dziesięć lat swojej sybirskiej żołnierki, już po napisaniu "Wspomnień z domu umarłych"

słał żalotne, łzawe, poniżające, ale poruszające duszę władz listy. Dostojewski pisał nawet wiersze do carycy. W „Domu umarłych” nie było jednak Kołomy. Dostojewskiego dosięgłaby niemota, ta sama niemota, która nie dała mi napisać podania Zujewowi.

- Oszukałeś mnie, ty psie! - ryczał Zujew. - Ja ci pokażę, co znaczy mnie oszukiwać!

- Ja nie oszukiwałem...

- Cały dzień przesiadział w budce, w cieple! Ja narażam się na wyrok przez ciebie, ty gadzie, przez twoje markieranctwo! Myślałem, żeś ty człowiek!

- Ja jestem człowiekiem - wyszeptalem niepewnie sinymi, poodmrażanymi wargami.

- Zaraz ci pokażę, jaki z ciebie człowiek!

I Zujew wyrzucił rękę, a ja poczułem lekkie, prawie nieważkie dotknięcie, nie bardziej silne niż podmuch wiatru, który nie raz zbijał mnie z nóg w tym samym wykopie. Upadłem i zakrywając twarz rękami, zlizalem językiem coś słodkiego, lepkiego, co pojawiło się na skraju warg. Zujew przyłożył mi kilka razy w bok walonkami, ale mnie to nie bolało.

PIERWSZA ŚMIERĆ

Wiele śmierci widziałem na Północy, chyba nawet za wiele jak na jednego człowieka, ale pierwszą, jaką widziałem, zapamiętałem na całe życie. Tej zimy

musieliśmy pracować na nocnej zmianie.

Na

czarnym niebie widzieliśmy maleńki, jasnoszary księżyc, otoczony tęczową aureolą. Słońca nie widywaliśmy wcale - przychodziliśmy do baraku (nie do domu - domem nikt go nie nazywał) w ciemnościach i wychodzili z niego też, gdy było jeszcze ciemno. Zresztą słońce ukazywało się na tak krótko, że nie potrafiło nawet obejrzeć ziemi poprzez białą, gęstą tkaninę mroźnej mgły. Położenie słońca określaliśmy, zgadując - nie dawało ani światła, ani ciepła. Musieliśmy daleko chodzić do kopalni dwa, trzy kilometry, droga prowadziła między dwoma ogromnymi, wysokimi na trzy sążnie zwałami śniegu - tej zimy naniosło go bardzo dużo i po każdej zawieci trzeba było kopalnię odgrzebywać. Żeby umożliwić przejazd samochodom, tysiące ludzi wychodziło z łopatami. Wszystkich pracujących przy odśnieżaniu okrężał zmieniający się konwój z psami i trzymał ich okrągłą dobę przy pracy, nie zezwalając na ogrzanie się ani na zjedzenie czegokolwiek w ciepłe. Konie dowoziły przemarznięte chlebowe „racje”, a czasem, jeżeli praca się przeciągała, również konserwy - po jednej puszcze na dwóch. Tymi samymi końmi odwożono do łagru chorych i tych, co zupełnie osłabli. Puszczano dopiero wtedy, kiedy praca była skończona - po to, aby mogli się wypać i ponownie wyjść na mróz do

swej „prawdziwej” roboty. Spostrzegłem wtedy coś zadziwiającego - w takiej wielogodzinnej pracy ciężko i bardzo trudno jest tylko przez pierwszych siedem-osiem godzin. Potem traci się poczucie czasu, podświadomie jedynie uważając, żeby nie zamarznąć: drepcesz na miejscu, machasz łopata, o niczym nie myśląc, niczego się nie spodziewając. Zakończenie takiej pracy bywa zawsze czymś nieoczekiwanym, nagłym szczęściem, na które jakbyś w ogóle nie śmiał liczyć. Wszyscy stają się weseli, hałaśliwi i na jakiś czas nie ma już głodu ani śmiertelnego zmęczenia. Szybko uformowawszy się w szeregi, wszyscy wesoło biegną do domu. A po bokach wznoszą się nasypy ogromnego śnieżnego okopu, wały odcinające nas od całego świata. Zamieci już dawno nie było, sypki śnieg osiadł, sprasował się i wydawał się jeszcze bardziej mocny i twardy. Można było iść po grzbiecie wału, zupełnie się nie zapadając. Z obu stron przecinały je w kilku miejscach biegnące w poprzek drogi. Na obiad przychodziliśmy o drugiej w nocy, wypełniając barak hałasem przemarzniętych ludzi, szczękiem łopat, głośnym gwarem tych, którzy dopiero co przyszli z dworu, gwarem, który stopniowo cichnie i gaśnie, powracając do normalnego poziomu ludzkiej mowy. Nocą obiad był zawsze w baraku, a nie w wymrożonej stołówce z wybitymi szybami,

której wszyscy nienawidziliśmy. Po obiedzie ci, co mieli machorkę, zapalali, a tym, co nie mieli, koledzy zostawiali „popalić” i w rezultacie każdy zdążył „podyszeć dymem”. Nasz brygadzysta, Kola Andriejew, były dyrektor MTS - stacji naprawy traktorów i samochodów, a obecnie prawdziwy więzień, zasądzony na dziesięć lat według modnego pięćdziesiątego ósmego paragrafu, chodził zawsze na czele brygady i zawsze szybko. Nasza brygada chodziła bez konwoju. Brakowało go w owych czasach - tym dało się tłumaczyć to „zaufanie” naczalstwa. Jednakże, chociaż to bardzo naiwne, poczucie własnej odrębności, możliwość chodzenia bez konwoju, stanowiły coś istotnego. Takie chodzenie do pracy wszystkim się rzeczywiście podobało, było przedmiotem dumy i przechwałek. Brygada naprawdę pracowała lepiej niż potem, kiedy starczało konwojentów, i brygadę Andriejewa zrównano w prawach ze wszystkimi. Tej nocy Andriejew prowadził nas nową drogą - nie dołem, lecz wprost, grzbietem śnieżnego nasypu. Widzieliśmy migotanie złotych ogników kopalni, ciemny masyw lasu i stapiające się z niebem dalekie wierzchołki wzgórz. Po raz pierwszy nocą ujrzeliśmy z daleka nasze miejsce zamieszkania. Dochodząc do skrzyżowania dróg, Andriejew nagle skręcił ostro w prawo i zbiegł w dół, wprost po śniegu. Za nim, pokornie powtarzając jego

niezrozumiałe ruchy, posypali się w dół ludzie całą hurmą, grzechocząc łomami, kilofami, łopatami - narzędzi nigdy nie pozostawiano w pracy, kradziono je tam, a za utratę narzędzia groziła kara. Dwa kroki od skrzyżowania stał człowiek w mundurze. Był bez czapki, krótkie ciemne włosy miał jakby zjeżone i

przysypane śniegiem a szynel rozpięty. Trochę dalej, wprowadzony wprost w głęboki śnieg, stał koń zaprzężony w lekkie sanie z koszem. A koło nóg tego człowieka leżała na wznak kobieta. Futerko było rozpięte, a pstra sukienka pomięta. Koło głowy walał się pognieciony czarny szal, wdeptany w śnieg podobnie jak jasne włosy kobiety, prawie białe w księżycowym świetle. Chudziutka szyja była obnażona, a z prawej i lewej strony występowały ciemne, owalne plamy. Twarz była biała, bezkrwista i dopiero gdy się przypatrzyłem, rozpoznałem Annę Pawłówną, sekretarkę naczelnika naszej kopalni. Wszyscy znaleźmy ją dobrze z widzenia - na kopalni było mało kobiet. Przed sześcioma miesiącami, latem, przechodziła wieczorem koło naszej brygady i jej chudziutką figurkę długo odprowadzały zachwycone spojrzenia arestantów. Uśmiechnęła się do nas wtedy i wskazała na słońce, ociężałe już opuszczające się ku zachodowi.

- Już niedługo, chłopcy, niedługo! - krzyknęła.

Jak łagrowe konie, przez cały roboczy dzień myśleliśmy tylko o momencie jego zakończenia. I to właśnie tak nas wzruszyło, że te nasze nieskomplikowane myśli zostały tak dobrze zrozumiane, a do tego jeszcze, według naszych ówczesnych pojęć, przez tak piękną kobietę. Nasza brygada lubiła Annę Pawłówną. A teraz leżała przed nami martwa, uduszona rękami człowieka w mundurze, który z zakłopotaniem i jednocześnie z dzikim przerażeniem w oczach rozglądał się dokoła. Jego znałem znacznie lepiej. To był nasz śledczy z kopalni, Sztmienko, który wielu więźniów „obdarzył sprawami”. Niestrudzenie przesłuchiwał, najmował za machorkę lub miskę zupy fałszywych świadków, werbując ich spośród wygłodniałych więźniów. Jednych zapewniał, że państwo tego wymaga, by kłamali, niektórym groził, innych przekupywał. Nie zadawał sobie trudu, aby przed momentem aresztowania swojego nowego obiektu śledztwa poznać go osobiście, wezwać do siebie, chociaż wszyscy mieszkali na terenie tej samej kopalni. To właśnie Sztmienko był tym „naczelnikiem”, który odwiedzając nasz barak przed trzema miesiącami, poniszczył wszystkie aresztanckie „kociołki” zrobione z puszek od konserw - gotowano w nich wszystko, co tylko

można było ugotować i zjeść. Noszono w nich obiad ze stołówki - żeby zjeść go, siedząc i na gorąco, podgrzewszy na piecyku we własnym baraku. Jako zwolennik czystości i dyscypliny, Sztienienko zażądał, aby podano mu kilof i własnoręcznie poprzebijał denka kociołków. Teraz, spostrzegłszy Andriejewa dwa kroki od siebie, chwycił za kaburę pistoletu, lecz zobaczywszy tłum ludzi uzbrojonych w łomy i kilofy, nie wyciągnął jednak broni. Ale już wiązano mu ręce. Robiono to z zaciekłością - węzeł został tak mocno zaciągnięty, że trzeba było potem sznur rozcinać nożem. Zwłoki Anny Pawłownej położono do kosza sań i ruszono do osady, do domu naczelnika kopalni. Nie wszyscy tam poszli z Andriejewem - wielu rzuciło się co prędzej do baraku, do zupy. Naczelnik długo nie otwierał, gdy dostrzegł przez okno tłum aresztantów zebranych przed jego domem. Na koniec Andriejewowi udało się wyjaśnić, o co chodzi, i razem ze związanym Sztienienką i dwoma więźniami weszli do środka. Tej nocy jedliśmy obiad bardzo długo. Andriejewa zaś ciągali na przesłuchania. Potem przyszedł, zarządził wyjście do pracy i poszliśmy. W niedługim czasie Sztienienkę skazano na dziesięć lat za zabójstwo z zazdrości. Kara była minimalna. Sądzonego w naszej kopalni i po wyroku dokądś go wywieziono. Byłych naczelników łagrów trzymają w takich

przypadkach gdzieś oddzielnie - nikt ich nigdy nie spotykał w zwykłych łagrach.

CIOCIA POLA

Ciocia Pola umarła w szpitalu na raka żołądka w wieku pięćdziesięciu lat. Sekcja potwierdziła diagnozę lekarza, który ją leczył. Zresztą w naszym szpitalu diagnoza patologiczno-anatomiczna rzadko kiedy nie pokrywa się z kliniczną - tak właśnie bywa w najlepszych i najgorszych szpitalach. Nazwisko cioci Poli znano tylko w biurze.

Nawet żona naczelnika, u którego ciocia Pola była „sprzątającą”, czyli służącą, nie pamiętała jej nazwiska. Wszyscy wiedzą, kim jest sprzątający czy sprzątająca, ale nie wszyscy wiedzą, kim oni mogą być. Zaufana osoba niedostępnego władcy tysięcy ludzkich istnień; świadek jego słabości i ciemnych stron jego osobowości. Człowiek znający mniej świetlane sekrety jego domu. Niewolnik, ale też nieodłączny uczestnik podwodnej czy podziemnej wojny domowej; uczestnik lub co najmniej obserwator domowych starć. Utajony arbiter w kłótniach męża z żoną. Prowadzący gospodarstwo rodziny naczelnika, pomnażający jego bogactwo i to nie tylko przez oszczędność oraz

uczciwość. Pewien sprzątający handlował dla naczelnika machorkowymi papierosami, sprzedając je więźniom po dziesięć rubli sztuka. Łagrowe biuro miar i wag ustaliło, że do pudełka od zapalek wchodzi machorki na osiem papierosów, a „ósemka” machorki to osiem takich pudełek. Podobne miary ciał sypkich używane są na 1/8 terytorium Związku Radzieckiego – w całej Syberii Wschodniej. Nasz sprzątający otrzymywał za każdą paczkę machorki sześćset czterdzieści rubli. Ale i ta liczba nie stanowiła, jak to się mówi, granicy możliwości. Można było nasypać niepełne pudełko – różnica prawie niezauważalna, a przy tym nikt nie zechce kłócić się ze sprzątającym naczelnika. Można „zawijać” cieńsze papierosy. Cały skręt to dzieło rąk i sumienia sprzątającego. Nasz sprzątający odkupował od naczelnika machorkę po pięćset rubli za paczkę, a stu czterdziesto rublowa różnica trafiała do jego kieszeni. Gospodarz cioci Poli nie handlował machorką i w ogóle nie zdarzało jej się zajmować żadnymi ciemnymi sprawkami. Ciocia Pola była doskonałą kucharką, a sprzątający, którzy posiadali wiedzę kulinarną, cenieni byli szczególnie wysoko. Ciocia Pola mogła – i rzeczywiście podejmowała się – urządzić kogo chciała z rodaków-Ukraińców: załatwić lżejszą pracę lub włączyć do jakiegokolwiek listy na

zwolnienie. Pomoc cioci Poli dla nich była naprawdę poważna. Natomiast innym nie pomagała, chyba tylko wspierała radą. Ciocia Pola pracowała u naczelnika siódmy rok i myślała, że wszystkie swoje dziesięć „rokiw” przeżyje dostatnio. Ciocia Pola była przezornie bezinteresowna i słuszenie uważała, że jej obojętność na podarunki i pieniądze nie może nie przypaść do gustu naczelnikowi. Przypuszczenia jej sprawdziły się. Była swoim człowiekiem w rodzinie naczelnika i zaplanowany już został sposób jej zwolnienia - miała figurować na liście pracowników kopalni, gdzie pracował brat naczelnika, jako ładowaczka samochodów ciężarowych, a kopalnia wystąpiłaby o jej zwolnienie. Jednak ciocia Pola zachorowała, czuła się coraz gorzej i odwieziono ją do szpitala. Lekarz naczelny przydzielił cioci Poli oddzielną izbę szpitalną. Dziesięć półtrupów wywleczono na zimny korytarz, aby zwolnić miejsce dla sprzątajacej naczelnika. Szpital ożywił się. Każdego dnia po południu zajeżdżały willisy, podjeżdżały ciężarówki; z kabin wychodziły damy w kożuchach i wojskowi - wszyscy spieszyli do cioci Poli. I ciocia Pola każdemu obiecywała: jeżeli wyzdrowieje, to szepnie słówko naczelnikowi. W każdą niedzielę wjeżdżała w szpitalne wrota limuzyna ZIS-110 - to przywożono cioci Poli paczkę i kartkę od żony naczelnika.

Ciocia Pola przekazywała wszystko sanitariuszkom; popróbuje łyżeczkę i oddaje. Ona знаła swoją chorobę. Ale przyjść do zdrowia ciocia Pola nie mogła.

I oto kiedyś w szpitalu pojawił się z kartką od naczelnika niezwykle gość: ojciec Piotr (tak przedstawił się dyspozytorowi). Okazało się, że ciocia Pola chce się wyświadczyć. Tym niezwykle gościem był Pietka Abramow. Znali go wszyscy. Leżał parę miesięcy wcześniej w tym samym szpitalu. A teraz był to ojciec Piotr. Wizyta świętobliwego poruszyła cały szpital. Okazało się, że w naszej krainie są duchowni! I spowiadają chętnych! W największej sali szpitalnej, sali nr 2, gdzie zawsze ktoś z chorych opowiadał pomiędzy obiadem i kolacją jakieś historie gastronomiczne - nie dla polepszenia apetytu w każdym razie, a z potrzeby wygłodniałego człowieka, dla emocji związanych z odżywianiem, w tej sali mówiono tylko o spowiedzi cioci Poli. Ojciec Piotr ubrany był w buszlat, na głowie miał czapkę. Watowane spodnie wpuszczone były w cholewy starych kirzowych butów. Włosy ostrzyżone krótko jak na osobę duchowną przystało - znacznie krócej niż włosy elegantów lat pięćdziesiątych. Ojciec Piotr rozpiął buszlat i watowaną kurtkę-tiełogrięjkę, ukazując niebieską kosworotkę i wielki krzyż na piersi. Nie był to prosty krzyż, lecz krucyfiks; wykonany ręcznie,

umiejętnie, ale bez niezbędnych narzędzi. Ojciec Piotr wyspowiadał ciocię Polę i odszedł. Dłuższy czas stał przy drodze, podnosząc ręce do nadjeżdżających ciężarówek. Dwa samochody przejechały, nie zatrzymując się. Wtedy ojciec Piotr wyjął zza pazuchy przygotowanego skręta, podniósł go nad głową i od razu pierwsza z nadjeżdżających maszyn przyhamowała, a kierowca gościnnie otworzył drzwi szoferki. Ciocia Pola zmarła i pochowano ją na szpitalnym cmentarzu. Był to duży cmentarz u podnóża góry (chorzy mawiali zamiast „umrzeć” - „trafić pod sopkę”), tworzący łuk z bratnich mogił „A”, „B”, „C”, „D”; kilka szeregów pojedynczych mogił umiejscowiono na cięciwach łuku. Na pogrzebie cioci Poli nie było ani naczelnika, ani jego żony, ani ojca Piotra. Obrządek pogrzebowy odbył się jak zawsze: dyspozytor przywiązał do lewej goleni cioci Poli drewnianą deseczkę z numerem. Był to numer jej sprawy. Według instrukcji numer powinien być napisany zwykłym czarnym ołówkiem, w żadnym przypadku nie chemicznym - tak jak na leśnych zaciosach, tworzących repery topograficzne. Przyzwyczajeni do tego sanitariusze-grabarze zarzucili kamieniami wysuszone ciało cioci Poli. Dyspozytor umocował w nich kijek - znowu z tym samym numerem sprawy. Minęło kilka dni i w szpitalu zjawił się ojciec Piotr. Był już na cmentarzu i teraz grzmiał w biurze:

- Krzyż trzeba postawić, krzyż!

- Jeszcze czego - odrzekł dyspozytor.

Kłócili się długo. W końcu ojciec Piotr oświadczył:

- Daję wam tydzień. Jeżeli w ciągu tego tygodnia nie stanie krzyż, poskarżę się kierownikowi Zarządu. Gdy ten nie pomoże, napiszę do naczelnika Dalstroju. Jeśli i ten odmówi, poskarżę się na niego Radzie Ministrów. Gdy ci odmówią, napiszę do Synodu! - wrzeszczał ojciec Piotr.

Dyspozytor był starym więźniem i dobrze znał tę „krajnę cudów” wiedział zatem, że mogą się tam zdarzać najbardziej nieoczekiwane sprawy i, pomyślawszy, zdecydował się powiadomić naczelnego lekarza. Naczelnym, będący kiedyś czy to ministrem, czy to wiceministrem, poradził, aby się nie spierać i postawić ten krzyż na grobie cioci Poli.

- Jeśli pop gada tak pewnie, znaczy to, że coś w tym jest. Coś on tam wie. Wszystko być może, wszystko być może - mruzczał były minister.

I postawiono krzyż, pierwszy na tym cmentarzu. Widać go było z daleka. Chociaż był to krzyż jedyny, cały teren przybrał dzięki niemu charakter prawdziwego cmentarza. Wszyscy mogący poruszać się chorzy chodzili oglądać ten krzyż. I przybitą deseczkę z napisem w czarnym obramowaniu. Wykonanie napisu poruczono staruszkowi malarzowi, który leżał w szpitalu już drugi rok.

Właściwie to on nie leżał, a tylko zapisany był jako leżący chory; cały swój czas poświęcał na masową produkcję trzech rodzajów kopii: Złota jesień, Trzej bohaterowie i Śmierć Iwana Groźnego. Malarz przysięgał, że potrafi je malować z zawiązanymi oczami. Zamawiającymi byli ludzie ze szpitalnego naczalstwa i z osady. Ale deseczkę na grób cioci Poli malarz zgodził się zrobić. Spytał tylko, co ma napisać. Dyspozytor zaczął ryc w swoich wykazach. — Nie znajduję niczego oprócz inicjałów — powiedział. — Timoszenko P.I. Pisz: Polina Iwanowna. Umarła takiego to dnia, miesiąca i roku.

Malarz, nigdy niespierający się z klientami, tak też napisał. A dokładnie w tydzień później pojawił się Pietka Abramow, to znaczy ojciec Piotr. Powiedział, że ciocia Pola zwała się nie Polina, lecz Praskowia, i nie Iwanowna, lecz Iljiniczna. Podał też datę jej urodzenia i zażądał wstawienia jej do napisu na mogile. Napis poprawiono w obecności ojca Piotra.

KRAWAT

Jak tu opowiedzieć o tym przeklętym krawacie? Jest to prawda specjalnego rodzaju, prawda rzeczywistości. Nie jest to jednak esej, lecz opowiadanie. Jak mam je uczynić utworem prozy przyszłości — czymś w rodzaju opowiadań Saint

Exupery'ego, który odkrył dla nas powietrze? Obecnie, podobnie jak i w przeszłości, niezbędne jest, aby pisarz chcący osiągnąć sukces był jakby cudzoziemcem w kraju, o którym pisze. Aby pisał z punktu widzenia ludzi, pomiędzy którymi wyrósł - ich zainteresowań, horyzontów myślowych; ludzi, których upodobania i których poglądy zostały przez niego przejęte. Pisarz wyraża się językiem tych, w których imieniu pisze. I nic ponad to. Bo jeżeli pisarz zna materiał zbyt dobrze, to ci, dla których pisze, nie rozumieją go. Przeszedł bowiem, sprzeniewierzywszy się, na stronę swojego materiału. Nie powinno się być nadmiernie obznajomionym z materiałem. Tacy są właśnie wszyscy poprzedni i obecni pisarze, ale proza przyszłości wymaga czego innego. Przemówią nie pisarze, lecz przedstawiciele różnych profesji obdarzeni zdolnością pisania. I opowiedzą oni tylko o tym, co wiedzą i co sami widzieli. Autentyczność - oto siła literatury przyszłości. A może te rozważania nie mają sensu i najważniejsze to starać się przypomnieć we wszystkim, co jej dotyczy, Marusię Kriukową, chromą dziewczynę, która truła się weronalem? Zgromadziła trochę drobniutkich, błyszczących, owalnych, żółtych tabletek i przełknęła je. Na weronal wymieniła chleb, kaszę, porcję śledzia u sąsiadek ze szpitalnej izby,

którym ten środek przepisano. Felczerzy wiedzieli o handlu weronalem i zmuszali chorych, aby połykali tabletkę na ich oczach, ale powłoka tabletki była twarda i zazwyczaj chorym udawało się wsunąć tabletkę pod język lub skryć za zębami w policzku; wypluwali ją na dłoń po odejściu felczera.

Marusia Kriukowa nie odmierzyła właściwej dawki. Nie umarła, lecz całkiem zwyczajnie wymiotowała, zatem po udzieleniu pierwszej pomocy - płukaniu żołądka - wypisano Marusię na punkt tranzytowy. Ale wszystko to było w wiele lat później niż historia z krawatem. Marusia Kriukowa przyjechała z Japonii pod koniec lat trzydziestych. Córka emigranta mieszkającego na przedmieściu Kioto, wstąpiła z bratem do związku „Powrót do Rosji”, skontaktowała się z sowiecką ambasadą i w 1939 r. otrzymała rosyjską wizę. We Władywostoku Marusia została aresztowana ze wszystkimi swoimi towarzyszami i bratem, przewieziona do Moskwy i więcej już nikogo z nich nigdy nie spotkała. W śledztwie złamano Marusi nogę, a gdy kość się zrosła, zawieziono na Kołymę, aby odbyła tam dwudziestoletnią karę pozbawienia wolności. Marusia była znakomitą rękodzielnicą, mistrzynią haftu - z jej wyszywania utrzymywała się w Kioto cała rodzina. Na Kołymie naczelnicy rychło odkryli tę umiejętność Marusi, ale nigdy jej nie płacili za

wyszywanie; przynoszono czy to kawałek chleba, czy dwie kostki cukru, czy papierosy, których Marusia zresztą nie nauczyła się palić. I tak cudownej roboty ręczny haft pozostawał w rękach naczalstwa. Dowiedziawszy się o zdolnościach więźniarki Kriukowej, naczelnica oddziału sanitarnego położyła Marusię w szpitalu i odtąd wyszywała ona lekarce. Kiedy do sowchozu - państwowego gospodarstwa rolnego, w którym nominalnie pracowała Marusia - przyszedł telegram, aby wszystkie mistrzynierękodzielnice skierować najbliższym samochodem do dyspozycji...naczelniczka łagru ukryła Marusię, gdyż miała duże zamówienie dla wspaniałej hafciarki. Jednakże ktoś napisał donos wyżej i musiano Marusię wysłać. Dokąd? Przez trzy tysiące kilometrów ciągnie się i wije centralna kołymska „trasa” - szosa pośród wzgórz i wąwozów, „słupki, szyny, mosty”.... Szyn nie ma na kołymskiej „trasie”, ale wszyscy powtarzali i powtarzają tu Niekrasowską "Kolej żelazną" - po co układać wiersze, skoro ma się pod ręką nadający się, odpowiedni tekst. Cała droga wybudowana została kilofem i łopata, za pomocą taczki i świdra...Co pięćset, sześćset kilometrów na „trasie” tej stoi „Dom Dyrekcji” - ponad miarę wystawny hotel „luks”, będący do osobistej dyspozycji dyrektora Dalstroju, innymi słowy, generała-gubernatora Kołymy. Jedyne on może tam

nocować podczas swoich podróży po powierzonym mu kraju. Drogie dywany, brązy i lustra. Obrazy-oryginały; niemało nazwisk pierwszorzędnych malarzy, jak np. Szuchajewa. Szuchajew był na Kołymie dziesięć lat. W 1957 roku odbyła się wystawa jego prac na Kuźnieckim Moście, księga jego życia. Rozpoczęła ją jasne pejzaże Belgii i Francji oraz autoportret w złocistej kamizeli arlekina. Potem okres magadański - dwa niewielkie portrety olejne: żony i autoportret (w mrocznej, ciemnobrazowej tonacji) - dwie prace w ciągu dziesięciu lat. Na portretach ludzie, którzy widzieli rzeczy straszne. Oprócz tych dwu portretów - projekty teatralnych dekoracji. Po wojnie zwalniają Szuchajewa. Jedzie do Tyflisu - na południe, unosząc nienawiść do Północy. Jest załamany. Maluje obraz "Przysięga Stalina w Goń" - podlizuje się. Jest załamany. Portrety szturmowców - przodowników produkcji. Dama w złotej sukni. W portrecie tym jest blasku bez miary - zda się, że malarz zmusza siebie do zapomnienia ubóstwa północnej palety. I to wszystko. Można umierać. Dla „Domu Dyrekcji” malarze wykonywali również kopie: "Iwan Groźny zabija swojego syna" i "Poranek w lesie" Szyszkina - te dwa obrazy zaliczają się do klasyki chałtury. Lecz najbardziej zadziwiały tam hafty. Jedwabne zasłony, story, portiery ozdobione były ręcznym haftem. Dywaniki,

narzutki, ręczniki - każda szmatka stawała się drogocenna po tym, kiedy się znalazła w rękach mistrzyń-więźniarek. Dyrektor Dalstroju nocował w swych domach - było ich kilka na trasie - dwa, trzy razy w roku. Przez resztę czasu oczekiwali go stróż, zaopatrzeniowiec, kucharz i administrator domu - czterech ludzi wolnych, otrzymujących dodatki za pracę na Dalekiej Północy; oczekiwali, przygotowywali się, palili zimą w piecach, wietrzyli „Dom”. Do haftowania zasłon, narzut i wszystkiego, co do głowy przyjdzie, przywieziono tu właśnie Maszę Kriukową. Były jeszcze dwie mistrzynie haftu dorównujące jej umiejętnościami i pomysłowością. Rosja to kraina stałego sprawdzania i kontroli. Marzeniem każdego szczerego Rosjanina - zarówno więźnia, jak i wolnego - jest, aby mu powierzono sprawdzanie czegoś lub kogoś. Po pierwsze: kimś komenderuję. Po drugie: okazano mi zaufanie. Po trzecie: ponoszę mniejszą odpowiedzialność niż za bezpośrednią pracę. A po czwarte - pamiętacie, jak wyglądał atak w powieści W. Niekrasowa "W okopach Stalingradu"? Dla nadzorowania Marusi i jej nowych znajomych zatrudniono kobietę, członka partii, która każdego dnia wydawała im materiał i nici. Na koniec roboczego dnia przyjmowała i sprawdzała wykonaną pracę, kobieta ta nie pracowała, lecz figurowała w spisie etatów Centralnego

Szpitala jako starsza siostra operacyjna. Nadzorowała ona pilnie więźniarki w przekonaniu, że jak tylko się odwróci od razu gdzieś zniknie kawałek ciężkiego, niebieskiego jedwabiu. Hafciarki już od dawna przywykły do tego rodzaju opieki. I chociaż oszukanie tej kobiety na pewno nie wymagałoby większego wysiłku, nie kradły. Wszystkie trzy bowiem osądzone zostały na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu - politycznego. Umieszczono je w łagrze, w „zonie”, za drutami, gdzie na wrotach, jak wszędzie w sowieckich łagrach, wypisane były „niezapomniane” słowa: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa”. I nazwisko autora cytatu. Słowa te miały ironiczny wydźwięk, w zadziwiający sposób ujmując sens i treść słowa „praca” w łagrze. Praca była tam bowiem wszystkim, tylko nie sprawą chwały. W 1906 roku wydawnictwo, w którym partycypowali eserowcy, wypuściło książkę „Kompletny zbiór przemówień Mikołaja II”. Były to przedruki z „Gońca Rządowego” z czasu koronacji cara, na które składały się wygłoszone wtedy toasty: „Piję za zdrowie Keksholmskiego pułku” i „Piję za zdrowie chwatorów-czernihowców”. Toasty te poprzedzono słowem wstępnym, utrzymanym w hurra-patriotycznej tonacji: „w słowach tych, jak w lustrze wody, odzwierciedlała się mądrość naszego wielkiego monarchy” itd. Autorów tego zbioru zesłano na Sybir.

A co stało się z ludźmi, którzy wynieśli sentencję o pracy na wrota łagrowych zon w całym Związku Radzieckim? Za wzorowe zachowanie i pomyślne wykonanie planu pozwolono hafciarkom na uczestniczenie w seansie filmowym kina dla więźniów. Aparat był tylko jeden - pomiędzy poszczególnymi częściami filmu robiono przerwy. Pewnego razu wyświetlano film "Biada temu, kto ma rozum". Skończyła się pierwsza część, jak zawsze zapaliło się światło, jak zawsze zgasło i zaterkotał projektor - żółta smuga światła dotknęła ekranu. Wszyscy zaczęli tupać i krzyczeć. Operator, to jasne, omylił się - ponownie biegła pierwsza część...Trzysta osób, byli frontowi żołnierze, zasłużeni lekarze, którzy przyjechali na konferencję - wszyscy posiadacze biletów na ten seans przeznaczony dla wolnych krzyczeli i tupali nogami. Operator, nie spiesząc się, „przejechał” pierwszą część i zapalił światło w sali. Wtedy wszyscy pojęli, w czym rzecz. W kinie zjawił się zastępca dyrektora szpitala do spraw gospodarczych, Dołmatow; spóźnił się na pierwszą część, więc film wyświetlano jeszcze raz od początku. Zaczęła się druga część i wszystko poszło dalej jak trzeba. Kołymskie obyczaje znane były wszystkim - nieco mniej frontowym żołnierzom, więcej natomiast lekarzom. Kiedy biletów sprzedawało się niewiele, seans był wspólny - lepsze miejsca dla

wolnych, z tyłu, a pierwsze rzędy dla więźniów: kobiety z lewej, mężczyźni z prawej strony przejścia. Przejście dzieliło widownię na krzyż, co było bardzo wygodne z punktu widzenia łagrowych prawideł. Chroma dziewczyna, którą zauważano i na seansach w kinie, znalazła się w szpitalu na oddziale kobiecym. Małych izb szpitalnych jeszcze wtedy nie wybudowano - cały oddział umieszczony został w powojkowej sypialni, co najmniej na pięćdziesiąt łóżek. Marusia Kriukowa trafiła na leczenie do chirurga.

- Co jej jest?

- Osteomielitis - powiedział chirurg Walentin Nikołajewicz.

- Czy noga przepadnie?

- No, dlaczego ma przepaść?

Chodziłem opatrywać Marusię Kriukową i już opowiedziałem o jej życiu. Po upływie tygodnia temperatura spadła, a gdy minął następny - wypisano Marusię ze szpitala.

- Podaruję panu krawat. Panu i Walentinowi Nikołajewiczowi. To będą ładne krawaty.

- Dobrze, dobrze, Marusiu.

Pasek jedwabiu wśród dziesiątków, setek metrów kilku kompletów tkaniny wyszytej i przyozdobionej dla „Domu Dyrekcji”.

- A kontrola?

- Poproszę o to Annę Andriejewną. - tak chyba nazywała się nadzorczyńi. - Anna

Andriejewną zezwoliła. Wyszywam,
wyszywam,

wyszywam... Nie wiem, jak to powiedzieć.
Dołmatow wszedł i odebrał.

- Jak to: odebrał?

- No, jak wyszywałam. Dla Walentina
Nikołajewicza krawat był już gotowy. A
dla pana zostało niewiele do zrobienia.
Koloru szarego. Nagle otworzyły się
drzwi: „krawaty szyjecie?” Zrewidował
szafkę, włożył krawat do kieszeni i
wyszedł.

- Teraz panią stąd wyślą.

- Mnie nie wyślą. Jeszcze jest dużo
pracy. Ale tak bardzo chciałam panu
krawat...

- Drobiazg, Marusiu. Ja i tak bym go nie
nosił. Chyba że na sprzedaż.

Na koncert łagrowego „zespołu
amatorskiego” Dołmatow spóźnił się
podobnie jak na film. Ociężały, z dużym,
nieproporcjonalnym do wzrostu duchem,
kierował się do pierwszej pustej ławki.
Kriukowa podniosła się z miejsca i
machala rękami. Zrozumiałem, że te znaki
przeznaczone są dla mnie.

- Krawat, krawat!

Zdażyłem obejrzeć krawat naczelnika.
Krawat Dołmatowa był wzorzysty, w szarym
kolorze i wysokiej jakości.

- Pański krawat! - wołała Marusia. -
Pana albo Walentina Nikołajewicza.

Dołmatow usiadł na swojej ławce, kurtyna
się rozsunała jak zwykle i rozpoczął się
koncert zespołu amatorskiego.

DWA SPOTKANIA

Moim pierwszym brygadzią był Kotur, Serb, który trafił na Kołymę po rozgromieniu klubu międzynarodowego w Moskwie. Kotur nie odnosił się poważnie do swoich obowiązków, rozumiejąc, że jego los - tak jak i wszystkich nas - nie rozstrzyga się w sztolniach kopalni złota, a zupełnie gdzie indziej. Pomimo to Kotur codziennie rozstawiał nas na stanowiskach pracy, mierzył jej wyniki, kiwał z wyrzutem głową. Wyniki były opłakane.

- No, na przykład ty, znasz przecież łagier. Pokaż, jak trzeba machać łopata - poprosił Kotur.

Wziąłem łopatę i rozpulchniwszy kilofem lekki grunt, naładowałem taczkę. Wszyscy się roześmiali.

- Tak pracują tylko markieranci.

- Pomówimy o tym za dwadzieścia lat.

Jednakże nie udało nam się spotkać po dwudziestu latach. Do kopalni przyjechał nowy naczelnik, Leonid Michajłowicz Anisimow. Już podczas pierwszego obchodu wyrobisk usunął Kotura z pracy. I Kotur zniknął. Nasz brygadzią siedział w taczce i nie wstał, gdy zbliżył się naczelnik. Taczka bez wątpienia stanowi trafne rozwiązanie jako narzędzie pracy, ale jeszcze lepiej, zwłaszcza jej skrzynia, nadaje się do odpoczynku.

Trudno jest wstać, podnieść się z tak głębokiego fotela - potrzeba na to wysiłku woli, niezbędna jest siła. Kotur siedział w taczce i nie zdążył wstać na widok nowego naczelnika. Rozstrzelany. Wraz z przyjazdem nowego naczelnika - początkowo był on zastępcą naczelnika kopalni - każdego dnia, każdej nocy zabierano z baraków i wywożono. Nikt z nich nie wracał już do kopalni. Aleksandrów, Kliwański - nazwiska zatarły się w pamięci. Nowe uzupełnienie nie miało już całkiem nazwisk. W zimie trzydziestego ósmego roku naczalstwo zdecydowało, aby etapy z Magadanu do kopalni Północy wysyłać piechotą. Z pięćset osobowej kolumny w czasie pięćset kilometrowego marszu dochodziło do Jagodnego trzydzieści do czterdziestu osób. Pozostali osuwali się w drodze głodni, poodmrażani, zastrzeleni. Nikogo z tych, co przybyli, nie znano z nazwiska; byli to ludzie z obcych etapów, nie różniący się pomiędzy sobą ani odzieżą, ani głosem, ani plamami odmrożeń na policzkach, ani pęcherzami odmrożeń na palcach. Brygady topniały liczebnie w drodze do „Serpentyнки”, bo tam w ekspozyturach kierownictwa Północy rozstrzeliwano część ludzi; i w dzień, i w nocy toczyły się powracające bez ładunku maszyny. Każdy naczelnik kopalni wiedział, że nie zostanie obciążony odpowiedzialnością za tych ludzi - tego by jeszcze brakowało; a przecież to, co

najważniejsze, to ludzie, kadry. Wszystko to każdy naczelnik zgłębiał na zebraniach koła kształcenia politycznego, a praktyczną ilustrację znajdował w złotych wyrobiskach swojej kopalni. W tym czasie naczelnikiem kopalni „Partyzant”, należącej do Północnego Zarządu Górniczego, był Leonid Michajłowicz Anisimow - w przyszłości wielki naczelnik Kołymy, który całe swe życie poświęcił Dalstrojowi jako naczelnik Zarządu Zachodniego i jako naczelnik Czukotstroju. Swoją łagrową karierę rozpoczął Anisimow właśnie w kopalni „Partyzant”, w mojej kopalni. Pod jego to kierownictwem kopalnia została dosłownie zalana żołnierzami straży więziennej, wybudowane zostały zony - odrutowane strefy; powiększono zarząd aparatu operacyjno-śledczego, rozpoczęły się rozstrzeliwania pojedynczych osób i całych brygad. Zaczęło się odczytywanie na apelach i przy wyjściach do pracy niekończących się rozkazów o rozstrzałach. Rozkazy te nosiły podpis pułkownika Garanina, ale nazwiska ludzi z kopalni - a było ich wiele - przekazywał Garaninowi Anisimow. Kopalnia „Partyzant” to małe przedsiębiorstwo. Na jego liście osobowej w 1938 roku figurowało wszystkiego razem dwa tysiące nazwisk. Sąsiednie kopalnie „Waturiach” i „Szturmowa” liczyły po dwanaście tysięcy osób. Anisimow był naczelnikiem gorliwym.

Osobiście doskonale zapamiętałem dwie bezpośrednie rozmowy z obywatelem Anisimowem. Pierwsza odbyła się w styczniu trzydziestego ósmego, kiedy obywatel Anisimow raczył się pojawić podczas wyprowadzania do pracy i stał z boku, przyglądając się, jak jego pomocnicy poruszają się pod naczelnikowym spojrzeniem żwawiej, niż się tego zazwyczaj wymaga. Jednakże dla Anisimowa było to jeszcze zbyt wolno. Właśnie ustawiła się nasza brygada i kierownik robót Sotnikow, wskazawszy na mnie palcem, wywłókł mnie z szeregów i postawił przed obiliczem Anisimowa.

- Oto markietant. Nie chce pracować.

- Kim jesteś?

- Jestem dziennikarzem, pisarzem.

- Podpisywać to ty będziesz tutaj puszki od konserw. Pytam cię: kim jesteś?

- Rębacz przodowy brygady Firsowa, więzień, imię, nazwisko, wyrok: pięć lat.

- Dlaczego nie pracujesz? Dlaczego przynosisz szkodę państwu?

- Jestem chory, obywatelu naczelniku.

- Ty chory? Taki zdrowy byk?

- Mam chore serce.

- Serce. Masz chore serce. Ja sam choruję na serce. Lekarze zabronili mi przebywać na Dalekiej Północy. Jednakże jestem tu.

- Pan to co innego, obywatelu naczelniku.

- Patrzcie go! Ile słów na minutę! Powinieneś milczeć i pracować. Zastanów

się, póki nie jest za późno. Bo inaczej rozliczymy się.

- Tak jest, obywatelu naczelniku!

Druga pogawędka z Anisimowem odbyła się latem, na czwartym odcinku, gdy padał deszcz i trzymano nas na wskroś przemokniętych. Wierciliśmy szurfy. Brygadę błatniaków dawno już zwolniono do baraków z powodu ulewy, ale my byliśmy pięćdziesiąty ósmy paragraf, polityczny, i tylko grzyb chronił nas od ulewy. W tę właśnie ulewę, w ten deszcz odwiedził nas Anisimow, razem z kierownikiem sprawującym w kopalniach nadzór nad pracami przy użyciu materiałów wybuchowych. Naczelnik przyszedł sprawdzić, czy aby porządnie mokniemy, czy wypełniany jest jego rozkaz o pięćdziesiątym ósmym paragrafie, do którego nie stosują się żadne ulgi i który powinien przygotowywać się do raju, do raj, do raj...Anisimow ubrany był w długi płaszcz z jakimś specjalnym kapturem. Szedł, wymachując skórzanymi rękawicami. Znałem zwyczaj Anisimowa - bicia więźnia rękawicami po twarzy. Znałem te rękawice, które zimą przemieniały się w zachodzące aż po łokcie futrzane „kragi”, znałem owo przyzwyczajenie bicia rękawicami po twarzy. Dziesiątki razy widziałem rękawice w akcji. O tym osobliwym zwyczaju Anisimowa wiele mówiono w więziarskich barakach kopalni „Partyzant”. Byłem świadkiem burzliwych

dyskusji, niemal krwawych sporów toczących i w baraku o to, czy naczelnik bije rękawicami, czy pięścią, czy pałą, czy trzcina, czy nahajką, czy przykładając „ręczny rewolwer”. Człowiek to skomplikowana istota. Omal nie dochodziło do bójek w rezultacie tych sporów, a przecież ich uczestnicy to byli profesorowie, partyjniacy, kołchoźnicy, dowódcy wojskowi...A w ogóle to chwalono Anisimowa: bije, ale kto nie bije? Za to jego rękawice nie zostawiają sińców, a jeśli komuś rozbił nos aż do krwi to przecież z powodu „patologicznych zmian w systemie ukrwienia człowieka na skutek długotrwałego uwięzienia” - jak to wyjaśnił pewien lekarz którego za anisimowskich czasów nie dopuszczano do praktyki medycznej, lecz zmuszono do pracy razem z nami. Dawno już dałem sobie słowo, że jeśli zostanę uderzony, to będzie to jednocześnie koniec mojego życia. Uderzę naczelnika i zostanę rozstrzelany. Niestety, byłem tylko naiwnym dzieciakiem. Kiedy osłabłem fizycznie, osłabła również moja wola i rozsądek. Z łatwością przekonałem sam siebie, że trzeba ścierpieć, i nie znalazłem w sobie siły, aby odpowiedzieć uderzeniem, popełnić samobójstwo, zaprotestować. Byłem najzwyczajniej „dochodiagą” i żyłem według praw rządzących taką psychiką. Wszystko to działo się jednak dużo później, bo

wówczas, gdy spotkałem się z obywatelem Anisimowem, byłem jeszcze silny fizycznie, silny wiara, twardy i zdecydowany. Skórzane rękawice Anisimowa przybliżyły się, a ja przygotowałem kilof. Jednakże Anisimow nie uderzył. Spojrzenie jego ładnych, dużych, głębokich, czarnych oczu spotkało się z moim i Anisimow odwrócił wzrok.

- Wszyscy oni tacy - powiedziała naczelnik kopalni swojemu towarzyszowi. - Wszyscy. Nie będzie z nich pociechy.

ZŁOTA TAJGA

„Mała zona” to obóz przejściowy. „Duża zona”, łagier Zarządu Górniczego, to niekończący się ciąg niskich baraków, więźniarskie ulice, potrójne ogrodzenie z drutu kolczastego, wieżyczki strażnicze podobne do domków dla szpaków w ich zimowej szacie. W małej zonie jest jeszcze więcej kolczastego drutu, więcej wieżyczek, zamków i klamek - bo przecież mieszkają tam więźniowie przejeżdżający tranzytem, po których można spodziewać się wszystkiego najgorszego. Architektura małej zony jest idealna. To pojedynczy, ogromny, kwadratowy barak, zawierający cztery rzędy nar, formalnie posiadający nie mniej niż pięćset miejsc, co oznacza, że jeśli zachodzi potrzeba,

można pomieścić tam tysiące osób. Jednakże teraz jest zima, przychodzi mało etapów i zona od wewnątrz wydaje się pusta. Barak nie zdążył jeszcze w spodku wyschnąć – unosi się w nim biała para, a sosnowe drewno pokryte jest lodem. Przy wejściu ogromna, tysiąc świecowa lampa elektryczna, której światło raz żółknie, raz oślepia swym blaskiem. To dopływ energii tak się zmienia. W ciągu dnia zona śpi. A nocami drzwi się otwierają, pod lampą pojawiają się ludzie trzymający w rękach zapalniczki i zachrypłymi, przeziębionymi głosami wykrzykują nazwiska. Wywołani zapinają na wszystkie guziki swoje buszłaty, przekraczają próg i znikają na zawsze. Czeka tam na nich konwojenci, warczą gdzieś silniki ciężarówek. Więźniowie uwożeni są do kopalń, do sowchozów, do rejonów dróg. Ja też tutaj leżę, niedaleko od drzwi, na dolnych narach. Na dole jest zimno, ale wyżej, tam gdzie ciepło, nie decyduję się wleźć – wyrzuciliby mnie z powrotem na dół. Miejsca na górze przeznaczone są dla silniejszych, przede wszystkim dla złodziei. A przy tym nie dałbym rady wdrapać się tam po szczebelkach przybitych gwoździami do słupa. Tu mi najlepiej, na dole. Jeśli zaś powstanie spór o miejsce na dolnych narach, po prostu pod nie wpełznę. Nie potrafię kasać ani bić się chociaż doskonale przyswoiłem sobie wszystkie sposoby

więziennych bójek. To ograniczoność przestrzeni więziennej celi, aresztanckiego wagonu, ciasnego baraku narzuciła te „chwyty”: łapania, kłapania, wyłamywania. Teraz jednak nie starcza na to siły. Potrafię tylko drzeć gardło i kłać. Walczę o każdy dzień, o każdą godzinę odpoczynku. Każdy strzęp mojego ciała podpowiada mi, jak mam się zachować.

Wywołują mnie już podczas pierwszej nocy, jednakże ja nie opasuję się sznurkiem, chociaż go posiadam, nie zapinam porządnie wszystkich guzików. Drzwi zamykają się za mną i stoję w sieni. Brygada - dwudziestu ludzi (jest to zwykła norma dla jednej ciężarówki) - stoi już przy następnych drzwiach, skąd bucha gęsta, mroźna para. Dyspozytor i starszy konwojent przeliczają i przeglądają ludzi. A z prawej strony stoi jeszcze jeden człowiek w pikowanym kubraku, watowanych spodniach, w czapce-uszance; macha futrzanymi „kragami” - rękawicami z dużymi mankietami. Tego właśnie mi trzeba. Wożono mnie już tyle razy, że znałem „pravidła gry” znakomicie. Człowiek z „kragami” to „przedstawiciel”, który przyjmuje ludzi i który ma prawo odmówić ich przyjęcia. Dyspozytor wykrzykuje na cały głos moje nazwisko, zupełnie tak samo, jak robił to w ogromnym baraku. Ja patrzę tylko na człowieka z „kragami”.

- Nie bierzcie mnie, obywatelu naczelniku.

Jestem chory i nie będę pracował w kopalni. Ja muszę iść do szpitala.

„Przedstawiciel” waha się. W kopalni, u niego, mówiono mu, żeby wybrał tylko „robociarzy”; innych kopalnia nie potrzebuje. Po to właśnie przyjechał. „Przedstawiciel” przypatruje mi się. Mój podarty buszlat, zatłuszczona bluza bez guzików, pod którą widać brudne ciało z porozdrapywanymi miejscami ukąszeń przez wszy, strzępy szmatek, którymi poobwiązywane są palce u rąk, sznurkowe obuwie na nogach, sznurkowe przy sześćdziesięciu stopniowym mrozie, oczy zaognione, wygłodniałe, niezwykła kościstość - on doskonale wie, co to oznacza. „Przedstawiciel” bierze czerwony ołówek i stanowczym ruchem wykreśla moje nazwisko.

- Idź, draniu - mówi do mnie dyspozytor zony.

I drzwi zamykają się, i znowu jestem wewnątrz małej zony. Moje miejsce zostało już zajęte, ale odciągam na bok tego, co się na nim położył. Ten mimo woli się drze, ale rychło się uspokaja. A ja zapadam w sen podobny do utraty przytomności, budząc się przy najmniejszym szmerze. Nauczyłem się budzić jak zwierzę, jak dziki człowiek, który nie wie, co to półsen. Otwieram oczy. Z górnych nar zwisa noga w znoszonym do ostateczności, ale jednak

pantoflu, nie w państwowym bucie. Pojawia się przede mną brudny chłopak, błatniaczek, i mówi gdzieś w górę melancholijnym głosem pederasty:

- Powiedz Waliuszy - informuje kogoś niewidocznego na górnych narach - że przyprowadzili artystów...

Pauza. Potem ochrypliły głos z góry:

- Waliusza pyta, kim oni są?

- Artyści z „kultbrygady”. Iluzjonista i dwóch śpiewaków. Jeden pochodzi z Charbina.

Pantofel poruszył się i zniknął. Dał się słyszeć głos z góry:

- Prowadź ich.

Przesunąłem się na brzeg nar. Pod lampą stało trzech ludzi: dwóch w buszłatach, a jeden w „wolnej” kurtce - „moskwicze”. Twarze ich wyrażały pokorę i cześć.

- Kto tu jest z Charbina? - zapytał głos.

- To ja - z uszanowaniem rzecze człowiek w bekieszy.

- Waliusza rozkazuje, abys coś zaśpiewał.

- Po rosyjsku? Po francusku? Po włosku?

Po angielsku? - pytał śpiewak, wyciągając szyję w górę.

- Waliusza powiedział: po rosyjsku.

- A strażnicy? Mogę śpiewać cicho.

- To nic, to nic... Wal, bracie, na całego. Tak, jak w Charbinie.

Śpiewak odstąpił parę kroków i odśpiewał kuplety toreadora. Wraz z każdym jego wydechem ukazywała się para. W górze coś jakby głucho warczenie i głos:

- Waliusza przecież powiedział:
jakażkolwiek piosenkę.

Pobladły śpiewak zaczął:

Szumi zołotaja,
szumi zołotaja,
Moja zołotaja,
tajga, oj, wiejties
dorogi, odna i
drugaja W
razdolnyje naszi
kraja.

Głos z góry:

- Waliusza powiedział: dobrze.

Śpiewak odetchnął z ulgą! Z mokrego od
podniecenia czoła unosiła się para,
tworząc coś na kształt nimbu wokół jego
głowy. Jak tylko wytarł dłonią czoło,
nimb zniknął.

- No, a teraz - powiedział głos z góry -
zdejmuj swoją „moskwiczkę”. Masz tu na
zmianę! - z góry zrzucono waciak.

Milcząc, śpiewak zdjął z siebie
„moskwiczkę” i wdział waciak.

- Idź teraz - nakazał głos z góry. -
Waliusza chce spać.

Charbiński śpiewak wraz z towarzyszami
rozpłynęli się we mgłę wypełniającej
barak. Ja zaś odsunąłem się, skurczyłem
mocno, zasunąłem ręce w rękawy i
zasnąłem.

Prawie natychmiast, jak mi się wydawało,
rozbudził mnie wyrazisty szept:

- W trzydziestym siódmym w Ułan Bator idziemy z kolegą ulicą. Nadchodzi pora obiadu. Na rogu chińska jadłodajnia. Wchodzimy. Zaglądam do spisu potraw: chińskie kołduny. Jako Sybirak znam syberyjskie, uralskie kołduny, a tu nagle chińskie. Zdecydowaliśmy się wziąć ich po setce. Gospodarz, Chińczyk, śmieje się: duża będzie. I szczyrzy zęby od ucha do ucha. No, a po dziesięć? Chichocze: duża będzie. No to po parze! Wzruszywszy ramionami, poszedł do kuchni i taszczy, każdy kołdun wielkości dłoni, a wszystko zalane gorącym tłuszczem. Zjedliśmy pół kołduna we dwóch i wyszliśmy.

- A ja na przykład...

Całym wysiłkiem woli zmuszam się, żeby nie słuchać, i ponownie zasypiam. Budzi mnie zapach dymu. To gdzieś tam, w górze, palą w złodziejskim królestwie. Któryś z nich zlazł na dół z machorkowym papierosem i słodkawy aromat dymu rozbudził tu wszystkich. I ponownie szept:

- W Północnym, w Komitecie Rejonowym, Boże, Boże, ile i tych niedopałków! Ciocia Pola, sprzątaczką, klnąc cały czas, nie nadażała z podmiataniem. A ja nie rozumiałem wtedy, co to znaczy niedopałek papierosa, pet, byczek.

Znowu zasypiam. Ktoś szarpie mnie za nogę. To dyspozytor. Jego zaognione oczy pełne są złości. Ustawia mnie w smudze żółtego światła przy drzwiach.

- No tak - mówi - do kopalni ty jechać nie chcesz.

Milczę.

- A do sowchozu? Niech cię diabli porwą! Do sowchozu „Ciepły” sam bym pojechał. A na odcinek drogowy wiązać miotły? Pomyśl.

- Znam to - mówię. - Dzisiaj wiązać miotły a jutro taczki do rąk.

- Czego więc chcesz?

- Do szpitala. Jestem chory.

Dyspozytor coś tam notuje w zeszytce i odchodzi. Po trzech dniach do małej żony przychodzi felczer i wywołuje mnie. Daje termometr, ogląda wrzody karbunkułów na plecach i wciera jakąś maść.

WAŚKA DENISOW - ŚWINIOKRAD

Na tę wieczorną jazdę trzeba było pożyczyć buszlat od kolegi. Własny buszlat Waśki był zbyt brudny i podarty - nawet dwóch kroków nie można by zrobić po osiedlu, pierwszy lepszy „wolniaszka” od razu by go capnął. Takich jak Waśka prowadzą konwojenci tylko w szyku zwartym. Ani wojskowi, ani cywilni mieszkańcy nie lubią, kiedy podobni Waśce chodzą pojedynczo po osiedlu. Nie wywołują oni podejrzeń jedynie wtedy, gdy niosą drwa; niewielki pieńek lub, jak tu mówią, „pałkę dREW” na ramieniu. Taka właśnie „pałka” zakopana była w śniegu niedaleko garażu, za słupem telegraficznym w przydrożnym rowie. Zrobiono to jeszcze wczoraj po pracy.

Teraz znajomy szofer przyhamował i Denisow, przegiąwszy się przez kraj skrzyni ładunkowej, zsunął się na ziemię. Od razu znalazł to miejsce, gdzie zakopał kawał pnia; sinawy śnieg był tu odrobinę ciemniejszy i przygnieciony — widać to było w rozpoczynającym się zmierzchu. Waśka wskoczył do rowu i rozrzucił śnieg nogami. Ukazał się kloc, szary, o spadzistych bokach, jak wielka zamrożona ryba. Waśka wytaszczył pień na drogę, ustawił go w pozycji pionowej, ostukał ze śniegu i przygiął się, podstawiając ramię i unosząc pień rękami. Kloc zakołysał się i spoczął na barku. Waśka ruszył w kierunku osiedla, zmieniając co pewien czas ramię. Był słaby i wycieńczony, dlatego szybko się rozgrzał; ale nie na długo. Nie pomagał dokuczliwy ciężar pnia — Waśka nie mógł utrzymać ciepła. Zmierzch zgęstniał od białej mgły, w osiedlu zapalono wszystkie żółtawe, elektryczne światła. Waśka uśmiechnął się, zadowolony ze swojej kalkulacji — w tej białej mgle z łatwością dotrze do celu niezauważony. Oto złamany ogromny modrzew, srebrząca się od szronu kłoda, a więc — do następnego domu! Waśka zrzucił pień przy ganku, obił rękawicami śnieg z walonek i zapukał do mieszkania. Drzwi otworzyły się i wpuściły Waśkę. Starsza już kobieta w kożusku i bez chustki na głowie z obawą spoglądała na więźnia. — Przyniosłem wam drwa na opał —

powiedział Waśka, z trudem rozciągając w uśmiechu zmarzniętą skórę twarzy. - Chciałbym z Iwanem Pietrowiczem.

Ale właśnie Iwan Pietrowicz wychodził zza zasłony, uchylając ją ręką.

- Dobra. Gdzie one są?

- Na dworze - powiedział Waśka.

- No to poczekaj, popiłujemy. Zaraz się ubiorę.

Iwan Pietrowicz długo szukał rękawic. Potem obaj wyszli na ganek i bez kozła, dociskając pień nogami i unosząc, przepiłowali go. Piła była nienaostrzona i źle rozwiedziona.

- Później zajdziesz - powiedział Iwan Pietrowicz - i rozwiedziesz. A teraz weź topór i porąb. Potem złożysz, ale nie w korytarzu. Wtaszcz je wprost do mieszkania.

Waśce kręciło się w głowie z głodu, ale porąbał wszystkie drwa i zaciągnął je do mieszkania.

- No, to już po wszystkim - powiedziała kobieta, wyłaząc zza zasłony. - Koniec.

Ale Waśka nie odchodził i przestępował z nogi na nogę przy drzwiach. Iwan Pietrowicz pojawił się ponownie.

- Słuchaj - powiedział - nie mam teraz chleba, zupę także całą odniesiono prosiętom. Nie mam ci co teraz dać. Zajdź w tygodniu...

Waśka milczał i nie odchodził. Iwan Pietrowicz pogrzebał w portfelu.

- Masz tu trzy ruble. To tylko dla ciebie za takie drwa. A tytoniu, sam rozumiesz, tytoń obecnie drogi.

Waśka schował za pazuchę papierek i wyszedł. Za te trzy ruble nie kupiłby nawet szczypty machorki. Ciągłe stał jeszcze na ganku. Nudziło go z głodu. Jego chleb i zupę zjadły prosięta. Waśka wyjął zielony papierek i porwał go na drobne kawałeczki. Podchwytywane wiatrem, długo jeszcze przewracały się po wypolerowanej, błyszczącej, przemarzniętej skorupie śnieżnej. A gdy ostatnie strzępki znikły w białej mgłę, Waśka zszedł z ganku. Z lekka chwiejąc się z osłabienia, szedł nie do domu, lecz w głąb osiedla, szedł i szedł w kierunku parterowych, piętrowych i dwupiętrowych pałaców... Wszedł do pierwszego z brzęgu przedsionka i szarpnął za klamkę. Drzwi zaskrzypiały, otwierając się z trudem. Waśka wszedł do ciemnego korytarza, skąpo rozjaśnionego przyćmionym światłem elektrycznej żarówki, przeszedł obok drzwi prowadzących do mieszkań. W końcu korytarza znajdowała się komórka; Waśka, napierając na drzwi, otworzył je i przestąpił przez próg. W komórcie stały worki z cebulą, a może z solą. Waśka rozwał jeden z worków - kasza. Ze złością, podniecony, naparł barkiem i odwalił worek na bok - pod spodem leżały zamrożone tusze świń. Waśka westchnął z radości, zabrakło mu jednak sił, aby

oderwać chociaż kawałek od tuszy. Lecz dalej pod workami leżały zamrożone tuszki prosiąt i Waśka przestał już cokolwiek widzieć. Oderwał jedno przymarzniałe prosię i trzymając je w rękach jak lalkę czy dziecko, ruszył w kierunku wyjścia. Ale już z mieszkań wychodzili ludzie i biały żar światła napełnił korytarz. Ktoś krzyknął: „Stój!” i rzucił się Waśce do nóg. Waśka uskoczył, trzymając mocno prosię, i wybiegł na zewnątrz. Pomknęli za nim mieszkańcy domu. Ktoś strzelił w ślad za nim, ktoś inny ryczał jak zwierzę, a Waśka leciał, nie zważając na nic i niczego nie widząc. Po paru minutach spostrzegł, że nogi same go niosą w kierunku jedyne go państwowego budynku, który znał w osiedlu - do Zarządu Delegatur Witaminowych; w jednej takiej Waśka pracował jako zbieracz cedrowca. Pogoń zbliżała się. Waśka wbiegł do przedsionka, odepchnął dyżurnego i pomknął wzdłuż korytarza. Za nim dudniły kroki tłumu prześladowców. Waśka wpadł do gabinetu zawiadującego działalnością kulturalną i wyleciał przez drugie drzwi - do czerwonego kącika. Dalej nie było gdzie uciekać. Waśka teraz dopiero spostrzegł, że zgubił czapkę. Zamrożony prosiak wciąż jeszcze był w jego rękach. Waśka złożył go na podłodze, obrócił masywne ławki i zagrodził nimi drzwi. Zawłókł tam również coś, co było katedrą czy trybuną... Ktoś ruszył drzwiami i

zapadła cisza. Wtedy Waśka siadł na podłodze, chwycił w obie ręce prosiaka i surowego, zamrożonego począł gryźć, gryźć, gryźć... Gdy po zawezwaniu oddziału żołnierzy otworzono drzwi i rozebrano barykadę, Waśka zdążył już zjeść pół prosiaka.

SERAFIN

List leżał na czarnym, zakopconym stole niczym kawałek lodu. Drzwiczki zrobionego z blaszanej beczki pieca były otwarte, węgiel jarzył się w nim podobny do konfitury z borówek w konserwowej puszcze i ten kawałek lodu powinien był się roztopić, stoczyć się, zniknąć. Jednakże lód nie topniał i Serafin zląkł się, zrozumiał, że to nie lód, lecz list, i to list właśnie do niego, do Serafina. Serafin lękał się listów, zwłaszcza tych nieopłacanych, ze służbowymi pieczęciami. Wychował się w wiosce, gdzie po dziś dzień otrzymany czy wysłany, „wystukany” telegram mówi o tragicznym zdarzeniu: pogrzebie, śmierci, ciężkiej chorobie. List leżał na stole Serafina odwrócony adresową stroną do dołu. Rozwiązując szalik i rozpinając zeszywniały od mrozu barani kożuch, Serafin spoglądał na kopertę, nie odrywając od niej oczu. Odjechał już na odległość dwunastu tysięcy wiorst, za wysokie góry i sine morza, chcąc o wszystkim zapomnieć i wszystko

przebaczyć. Jednakże przeszłość nie chce pozostawić go w spokoju. List przyszedł spoza gór, z tego niezapomnianego jeszcze świata, skąd wieziono go pociągiem, samolotem, parostatkim, samochodem, wreszcie reniferami - aż do tego osiedla, gdzie się schronił. I oto list jest tutaj, w małym laboratorium chemicznym, w którym Serafin jest laborantem. Ściany wykonane z bierwion, sufit i laboratoryjne szafy poczerniały nie ze starości, lecz od całodobowego palenia w piecu; i dlatego wewnątrz domku wygląda jak wiejska izba. Kwadratowe okienka laboratorium podobne są do okienek wykonywanych za czasów Piotra Wielkiego z miki. Szkło pochodzi z kopalni. Oprawa okienna wykonana jest w postaci drobnej kraty, tak aby wykorzystać każdy najmniejszy odłamek szkła, a w razie potrzeby nawet rozbita butelkę. Żółta, elektryczna lampka, zwisająca pod abażurem z drewnianej belki, podobna była do samobójcy. Jej światło to ciemniało, to znów rozjarzało - w elektrowni zamiast agregatów pracowały traktory. Serafin rozebrał się i przysiadł u pieca, wciąż jeszcze nie dotykając koperty. Był w laboratorium sam. Rok temu, gdy wydarzyło się to, co zazwyczaj nazywa się „rodzinnym nieporozumieniem”, on nie chciał ustąpić. Wyjechał na Daleką Północ wcale nie dlatego, żeby był romantykiem czy też człowiekiem obowiązku. „Wielki rubel”

też go nie interesował. Uważał jednak, podobnie jak tysiące filozofów i dziesiątki znajomych obywateli, że rozłąka niszczy miłość, że wiorsty i lata poradzą sobie z każdym nieszczęściem. Minał rok, a w sercu Serafina nic się nie zmieniło i trwałość tego uczucia po cichu go zdumiewała. Przecież nie dlatego, że przestał już rozmawiać z kobietami. Całkiem po prostu ich nie było. Te zaś, które były, to żony wysokich naczelników - klasy społecznej niepomieranie odległej od laboranta Serafina. Każda z nich, dobrze odżywna dama, uważała się za piękność. I takie damy mieszkały w osiedlach, gdzie więcej było rozrywek, a znawcy ich wdzięków byli bogatsi. Do tego zaś w osiedlach tych było wielu wojskowych, nie zagrażał więc nagły grupowy gwałt ze strony szoferów czy też błatniaków-więźniów (tego typu przypadki zdarzały się co rusz w drodze lub na małych odcinkach roboczych). Dlatego pracownicy zwiadu geologicznego i naczelnicy łagrów pozostawiali swoje żony w dużych osiedlach - w miejscach, gdzie manikiurzystki dorabiały się majątków. Była też druga strona medalu - „tęsknota ciała”. Okazało się, że nie jest ona tak straszna, jak myślał Serafin kiedyś, w młodości. Całkiem po prostu trzeba było mniej o tym myśleć. W kopalni pracowali więźniowie i Serafin wielokrotnie patrzył na szare, aresztanckie szeregi,

wpełzające do głównej sztolni albo wypływające z niej przy końcu zmiany. W laboratorium pracowało dwóch inżynierów-więźniów. Przeprowadzali ich i odprowadzali konwojenci. Serafin obawiał się z nimi rozmawiać, oni zaś zwracali się do niego tylko w sprawach służbowych - o wyniki analizy czy też próby. Odpowiadał im, odwracając wzrok. Nastraszo go jeszcze przedtem, w Moskwie, kiedy zgłosił się do pracy na Dalekiej Północy. Powiedziano mu, że przebywają tam groźni przestępcy i Serafin bał się nawet przynieść kawałek cukru czy też białego chleba swoim towarzyszom pracy. Zresztą uważał na niego kierownik laboratorium Priesniakow, komsomolec, któremu zakręciło się w głowie od własnej niezwykle wysokiej pensji i wysokiego stanowiska, otrzymanego zaraz po skończeniu instytutu. Za swój główny obowiązek uważał on nadzór polityczny nad pracownikami - być może tego tylko od niego żądano - nad wolnymi i więźniami. Serafin był starszy od swojego kierownika, ale posłusznie wypełniał wszystko to, co tamten nakazywał w sferze przysłowiowej „czujności” i rozwagi. W ciągu całego roku nie zamienił z tymi inżynierami-więźniami nawet dziesięciu słów na tematy niezwiązane z pracą. A ze sprzątającym i nocnym stróżem Serafin w ogóle nie rozmawiał. Po upływie każdych sześciu

miesiący płaca każdego takiego „kontraktowego” zwiększała się o dziesięć procent. Po otrzymaniu drugi raz dodatku Serafin wyprosił sobie zwolnienie na wyjazd do sąsiedniego osiedla, położonego raptem o sto kilometrów dalej, aby coś kupić, pójść do kina, zjeść obiad w prawdziwej jadłodajni, „popatrzeć na baby”, ogolić się u fryzjera. Wdrapał się do skrzyni ciężarówki, podniósł kołnierz, szczelnie się zawiął i samochód pomknął. Po upływie półtorej godziny maszyna zatrzymała się obok jakiegoś domku. Serafin zlął i przymrużył oczy od wiosennego, ostrego światła. Przed nim stało dwóch ludzi z karabinami.

- Dokumenty!

Serafin sięgnął do kieszeni marynarki i zrobiło mu się zimno - dowód osobisty zostawił w domu. I jak na złość, żadnego papierka potwierdzającego jego personalia. Nic poza analizą powietrza w kopalni. Rozkazano Serafinowi wejść do domku. Nieogolony i krótko ostrzyżony nie wzbudzał zaufania u naczelnika.

- Skąd uciekłeś?

- Znikąd...

Nieoczekiwany policzek zwalił Serafina z nóg.

- Odpowiadać jak należy!

- Ja złożę zażalenie!

- Ooo, to ty będziesz się na nas skarżyć?

Hej, Siemion!

Siemion przymierzył się i zgrabnie, jak na gimnastyce, uderzył Serafina nogą w splot słoneczny. Serafin jęknął i stracił świadomość. Coś mu się majaczyło, że go gdzieś wlekli wprost po ziemi i że zgubił czapkę. Dźwięknął zamek, skrzypnęły drzwi i żołnierze wrzucili Serafina do jakiejś śmierdzącej, ale ciepłej komórki. Po kilku godzinach Serafin przyszedł do siebie i zrozumiał, że znajduje się w „izolatorze”, gdzie zbierano wszystkich uciekinierów i podlegających karze więźniów z osiedla.

- Masz tytoń? - spytał ktoś z ciemności.

- Nie, jestem niepalący - z poczuciem winy odpowiedział Serafin.

- No, toś dureń. Czy on ma cokolwiek?

- Nie, nie ma nic. Czy cokolwiek może się ostać po tych bakłanach?

Z wielkim trudem Serafin pojął, że to o nim mowa, a „bakłanami” nazywają, jak widać, żołnierzy konwoju, za ich chciwość i wszystkożerność.

- Miałem pieniądze - powiedział Serafin.

- No właśnie, miałeś.

Serafin ucieszył się i zamilkł. Wziął ze sobą na drogę dwa tysiące rubli i chwala Bogu, że zabrano mu te pieniądze, bo są pewnie na przechowaniu u konwojentów. Wszystko się niebawem wyjaśni, Serafina zwolnią i oddadzą mu pieniądze. Serafin poweselał. Trzeba będzie dać ze setkę konwojentom - pomyślał. Za przechowanie. Ale właściwie za co dawać? Za to, że go

pobili? W ciasnej izdebce bez żadnego okna, gdzie dostęp świeżego powietrza był możliwy jedynie przez drzwi wejściowe i porośnięte lodem szczeliny w ścianach, leżało wprost na podłodze dwadzieścia osób. Serafinowi zachciało się jeść i spytał sąsiada, kiedy będzie kolacja.

- Czy ty naprawdę jesteś wolny, czy co? Jutro sobie zjesz. Jesteśmy przecież na państwowym wikcie: kubek wody i norma chleba, trzysta gramów na dobę. Oraz siedem kilogramów drew.

Serafina nigdzie nie wołano i przeżył tu całych pięć dni. Pierwszego dnia krzyczał i stukał do drzwi, ale po tym, jak dyżurujący konwojent, przymierzywszy się sprytnie, przyłożył mu kolbą w głowę, przestał się skarżyć. Zamiast zagubionej czapki dano mu jakiś strzęp materiału, który z trudem naciągnął na głowę. Szóstego dnia wywołano go do „biura”, gdzie za stołem siedział ten sam naczelnik, który go „przyjmował”, a pod ścianą stał kierownik laboratorium – skrajnie niezadowolony zarówno z nieobecności Serafina w pracy, jak i z niepotrzebnej straty czasu na tę jazdę dla poświadczenia personaliów laboranta. Priesniakow jęknął z lekka, zobaczywszy Serafina – pod prawym okiem niebieski siniak, na głowie porwana, brudna, szmaciana czapka bez tasiemek. W porwanej, watowanej kurtce bez guzików, zarośnięty, bez brudnego kożucha (który

trzeba było zostawić w karczerze), z czerwonymi zaognionymi oczami wywierał silne wrażenie.

- No - powiedział Priesniakow - to rzeczywiście on. Możemy już iść? - kierownik laboratorium pociągnął Serafina ku wyjściu.

- A pie... pieniądze? - wybełkotał Serafin, opierając się i odpychając Priesniakowa.

- Jakie pieniądze? - w głosie naczelnika zadźwięczał metal.

- Dwa tysiące rubli. Miałem je ze sobą.

- Widzi pan - zaśmiał się naczelnik, szturchając palcem w bok Priesniakowa. - Przecież opowiadałem panu. Po pijanemu, bez czapki...

Serafin przekroczył próg i milczał aż do samego domu. Po tym wypadku zaczął przemyśliwać o samobójstwie. Zapytał nawet jednego z inżynierów, dlaczego on, będąc więźniem, nie popełnia samobójstwa?

Inżynier był zdumiony - przez cały rok Serafin nie zamienił z nim nawet dwóch słów. Milczał, starając się zrozumieć.

- A jak pan... jak pan żyje? - gorączkowo szeptał Serafin. - życie więźnia to nieprzerwany łańcuch poniżeń, od tej chwili, kiedy otworzy oczy i zacznie słyszeć, aż do momentu zapadnięcia w dobroczynny sen.

- Tak, to wszystko prawda, ale do wszystkiego się przywyka. Tutaj też bywają lepsze i gorsze dni. Dni pograżone w beznadziejności przeplatają

się z dniami przepelnionymi nadzieją. Człowiek żyje nie dlatego, że w coś wierzy czy też czegoś się spodziewa. Chroni go instynkt życia, tak samo jak każde zwierzę. To samo mogłoby powtórzyć dowolne drzewo i każdy kamień. Należy uważać na siebie w chwili, kiedy nerwy są napięte, rozognione. Trzeba wystrzegać się obnażenia swojego serca, swojego umysłu – nagle i z jakiegokolwiek strony. Koncentrując ostatki sił przeciw jakimukolwiek wydarzeniu, trzeba wystrzegać się ciosu z tyłu. Dla nowej walki, do której się nie przywykło, może nie starczyć sił. Każde samobójstwo jest wynikiem podwójnego oddziaływania co najmniej dwóch przyczyn. Czy pan mnie zrozumiał?

Serafin rozumiał. Siedział teraz w zakopconym laboratorium i wspominał tę swoją jazdę z jakimś nie wiadomo dlaczego wstydem, z poczuciem przytłaczającej odpowiedzialności, która zaległa w nim na zawsze. Nie chciał już żyć. List wciąż jeszcze leżał na czarnym laboratoryjnym stole, a strach nie pozwalał wziąć go do ręki. Serafin wyobrażał sobie linijki listu zapełnione pochylonym nieco w lewo pismem jego żony; charakter tego pisma zdradzał jej wiek – w latach dwudziestych nie uczono już w szkołach, że trzeba pisać z lekkim pochyleniem w prawo. Pisała więc, jak chciała. Serafin przedstawił sobie wiersze tego listu, jakby przeczytał go

bez rozrywania koperty. Zaczynać się mógł od słów: „Mój Drogi” albo „Drogi Sima”, albo „Serafinie”. Tego ostatniego właśnie się obawiał. A co by było, gdyby nie przeczytawszy tego listu, porozrywał go na drobne kawałeczki i rzucił do pałającego rubinowym ogniem pieca? Skończy się ta zmora i znów będzie mógł spokojnie oddychać, chociażby tylko do następnego listu. Ale przecież w końcu nie jest takim tchórzem! W ogóle nie jest tchórzem. To inżynier jest tchórzem i on mu to udowodni. Wszystkim udowodni. Serafin wziął list do ręki i obrócił adresem ku górze. Domyślał się słusznie - list był z Moskwy, od żony. Z wściekłością rozzerwał kopertę i podszedłszy do lampki, przeczytał list na stojąco. Żona pisała o rozwodzie. Serafin rzucił list do pieca. Biały płomień, obramowany niebieskim obrzeżem, buchnął i zniknął. Serafin zaczął działać pewnie i bez pośpiechu. Wydostał z kieszeni klucz i otworzył szafę w pokoju Priesniakowa. Ze szklanego słoika nasypał do menzurki szczyptę szarego proszku, zaczerpnął z wiadra kubek wody, dolał do menzurki, pomieszał i wypił. Palenie w gardle, lekki odruch wymiotny - i to wszystko. Przesiedział tak, spoglądając na chodzący zegar i o niczym nie myśląc, całe trzydzieści minut. Oprócz bólu w gardle, żadnego działania. I wtedy dopiero Serafin zaczął się śpieszyć. Odsunął szufladę stołu i wyjął

swój składany nóż, potem zaś otworzył żyłę na lewej ręce. Na podłogę połała się ciemna krew. Serafin poczuł radosne uczucie słabości, ale krew ciekła coraz słabiej i wolniej. Zrozumiał, że krew nie spłynie, że pozostanie przy życiu, że samoobrona własnego organizmu jest mocniejsza niżli chęć śmierci. Od razu sobie przypomniał, co należy zrobić. Byle jak, na jeden rękaw założył kożuszek - bez kożuszka na dworze było zbyt chłodno - i bez czapki, podniósłszy tylko kołnierz, pobiegł w kierunku rzeczki, która przepływała w odległości stu kroków od laboratorium. Była to góraska rzeczka z wypłukanymi przez siebie wąskimi, głębokimi jamami, które teraz, w ciemnym, mroźnym powietrzu, dymiły jak wrzątek. Serafin wspomniał, jak zeszłego roku spadł późną jesienią pierwszy śnieg i rzekę zaciągnęło cienkim lodem. I kaczkę, która nie odleciawszy, pozostała i usiadła na świeżym lodzie, osłabiona walką ze śniegiem. Wspomniał, jak na lód wybiegł człowiek, jakiś więzień, i rozstawiwszy śmiesznie ręce - próbował pochwycić kaczkę. Kaczka odbiegała po lodzie do wypłukanej jamy, nurkowała pod lód i wyskakiwała w innym miejscu. Człowiek biegał, przeklinając ptaka; zmęczył się wcale nie mniej niż kaczka, ale wciąż biegał za nią od jamy do jamy. Dwukrotnie załamał się pod nim lód i on długo, ordynarnie przeklinając, gramolił

się nań z powrotem. Dookoła stało wielu ludzi, ale nikt nie pospieszył z pomocą ani kaczce, ani polującemu. Była to przecież jego zdobycz, on ją znalazł, a za pomoc musiałby płacić, dzielić się... Umęczony człowiek pełznął po lodzie, przeklinając wszystko na świecie. Skończyło się na tym, że kaczka, kolejny raz zanurkowawszy, nie wynurzyła się. Pewnie utonęła ze zmęczenia. Serafin wspominał, jak usiłował wtedy wyobrazić sobie śmierć kaczki, gdy tłucze ona głową o lód, widząc przezeń błękitne niebo. Obecnie Serafin biegł w kierunku tego samego miejsca na rzeczce. Wskoczył wprost do lodowatej, dymiącej wody, odłamując niepokryty śniegiem brząsek niebieskawego lodu. Woda sięgała po pas, ale prąd był silny i zwałił Serafina z nóg. Zrzucił z siebie kożuszek i złączył ręce, zmuszając się do zanurzenia pod lód, jednakże już dookoła krzyczeli i biegli ludzie, ciągnąc deski i układając je w poprzek jamy. Ktoś zdążył pochwycić Serafina za włosy. Zaniesiono go wprost do szpitala, rozębrano i ogrzano, starając się wlać do gardła trochę ciepłej, słodkiej herbaty. Serafin milczał i tylko ruszał głową. Podszedł do niego szpitalny lekarz, trzymając w ręku strzykawkę z roztworem glukozy, ale spostrzegłszy rozszarpaną żyłę, podniósł oczy i spojrzął na Serafina. Serafin uśmiechnął się. Glukozę wstrzyknięto mu do prawej ręki. Staruszek lekarz, który

już wiele widział w życiu, rozwarł szpachelką zęby Serafina, obejrzał gardło i wezwał chirurga. Operację przeprowadzono natychmiast, ale było już za późno. Kwas zdążył przeżreć ścianki żołądka i przewodu pokarmowego — założenia Serafina okazały się słusze.

WOLNY DZIEŃ

Dwie wiewiórki o niebieskawym odcieniu futra, z czarnymi mordkami i czarnymi ogonkami, przypatrywały się z wielkim zajęciem czemuś, co działo się za srebrzystymi modrzewiami. Podszedłem prawie na styk do drzewa, na którym siedziały, i dopiero wtedy mnie spostrzegły. Zaszurały pazurki po korze drzewa, niebieskawe ciała zwierzątek śmignęły w górę i ucichły gdzieś tam wysoko, wysoko. Drobiniki kory przestały osypywać się na śnieg. Ujrzałem to, co obserwowały wiewiórki. Na leśnej polanie modlił się człowiek. Czapka-uszanka ze zwykłego materiału leżała zwinięta u jego nóg i szron zdążył już wybielić ostrzyżoną głowę. Twarz jego wyrażała coś dziwnego — to samo, co bywa na twarzach ludzi wspominających dzieciństwo albo coś równie drogiego i cennego. Człowiek z rozmachem kreślił znak krzyża, jakby ciągnął w dół trzema złożonymi palcami swą głowę. Nie od razu go rozpoznałem — tak wiele nowego rysowało się na jego twarzy. Był to

więzień Zamiatin, duchowny, z tego samego baraku co ja. Wciąż jeszcze mnie nie widział i wargi jego, niemiejące od chłodu, poruszały się, wymawiając cicho i uroczyście zwyczajne, zapamiętane przeze mnie z dzieciństwa słowa. Były to starocerkiewne formuły liturgii. W tym srebrzystym lesie Zamiatin odprawiał mszę. Powoli przeżegnał się i wyprostował – i spostrzegł mnie. Uroczysty nastrój oraz wzruszenie malujące się na jego twarzy zniknęły, a codziennie zmarszczki pomiędzy brwiami ściągnęły je ku sobie. Zamiatin nie lubił drwin. Podniósł czapkę, otrząsnął ze śniegu i włożył na głowę.

– To była liturgia? – rozpocząłem rozmowę.

– Nie, nie – odrzekł Zamiatin, uśmiechając się z powodu mojej ignorancji. – Jakże mógłbym odprawiać mszę? Przecież nie posiadam ani chleba, ani wina, ani stuły. To jest państwowy ręcznik.

I poprawił zwisający mu z szyi brudny, „wafłowy” ręcznik, który rzeczywiście przypominał stułę. Mróz pokrył tkaninę ręcznika kryształkami zmarzniętego śniegu, które lśniły w słońcu, upodabniając ją do wyszywanej cerkiewnej szaty.

– A przy tym wstydzę się, bo nie wiem, gdzie jest wschód. Obecnie słońce wschodzi na dwie godziny i zaraz

zachodzi za tą samą górą, zza której się pojawiło. Gdzie więc wschód?

- Czy to takie ważne: wschód?

- Nie, oczywiście. Proszę nie odchodzić. Przecież mówię panu, że nie odprawiam mszy i że nie mogę jej odprawić. Całkiem po prostu wspominam i odtwarzam niedzielną mszę. I nie wiem, czy dziś jest niedziela.

- Czwartek - powiedziałem. - Mówił rano nadzorca.

- No, widzi pan, czwartek! Nie, nie, nie odprawiam mszy. Po prostu tak jest mi łatwiej. A i jeść mniej się chce - uśmiechnął się Zamiatin.

Ja wiem, każdy człowiek tutaj ma coś swojego, coś, co jest najbardziej ostateczne i najważniejsze, coś, co pomaga żyć, czepiać się tego życia, odbieranego nam tak usilnie i z takim uporem. Jeśli dla Zamiatina tym ostatecznym była liturgia Jana Złotoustego, to moją wartością „ostateczną” były wiersze, ulubione wiersze pisane przez innych, które przedziwnym sposobem pozostały w pamięci, tam gdzie wszystko inne dawno już zostało zapomniane, wyrzucone i wygnane. To jedyne, co nie zostało jeszcze zdławione przez zmęczenie, głód, mróz i niekończące się poniżenia. Słońce zaszło. Napierająca mgła wczesnego zimowego wieczoru wypełniła już przestrzeń między drzewami. Pobrnąłem do baraku, w którym mieszkaliśmy, do

niziutkiej izdebki z maleńkimi oknami, podobnej do stajni. Chwyciwszy obiema rękami za ciężkie, oblodzone drzwi, usłyszałem jakiś szmer w sąsiednim pomieszczeniu. Znajdowała się tam „instrumentałka” - skład narzędzi, gdzie przechowywano piły, łopaty, topory, łomy i kilofy robotników górniczych. W dni wolne od pracy był on zamknięty, ale tym razem kłódki nie było. Przekroczyłem próg i ciężkie drzwi omal mnie nie przytrzasnęły. W składzie było tyle szpar w ścianach, że oczy szybko przywykły do półmroku. Dwóch błatniaków łaskotało dużego szczeniaka-owczarka, mającego już chyba ze cztery miesiące. Szczeniak leżał na grzbiecie, popiskując i podrygując wszystkimi czterema łapami. Starszy z błatniaków przytrzymywał go za obrożę. Moje wejście w niczym im nie przeszkodziło - byliśmy z jednej brygady.

- Ej ty, czy jest ktoś na zewnątrz?

- Nie ma nikogo - odpowiedziałem.

- No to już - powiedział starszy

- Poczekaj, daj mi się jeszcze trochę pogrzać - odpowiedział młody - Widzisz, jak się rzuca? - pomacał ciepły bok szczeniaka w pobliżu serca i połaskotał go.

Szczeniak ufnie zapiszczał i polizał rękę człowieka.

- O, chce ci się lizać...No to nie będziesz już lizać. Sienia!

Siemion, trzymając lewą ręką szczeniaka za obrożę, prawą wyciągnął zza pleców

topór i szybko, krótkim rozmachem opuścił na głowę psa. Szczeniak szarpnął się, na lodowatą podłogę składu bluznęła krew.

- Trzymaj go mocniej! - wrzasnął Sienia, wznosząc powtórnie topór.

- Po co mam go trzymać, to nie kogut - odparł młody.

- Zdejmij no skórkę, póki ciepła - pouczał Siemion. - I zakop ją w śniegu. Wieczorem w baraku zapach mięsnej zupy nie pozwalał nikomu zasnąć, dopóki nie najedli się błatnicy. Ale w naszym baraku było ich zbyt mało, żeby zjeść całego szczeniaka. W kociołku zostały resztki mięsa. Siemion kiwnął palcem na mnie.

- Weź.

- Nie chcę - powiedziałem.

- No to - Siemion powiódł oczami po pryczach - no to oddamy mięso popu. Ej, ojczulku, przyjmij od nas baraninkę. Tylko kociołek umyj...

Zamiatin wychynał z ciemności na żółte światło benzynowej kopciłki, wziął kociołek i zniknął. Po pięciu minutach wrócił z wymyтым już naczyniem.

- Już? - spytał z zainteresowaniem Sienia. - Szybko łykasz, jak mewa. To ojczulku, nie baraninka, lecz psie mięso. Tutaj do ciebie piesek przychodził. Wabił się Nord.

Zamiatin milcząco spoglądał na Siemiona. Potem obrócił się i wyszedł. Wyszedłem w ślad za nim. Stał na śniegu za

drzewami, wymiotował. W świetle księżyca twarz jego wyglądała jak z ołowiu. Lepka, klejąca się ślina zwisała z jego sinych warg. Zamiatin otarł twarz rękawem i gniewnie spojrział na mnie.

- To parszywcy - powiedziałem.

- Tak, oczywiście - odparł. - Ale mięso było smaczne. Nie gorsze od baraniny.

DOMINO

Z platformy wagi dziesiętnej sprowadzili mnie sanitariusze. Mocne, chłodne ręce nie pozwoliły mi osunąć się na ziemię.

- Ile? - krzyknął lekarz, maczając ze stukiem pióro w nieprzelewającym się kałamarzu.

- Czterdzieści osiem.

Ułożono mnie na noszach. Mój wzrost to sto osiemdziesiąt centymetrów; normalna waga ciała - osiemdziesiąt kilogramów. Ciężar kości stanowi czterdzieści dwa procent całkowitej wagi ciała, czyli trzydzieści dwa kilo. W ten lodowaty wieczór pozostało na mnie wszystkiego szesnaście kilogramów: skóry, mięsa, wnętrzności i mózgu. Nie mogłem tego wszystkiego wówczas policzyć, ale rozumiałem niejasno, że czyni to spoglądający na mnie spode łba lekarz. Odemknął biurko, wysunął szufladę, ostrożnie wyjął termometr, potem pochylił się nade mną i ostrożnie włożył go we wnękę pod moim lewym ramieniem. Natychmiast jeden z sanitariuszy

przycisnął mi rękę do piersi, a drugi obiema rękami objął zápęstek mojej prawej ręki. Sens tych wyuczonych, wydoskonalonych ruchów stał się dla mnie jasny dopiero później - w całym szpitalu na sto łózek był tylko jeden termometr. W stosunku więc do innych przedmiotów szkieleko to zmieniło swą wartość i chroniono je niczym jakąś drogocenność. Jedyne ciężko chorym i nowo przybyłym zezwalano na pomiar temperatury za pomocą tego przyrządu. Zdrowiejącym wpisywano temperaturę „według pulsu” jedynie w wątpliwych przypadkach otwierano szufladę biurka. Wahadło zegara odliczyło dziesięć minut, lekarz ostrożnie wyjął termometr, ręce sanitariuszy zwolniły ucisk.

- Trzydzieści cztery i trzy - stwierdził lekarz. - Czy ty jesteś w stanie odpowiadać na moje pytania?

Odpowiedziałem ruchem oczu: „potrafię”. Oszczędzałem siły. Słowa dawały się wymawiać wolno i z trudnością; to było coś jak tłumaczenie z obcego języka. Zapomniałem wszystko, odwykłem od wspomniania. Spisywanie historii choroby dobiegło końca i sanitariusze lekko unieśli nosze, na których leżałem na wznak.

- Na szóstą - powiedział lekarz. - Jak najbliżej pieca.

Położono mnie na pryczy koło pieca. Materace były wypchane gałązkami cedrowca, igły poodpadały i nagie witki

niebezpiecznie wyginały się pod pasiastą tkaniną. Z brudnej, ciasno napchanej poduszki sypały się przegniłe resztki siana. Przetarty, wysłużony sukienny koc z naszytymi szarymi literami „nogi” ukrył mnie przed całym światem. Bardziej doskwierały podobne do powrozów mięśnie rąk i nóg, swędziały odmrożone palce. Jednakże zmęczenie było silniejsze od bólu. Zwinąłem się w kłębek, objąłem nogi rękami, podbródek podparłem brudnymi kolanami pokrytymi szorstką, jakby krokodylą skórą - i zasnąłem. Obudziłem się po wielu godzinach. Na podłodze przy łóżku stały moje śniadania, obiady i kolacje. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem najbliższą stojącą blaszaną miskę i zacząłem jeść wszystko po kolei, odgryzając od czasu do czasu drobniutkie kawałki od mojej „pajki” chleba leżącej tuż obok. Chorzy z sąsiednich prycz przypatrywali się, jak łykam pożywienie. Nie pytali, kim jestem i skąd - moja krokodyla skóra mówiła sama za siebie. Nie patrzyliby na mnie, ale - wiedziałem to z własnego doświadczenia - nie sposób odwrócić wzroku od człowieka, który zajada ze smakiem. Przełknąłem pozostawione koło mnie jedzenie. Ciepło, cudowna ociążałość żołądka i ponowny sen - niedługi, bo przyszedł po mnie sanitariusz. Narzuciłem na ramiona jedyny tutaj wyjściowy szlafrok - palto - brudne, przepalone niedopałkami,

przyciężkie od wchłoniętego potu setek ludzi; wsunąłem stopy w ogromne człapaki i z wolna przestawiając nogi, aby nie upaść, pobrnąłem za sanitariuszem do „zabiegówki”. Przy oknie stał ten sam lekarz i patrzył przez szybę, oszronioną i kosmatą od narośniętego lodu. Z rogu parapetu zwisała szmatka; kropla po kropli skapywała z niej woda do podstawionej obiadowej miski. Żelazny piec huczał. Stanałem, chwyciwszy się obiema rękami sanitariusza.

- No, to kontynuujemy - powiedział lekarz.

- Zimno - odrzekłem cicho.

Zjedzone niedawno pożywienie przestało już mnie grzać.

- Siadź przy piecu... Gdzie pan pracował na wolności?

Rozwarłem wargi, poruszyłem szczękami - powinien z tego wyjść uśmiech. Lekarz zrozumiał i w odpowiedzi również się do mnie uśmiechnął .

- Nazywam się Andriej Michajłowicz - oznajmił - Nie ma potrzeby, aby pan się leczył.

Poczułem ssanie w piersiach.

- Tak - powtórzył lekarz - nie ma potrzeby się leczyć. Trzeba pana tylko odżywiać i myć. Powinien pan leżeć, leżeć i jeść. Co prawda nasze materace to nie to, co pierzyna, ale z panem nie będzie tak źle. Trzeba się często przewracać z boku na bok i nie będzie

odleżyn. Poleży pan dwa miesiące, a potem to już wiosna.

Lekarz uśmiechnął się. Oczywiście, że odczuwałem radość. Jakżeby nie. Całe dwa miesiące! Brakowało mi jednak siły, aby wyrazić tę radość. Trzymałem się rękami taboretu i milczałem. Lekarz coś tam zapisał w historii choroby.

- Proszę iść.

Powróciłem do sali. Spałem i jadłem. Po upływie tygodnia chodziłem chwiejnym nieco krokiem po sali, po korytarzu, po innych salach. Odszukiwałem ludzi przeżuujących, przełykających, zaglądałem im w usta, czym bowiem więcej odpoczywałem, tym bardziej chciało mi się jeść. W szpitalu, podobnie jak w łagrze, nie dawano łyżek. Bez widelca i noża nauczyliśmy się obchodzić jeszcze w więzieniu śledczym. Od dawna przyuczeni byliśmy do przyjmowania pożywienia „przez burtę”, bez łyżki; ani zupa, ani kasza nigdy nie były tak gęste, żeby potrzebna była łyżka. Palec, skórka od chleba i język doczyszczwały dno kociołka lub miski bez względu na głębokość. Poszukiwałem przeżuujących i pragnąłem ich widzieć. Była to prawdziwa, władająca mną potrzeba. Andriej Michajłowicz znał to uczucie. W nocy rozbudził mnie sanitariusz. Salę wypełniały zwykłe odgłosy szpitala w nocy: chrypienie, stękanie, rozmowy przez sen, kaszel; wszystko to mieszało się, tworząc swoistą symfonię, jeśli z

takich dźwięków można ułożyć symfonię. Niech tylko ktoś zaprowadzi mnie z zawiązanymi oczami w takie miejsce, natychmiast rozpoznam łagrowy szpital. Na parapecie - lampa, blaszane naczynko napełnione jakimś olejem (byle nie tranem!), z dymiącym knotem skręconym z waty. Przypuszczalne nie było jeszcze zbyt późno. Nasza noc zaczynała się po „capstryku” o godzinie dziewiątej wieczorem i zasypialiśmy od razu, jakoś dziwnie, byle nieco rozgrzały się nogi i ręce.

- Andriej Michajłowicz wzywają - powiedział sanitariusz. - To Koziołek, on cię zaprowadzi.

Chory nazwany Koziołkiem stał przede mną. Podeszedłem do blaszanej umywalki, obmyłem się i wróciwszy do sali, wytarłem twarz i ręce o włóczkę. Na całą salę liczącą trzydzieści osób był tylko jeden ogromny ręcznik ze starego pasiastego materaca i wydawano go tylko rano. Andriej Michajłowicz mieszkał przy szpitalu, w jednej z maleńkich salek przy końcu budynku; kładziono tam chorych pooperacyjnych. Zapukałem do drzwi i wszedłem. Na stole leżały odsunięte na bok książki. Były dla mnie obce, nieprzyjazne i niepotrzebne. Obok książek stał czajnik, dwa blaszane kubki i miska napełniona jakąś kaszą...

- Nie chciałby pan zagrać w domino? - spytał Andriej Michajłowicz przyjaźnie

mi się przyglądając... - Jeżeli ma pan czas.

Nienawidzę domina. Jest to najbardziej nudna, najbardziej bezmyślna i głupia gra. Ciekawsze jest lotto, nie mówiąc o kartach, jakiegokolwiek grze w karty. Najlepsze byłyby szachy lub chociażby warcaby; popatrzyłem z ukosa na szafę, czy nie widać tam szachownicy, ale niestety nie było. Nie mogłem jednak obrazić Andrieja Michajłowicza odmową. Powinienem go rozzerwać, odpłacić dobrem za dobro. Nigdy w życiu nie grałem w domino, jednak byłem przekonany, że opanowanie tej sztuki nie wymaga większej mądrości. A przy tym na stole stały dwa kubki herbaty i miska kaszy. I było ciemno.

- Napijmy się herbaty - powiedział Andriej Michajłowicz - Oto cukier, proszę się nie krępować. Niech pan je kaszę i opowiada. Chociaż... te dwie czynności nie bardzo dają się wykonać jednocześnie.

Zjadłem kaszę, chleb i wypilem trzy kubki herbaty z cukrem. Cukru nie widziałem już od dziesięciu lat. Rozgrzałem się i Andriej Michajłowicz zmieszał kostki domina. Wiedziałem, że grę rozpoczyna ten, kto posiada podwójną szóstkę. Wyłożył ją Andriej Michajłowicz.

Potem grający dostawiają po kolei kostki, odpowiednio do znajdujących się na nich oczek. Niczego więcej do nauczenia się tu nie było, śmiało więc

włączyłem się do gry, bezustannie pocąc się i czkając z sytości. Graliśmy na łóżku Andrieja Michajłowicza. Z przyjemnością patrzyłem na oślepiająco białą powłokę wypełnionej pierzem poduszki. Patrząc na czystą poduszkę i widzieć, jak drugi człowiek ugniata ją rękami, było dla mnie wprost fizyczną rozkoszą.

- Nasza gra - powiedziałem - pozbawiona jest swojego największego uroku: gracze w domino powinni, kładąc kostki, stukać nimi z pełnego rozmachu o stół. - wcale nie żartowałem. Właśnie to wydawało mi się najważniejsze w czasie gry w domino. - Przenieśmy się więc na stół - odparł Andriej Michajłowicz.

- Nie, no co pan, ja po prostu przypominam sobie wielostronność tej gry. Rozgrywaliśmy partię wolno, opowiadaliśmy sobie wzajemnie własne życie. Andriej Michajłowicz, będąc lekarzem, nie pracował na tak zwanych „ogólnych robotach” w wyrobiskach kopalni i widział jedynie ich odbicie w postaciach ludzkich resztek, odpadów, wymiocin, które kopalnia wyrzucała do szpitala i kostnicy.

- No proszę, wygrał pan - powiedział Andriej Michajłowicz - Gratuluję, a jako premię proszę... - tu wyjął z szafy plastikową papierośnicę - Dawno temu pan palił?

Oderwałem kawałek gazety i skręciłem machorkowego papierosa. Niczego bardziej

pasującego do machorki niżli papier gazetowy nie da się wymyślić. Pozostałości farby drukarskiej nie tylko nie psują machorkowego „bukietu”, ale wręcz znakomicie go uwydatniają. Przyłożywszy pasek papieru do żarzacych się w piecyku węgla, przypaliłem skręta, chciwie wciągając w płuca duszący, słodkawy dym. Cierpieliśmy na stały brak tytoniu i już dawno należało rzucić palenie - sprzyjały temu warunki specjalne. Lecz ja nigdy nie przestawałem palić. Strach nawet było pomyśleć, że sam, z własnej woli, mogę się pozbawić tej wielkiej aresztanckiej przyjemności.

- Dobranoc - powiedział, uśmiechając się, Andriej Michajłowicz. - już szedłem spać, ale tak zachciało mi się rozegrać partyjkę. Dziękuję panu.

Wyszedłem z pokoju do ciemnego korytarza. Przy ścianie stał ktoś na mojej drodze. Po sylwetce poznałem Koziółka.

- To ty? Czego tu chcesz?

- Popalić. Chciałbym popalić. Nie dał? Zrobiło mi się wstyd mojej chciwości, wstyd, że nie pomyślałem ani o Koziółku, ani o nikim z sali, żeby im przynieść niedopałek papierosa, skórkę chleba, garść kaszy. A Koziółek wyczekiwał przez kilka godzin w ciemnym korytarzu. Minęło jeszcze parę lat, skończyła się wojna, w kopalni złota zastąpili nas własowcy, a ja trafiłem do „małej zony”, do

etapowych baraków Zarządu Zachodniego. Ogromne baraki z wielopiętrowymi pryzmami mieściły po pięćset, sześćset osób. Stąd wysyłano do zachodnich kopalni. Nocami zona nie spała - przychodziły etapy i w „czerwonym kąciku” do wyściełanym brudnymi kocami błatniaków, każdej nocy odchodziły koncerty. I to jakie koncerty! Z udziałem najznamienitszych śpiewaków i narratorów - nie tylko tych z łagrowych agitbrygad, ale i wysokiego szczebla. Jakiś charbiński baryton naśladowujący Leszczenkę i Wertyńskiego, naśladowujący samego siebie Wadim Kozin i wielu, wielu innych wyśpiewywało błatniakom swój najlepszy repertuar. Obok mnie leżał Świecznikow, porucznik wojsk pancernych, delikatny, różowolicy młodzieniec, który zakończył służbę wojskową. Znajdował się tu także jako więzień pod śledztwem - w czasie pracy w kopalni przyłapany został na tym, że jadł ludzkie mięso, mięso trupów z kostnicy, wyrabując kawałki „oczywiście nie tłuste”, jak najspokojniej wyjaśniał. Na punkcie łagrowym nie wybiera się sąsiadów i pewnie są jeszcze gorsze sprawy niż obiad z ludzkich zwłok. Rzadko, bardzo rzadko pojawiał się w małej strefie felczer i przyjmował „gorączkowców”. Na gęsto oblepiające mnie czyraki nie chciał nawet spojrzeć. Natomiast mój sąsiad, znajomy felczer ze szpitalnej kostnicy, rozmawiał z nim jak z dobrym

znajomym. Nieoczekiwanie felczer wymienił nazwisko Andrieja Michajłowicza. Ubłagałem felczera, aby przekazał Andriejowi Michajłowiczowi kartkę. Szpital, w którym pracował, położony był w odległości jednego kilometra od „małej zony”. Plany moje uległy zmianie. Należało teraz utrzymać się w zonie do chwili nadejścia odpowiedzi od Andrieja Michajłowicza. Dyspozytor zdażył już mnie zauważyć i włączał w skład każdego odchodzącego etapu. Jednakże przyjmujący etap przedstawiciele równie nieustępliwie wykreślali mnie z listy. Podejrzewali, że coś ze mną niedobrze, a przy tym mój wygląd mówił sam za siebie.

- Dlaczego nie chcesz jechać?

- Jestem chory. Powinienem iść do szpitala.

- Nie masz co robić w szpitalu. Jutro będą wysyłać do robót drogowych. Czy chcesz wiązać miotły?

- Nie chcę na roboty drogowe. Nie chcę wiązać mioteł.

Mijał dzień za dniem, odchodził etap za etapem, a o felczerze i Andrieju Michajłowiczu ani słychu, ani dychu. Pod koniec tygodnia udało mi się wkręcić na przegląd lekarski w ambulatorium, odległym około stu metrów od „małej zony”. Nowa karteczka do Andrieja Michajłowicza tkwiła zaciśnięta w mej pięści. Wziął ją ode mnie statystyk z ambulatorium i obiecał przekazać nazajutrz Andriejowi Michajłowiczowi. W

czasie przeglądu spytałem kierownika przychodni o Andrieja Michajłowicza.

- Owszem, jest taki lekarz, więzień. Nie ma potrzeby, aby pan się z nim widział.

- Ale ja go znam osobiście.

- Cóż z tego, że ktoś go zna osobiście?

Zaraz obok stał felczer, który w „małej zonie” wziął ode mnie karteczkę. Cicho spytałem go, gdzie ona się podziała.

- Żadnej kartki na oczy nie widziałem...

- Jeżeli do pojutrze nie dowiem się niczego o Andrieju Michajłowiczu, to jadę... Na roboty drogowe, do sowchozu, do kopalni, do diabła wreszcie...

Następnego dnia wieczorem, już po apelu, wezwano mnie do dentysty. Poszedłem, myśląc, że to jakaś pomyłka, ale w korytarzu ujrzałem znajomy czarny kożuszek Andrieja Michajłowicza. Uściskaliśmy się. Gdy minęła następna doba, wywołano mnie i pośród czterech chorych z łagru poprowadzono i powieziono do szpitala. Dwóch leżało, objawszy się nawzajem, na wiejskich saniach, a dwóch pozostałych szło za nimi. Andriej Michajłowicz nie zdążył mnie uprzedzić, jaka ma być diagnoza; nie wiedziałem, na co jestem chory. Nękające mnie choroby - dystrofia, skorbut, pelagra - nie dorosły jeszcze do tego, aby być powodem hospitalizacji w łagrze. Wiedziałem, że idę na oddział chirurgiczny. Tam właśnie pracował Andriej Michajłowicz, ale jaki mogłem zgłosić rodzaj choroby wymagającej

interwencji chirurgicznej? Przepukliny nie miałem. Zapalenie kości czterech palców u nogi po odmrożeniu to męczące, ale niewystarczające dla hospitalizacji. Byłem pewien, że Andriej Michajłowicz potrafi mnie uprzedzić przy jakimś spotkaniu. Koń podwiózł pod szpital, sanitariusze wyciągnęli „leżących”, a my - ja wraz z nowym towarzyszem - rozebraliśmy się na ławeczce i rozpoczęliśmy mycie. Każdemu dawano tu miednicę ciepłej wody. Do „łazienki” wszedł starszy wiekiem lekarz w białym fartuchu i patrząc sponad okularów, obejrzał nas obu.

- Ty na co? - spytał, dotykając palcem ramienia mojego towarzysza.

Ten obrócił się i wymownie pokazał ogromną przepuklinę pachwinową. Oczekując na to samo pytanie, zdecydowałem, że będę się uskarżał na bóle brzucha. Jednakże stary lekarz spojrzął na mnie obojętnie i wyszedł.

- Kto to? - spytałem.

- Mikołaj Iwanowicz jest tutaj naczelnym chirurgiem. Kierownikiem oddziału. Sanitariusz wydał nam bieliznę.

- Ciebie dokąd? - odnosiło się to do mnie.

- A czort jego wie! - kamień spadł mi z serca i przestałem już się bać.

- No, ale co ci „naprawdę” dolega, powiedz.

- Brzuch mnie boli.

- Pewnie ślepa kiszka - powiedział obeznany z tym sanitariusz.

Andrieja Michajłowicza ujrzałem dopiero następnego dnia. Naczelnny chirurg został przez niego uprzedzony o mojej hospitalizacji w związku z „podoстрыm zapaleniem ślepej kiszki”. Tego samego dnia Andriej Michajłowicz opowiedział mi swoją niewesołą historię. Zapadł na gruźlicę. Zdjęcie rentgenowskie i analizy w laboratorium wskazywały na silne zagrożenie. Szpital rejonowy czynił starania, aby wywieźć Andrieja Michajłowicza na „kontynent” na leczenie.

Znajdował się on już na statku, gdy ktoś doniósł naczelnikowi wydziału zdrowia, Czerpakowowi, że choroba Andrieja Michajłowicza jest nieprawdziwa, pozorowana - „tufta”, według używanego w łagrze żargonu. A może nawet nikt nie doniósł - major Czerpakow był godnym synem swojego wieku, wieku podejrzeń, nieufności i „czujności”. Major rozgniewał się, kazał zabrać Andrieja Michajłowicza ze statku i posłać do najgłębszej głuszy, daleko od tego odległego Zarządu, w którym się z nim spotkałem. I Andriej Michajłowicz odbył tysiackilometrową podróż na mrozie. Jednakże w tym odległym Zarządzie okazało się, że nie ma ani jednego lekarza, który potrafiłby zakładać odmę. Robiono to już przedtem Andriejowi Michajłowiczowi kilka razy, ale dziarski major orzekł, że odma to oszustwo i

szachrajstwo. Tymczasem z Andriejem Michajłowiczem było wciąż gorzej i gorzej. Był już ledwie żywy, gdy udało się uzyskać u Czerpakowa zwolnienie na odesłanie Andrieja Michajłowicza do Zarządu Zachodniego - najbliższego, w którym lekarze umieli zakładać odmę. Teraz Andriej Michajłowicz miał się lepiej. Kilkakrotne wdmuchiwanie przeprowadzono pomyślnie. Za jego poparciem i zgodnie z jego żądaniem pojechałem na kursy felczerów, ukończyłem je i praktykowałem jako felczer. W szpitalu, w którym obaj pracowaliśmy, żyliśmy w przyjaźni. Wyroki nasze kończyły się w tym samym czasie i to jakby wiązało nasze losy, zbliżało. Później powróciłem na „kontynent”. To Andriej Michajłowicz jest tym człowiekiem, któremu zawdzięczam życie. On sam dawno już umarł - gruźlica i major Czerpakow zrobili swoje. Przypominam sobie teraz, jak kiedyś w szpitalu, gdy ukończono wieczorne sprzątanie, sanitariusze zasiedli w kącie do gry w domino i poczęli stukać kostkami.

- Durna gra - powiedział wtedy Andriej Michajłowicz, wskazując na sanitariuszy i marszcząc się od stuku kostek.

- Tylko raz w życiu grałem w domino - odrzekłem - Z panem. Pan mnie zaprosił. I nawet wygrałem.

- Nie sztuka wygrać - powiedział Andriej Michajłowicz - Ja też wtedy wziąłem po

raz pierwszy domino do rąk. Chciałem zrobić panu przyjemność.

HERKULES

Ostatnim, spóźnionym gościem na srebrnym weselu naczelnika szpitala, Sudarina, był lekarz Andriej Iwanowicz Dudar. Niósł on w ręku pleciony koszyk, obwiązany merlą ozdobioną malowanymi kwiatami. Przy dźwięku szkła i gwarze pijanych głosów ucztujących Andriej Iwanowicz ofiarował koszyk jubilatowi. Sudarin spytał, ważąc go na ręce:

- Co to?

- Zobaczy pan.

Zdjęto merłę. Na dnie koszyka leżał duży, czerwony kogut. Kręcił z niewzruszonym spokojem głową, spoglądając na poczerwieniałe twarze hałaśliwych, pijanych gości.

- Ach, Andrieju Iwanowiczu, jak to w porę - zaszczebiotała siwa jubilatka, gładząc koguta.

- Cudowny prezent - zaterkotały lekarki.

- I jaki czerwony! To przecież nasz ulubieniec, prawda, Andrieju Iwanowiczu? Jubilat z uczuciem uściśnął rękę Dudara.

- Pokażcie, pokażcie! - nieoczekiwanie zabrzmiał cienki, zachrypnięty głos.

Na honorowym miejscu u szczytu stołu, po prawej ręce gospodarza, siedział znamienity gość z zewnątrz, dawny przyjaciel Sudarina, który przyjechał jeszcze z rana z wojewódzkiego miasta,

odległego o sześćset wiorst, swoją osobistą „Pobiedą” na srebrne wesele kolegi. Przed zmętniałymi oczami przybyłego gościa pojawił się kosz.

- Tak, wspaniały kogucik. Czy to twój? - palec honorowego gościa wskazał na Andrieja Iwanowicza.

- Teraz to mój - uśmiechając się, pospieszył zameldować jubilat.

Honorowy gość był wyraźnie młodszy od otaczających go łysych i siwych neuropatologów, internistów, psychiatrów. Miał czterdzieści lat. Niezdrowa, żółta, obrzmiała twarz, niewielkie oczka, elegancki mundur. I ze srebrnymi naramiennikami pułkownika służby sanitarnej. Mundur wyraźnie uciskał pułkownika; widać było, że uszyto go jeszcze wtedy, gdy brzusek nie był tak wyraźny, a szyja nie napierała na stojący kołnierz. Twarz honorowego gościa wyrażała nudę, ale wraz z każdym wypitym kieliszkiem spirytusu (jako Rosjanin, a do tego jeszcze mieszkaniec Północy, honorowy gość nie uznawał żadnych innych napojów rozgrzewających) ożywiała się i gość coraz częściej spozierał na otaczające go medyczne damy i coraz częściej wtrącał się do rozmów, które niezmiennie cichły na dźwięk naderwanego tenorka. Gdy temperatura wewnętrzna osiągnęła odpowiedni poziom, honorowy gość wy dostał się z za stołu, odepchnął jakąś lekarzkę, która nie zdążyła się usunąć,

zakasał rękawy i począł podnosić ciężkie modrzewiowe krzesła, chwytając je za tylną nogę na przemian to prawą, to lewą ręką, czyli demonstrując harmonię swego fizycznego rozwoju. Nikt spośród zachwyconych gości nie potrafił tyle razy unieść owych krzeseł, które podnosił honorowy gość. Z krzeseł przeniósł się na fotele i podobnie jak przedtem, towarzyszył mu sukces. Podczas gdy inni podnosili krzesła, honorowy gość mocarną dłonią przygarniał do siebie różowe ze szczęścia lekarki i zmuszał je do obmacywania swych napiętych bicepsów, co też czyniły z jawnym zachwytem. Po tych ćwiczeniach nasz honorowy gość, którego pomysłowość nie ustawała, przeszedł do następnego numeru, rosyjskiego, narodowego: oparta na łokciu ręką przygniatał do stołu podobnie ustawioną rękę przeciwnika. Siwi i łysi neuropatolodzy i terapeuci nie potrafili mu stawić czoła i jedynie główny chirurg wytrzymał nieco dłużej niż inni. Honorowy gość chciał poddać próbom swoją rosyjską siłę. Przeprosiwszy damy, zdjął z siebie mundurową kurtkę, natychmiast podchwyconą i powieszoną na oparciu krzesła przez gospodynię domu. Po nagłym ożywieniu twarzy widać było, że honorowy gość znowu coś wymyślił.

- Ja baranowi, rozumiecie, baranowi przekręcam do tyłu głowę. Trach i gotowe!

- honorowy gość złapał za guzik Andrieja Iwanowicza. - A temu mojemu... podarunkowi żywcem oderwę głowę - powiedział, rozkoszując się wywartym wrażeniem. - Gdzie kogut?

Wywleczono go natychmiast z domowego kurnika, dokąd został puszczone przez zapobiegliwą gospodynię. Na Północy wszyscy naczelnicy trzymają (oczywiście w zimie) po kilkadziesiąt kur w mieszkaniach; czy żonaci, czy kawalerowie - dla wszystkich kury to bardzo, bardzo dobry interes. Honorowy gość wyszedł na środek pokoju, trzymając koguta w rękach. Ulubieniec Andrieja Iwanowicza leżał przez cały czas tak samo spokojnie złożywszy nogi i zwiesiwszy na bok głowę. Andriej Iwanowicz ze dwa lata hołubił go w swoim samotnym mieszkaniu. Mocarne palce chwyciły koguta za szyję. Na twarzy honorowego gościa poprzez nieczystą, grubą skórę wystąpił rumieniec. Podobnie jak rozgina się podkowy, takim ruchem honorowy gość oderwał kogutowi głowę. Odprasowane spodnie i jedwabną koszulę zbryzgała kogucia krew. Damy chwyciwszy jedwabne chusteczki, na wyścigi rzuciły się wycierać spodnie honorowego gościa.

- Wody kolońskiej!

- Amoniakiem!

- Zamoczyć w zimnej wodzie!

- Ale siła! To dopiero po rosyjsku! Trach i gotowe! - zachwycał się jubilat.

Honorowego gościa pociągnięto do łazienki, aby się obmył.

- Tańczyć będziemy w sali - zakrzętała się jubilat. - Ale Herkules...

Nakręcono patefon. Zasyzczała igła. Andriej Iwanowicz wydostał się zza stołu, aby wziąć udział w tańcach (honorowy gość lubił, by wszyscy tańczyli), i nastąpił nogą na coś miękkiego. Nachyliwszy się, ujrzał martwe ciało koguta, bezgłowe zwłoki swego ulubieńca. Wyprostował się, oglądając i nogą wepchnął głęboko pod stół martwego ptaka. Potem spiesznie wyszedł z pokoju - honorowy gość nie lubił, gdy się spóźniano na tańce.

TERAPIA WSTRZĄSOWA

Jeszcze w tych błogosławionych czasach, kiedy Mierzłakow pracował jako wozak i można było we własnego wyrobu łuszczarce (dużej puszcze po konserwach, z podziurawionym na wzór sita dnem) produkować z przeznaczonego dla koni owsa kaszę dla ludzi, gotować ją i zagłuszać głód tą gorzką, gorącą masą - wtedy jeszcze zastanawiał się on nad jednym prostym zagadnieniem. Duże taborowe konie z kontynentu codziennie otrzymywały porcję państwowego owsa, dwukrotnie większą niż maleńkie i kosmate koniki jakuckie, chociaż jedno i drugie woziły równie mało. Mieszkańcowi perszeronowi o imieniu Grom sypano do

żłobu tyle owsa, że starczyłoby go dla pięciu „jakutków”. Było to słuszne, wszędzie tak postępowano i nie to męczyło Mierzlakowa. Nie mógł pojąć, dlaczego przydział żywnościowy dla człowieka w łagrze, ten tajemniczy wykaz białka, witamin, tłuszczów i kalorii przeznaczonych do spożycia przez więźniów i nazywany arkuszem kotłowym, sporządzany jest bez uwzględnienia wagi człowieka. Jeżeli stosunek do niego jest taki sam jak do zwierzęcia roboczego, to w zagadnieniach przydziału żywności należałoby być bardziej konsekwentnym i nie wkładać tyle trudu w obliczanie jakiejś średniej arytmetycznej, stanowiącej jedynie biurokratyczny wymysł. Ta straszna średnia w najlepszym wypadku odpowiadała jedynie nisko-roślinnym osobnikom i rzeczywiście i mali „dochodzili” później od innych. Kompleksja Mierzlakowa odpowiadała perszeronowi Gromowi i żalosne trzy łyżki kaszy na śniadanie powiększały tylko bolesne ssanie w żołądku. I przecież oprócz swej ustawowej porcji pracujący w brygadzie nie mógł otrzymać prawie niczego więcej. Wszystko, co najbardziej wartościowe i tłuszcz, i cukier, i mięso - trafiało do kotła w zupełnie innej proporcji, niż wpisywano do arkusza kotłowego. Mierzlakow wiedział jeszcze coś innego: przede wszystkim umierali ludzie rośli. Żaden nawyk do ciężkiej pracy nic tu nie

potrafił zmienić. Szczuplutki inteligent mimo wszystko trzymał się dłużej niż gigant-kałużanin, urodzony kopacz, jeśli byli jednakowo żywieni według łagrowej „racji”. Ze zwiększonego za wyrobione procenty przydziału również niewiele było korzyści, bo zasadniczy przydział składników żywności pozostawał bez zmiany - zupełnie nie obliczony na dorosłych ludzi. Po to, aby lepiej zjeść, trzeba było lepiej pracować; aby zaś lepiej pracować, trzeba było lepiej jeść. Estończycy, Łotysze, Litwini zawsze umierali pierwsi. Zawsze pierwsi „dochodzili”, co było przyczyną wyrażanych przez lekarzy spostrzeżeń: cała Przybałtyka jest słabsza niżli lud rosyjski. Normalne warunki bytowania Łotyszy i Estończyków o wiele bardziej różniły się od bytowania w łagrze niż życie rosyjskiego wieśniaka i było im znacznie trudniej. Ale rzeczywisty powód tkwił w czym innym - oni nie to, że byli mniej wytrzymali, lecz całkiem po prostu bardziej rośli. Półtora roku temu, po szkorbutcie, który szybko powalił nowicjusza, trafiła się Mierzlakowowi praca sanitariusza w miejscowym szpitaliku. Tam dowiedział się, że dozowanie lekarstw dokonuje się według wagi ciała. Badanie nowych lekarstw przeprowadza się na królikach, myszach, świnkach morskich, a doza lekarstwa przeznaczonego dla człowieka wyliczona jest na podstawie wagi jego ciała. Doza

dziecięca jest mniejsza niż dla dorosłych. Jednakże racjonowanie w łagrze nie jest obliczone odpowiednio do masy ludzkiego ciała. To właśnie było to zagadnienie, które dziwiło i niepokoiło Mierzlakowa. Ale zanim ostatecznie osłabł, udało mu się cudem urządzić w charakterze wozaka tam, gdzie można było okradać konie z owsa i napychać nim swój żołądek. Mierzlakow myślał już, że uda mu się przezimować, a potem będzie, co Bóg da. Tak się jednak nie stało. Kierownik bazy konnej usunięty został za pijaństwo, na jego miejsce wyznaczono starszego wozaka, jednego z tych, którzy w swoim czasie wyuczyli Mierzlakowa obchodzenia się z blaszaną łuszcarką. Starszy wozak sam nakradł niemało owsa i doskonale wiedział, jak to się robi. Dążąc jednak do przedstawienia się w jak najlepszym świetle przed naczalstwem, własnoręcznie poniszczył wszystkie łuszcarki, nie będąc sam zainteresowany pozyskiwaniem owsianej kaszy. Zaczęto więc owies prażyć, gotować i jeść w naturalnej postaci, w pełni dorównując koniom pod względem żołądków. Nowy kierownik napisał raport i kilku wozaków, w tym Mierzlakowa, posadzono do karceru za kradzież owsa, a potem odesłano z bazy konnej z powrotem tam, skąd przyszli - na „roboty ogólne”. Na robotach ogólnych Mierzlakow szybko zrozumiał, że śmierć już blisko. Giął się pod ciężarem bierwion, które musiał

taszczyć. Dziesiętnik, któremu nie spodobał się ten „leniwy łeb” (w miejscowym żargonie „łeb” znaczy rosły), za każdym razem ustawiał Mierzlakowa „pod komelek”, zmuszając go do dźwigania grubszego końca pnia - „komla”. Pewnego razu Mierzlakow upadł, nie mógł od razu powstać ze śniegu i zdecydowawszy się nagle, odmówił dźwigania tego przekłętego pnia. Było już późno, ciemno, konwojenci spieszyli się na szkolenie polityczne, więźniowie chcieli jak najprędzej dostać się do baraku, do jedzenia, dziesiętnik spóźniony już był tego wieczoru na karciane boje - a winę za całą tę zwłokę ponosił Mierzlakow. Ukarano go. Najpierw pobili własni koledzy, potem dziesiętnik i konwojenci. I tak pień pozostał w śniegu. Zamiast pnia przyniesiono do łagru Mierzlakowa. Dostał zwolnienie i leżał na narach. Bolało go w krzyżu. Felczer posmarował plecy Mierzlakowa solidolem - innych środków do nacierania nie było w ambulatorium. Mierzlakow cały czas leżał na wpiół zgięty, skarżąc się na uporczywe bóle w krzyżu. Bólów dawno już nie było, żebro zrosło się bardzo szybko, lecz Mierzlakow za cenę każdego rodzaju kłamstwa starał się odsunąć moment wypisania go do pracy. I nie wypisywano go. Któregoś razu ubrano go i położono na noszach, umieszczając wraz z innymi chorymi w skrzyni ciężarówki. Odwieziono ich do szpitala rejonowego, gdzie nie

było rentgena. Należało pomyśleć o wszystkim poważnie i Mierzlakow pomyślał. Przeleżał tak, nie rozginając się, kilka miesięcy i został przewieziony do szpitala centralnego, gdzie oczywiście był gabinet rentgenologiczny i gdzie umieszczono Mierzlakowa na oddziale chirurgii, w sali wypadków urazowych - traumatycznych, które chorzy w prostocie ducha nazywali „dramatycznymi”, nie myśląc nawet, ile goryczy zawiera ten kalambur.

- To jeszcze i tego przenosimy do pana, Piotrze Iwanowiczu - powiedział chirurg.

- Nie ma co z nim zrobić na chirurgii.

- Ale przecież pisze pan w diagnozie: ankiłoza na tle urazu kręgosłupa. Cóż mi tu on? - powiedział neuropatolog.

- Oczywiście, że ankiłoza. Co jeszcze mogę napisać? W kopalni "Szary" zdarzył się taki przypadek. Dziesiętnik pobił robotnika...

- Nie mam czasu, Sierioża, słuchać o pańskich przypadkach. Pytam, dlaczego pan go przenosi?

- Przecież napisałem: dla przeprowadzenia badań nad niezdolnością do pracy.

- Pokłuje go pan igłami, spisujemy protokół i na statek. Niech się stanie wolnym człowiekiem.

- No, ale przecież pan robił zdjęcia. Uszkodzenia powinny być widoczne i bez igieł.

- Robiłem. Niech pan raczy spojrzeć. - chirurg nakierował ciemną błonę negatywową na firankę z merli. - Ni czorta tu nie pojdziesz. Dopóki nie będzie dobrego światła, dobrego prądu, nasi technicy od rentgena cały czas oddawać będą takie męty.

- Rzeczywiście, męty - powiedział Piotr Iwanowicz. - No, niech będzie - i podpisał swoje nazwisko na historii choroby, zgodę na przeniesienie Mierzlakowa do siebie.

Na oddziale chirurgicznym, hałaśliwym, bałaganiarskim, przepełnionym odmrożeniami, wywichnięciami, złamaniami, oparzeniami - z kopalniami Północy nie było żartów - na oddziale, gdzie część chorych leżała wprost na podłodze w salach i korytarzach, gdzie pracował jedyny chirurg, młody, bezgranicznie zmęczony, wraz z czterema felczerami (wszyscy oni sypiali po trzy, cztery godziny na dobę) - tam nie było możliwości uważnego zajęcia się Mierzlakowem. Zrozumiał on, że prawdziwe dochodzenie zacznie się dopiero na oddziale neurologicznym, dokąd go przeniesiono. Cała jego wola zdecydowanego na wszystko aresztanta skupiła się na jednym: nie rozgiąć się. I on się nie rozgiął. Jakże ciało tego pragnęło choć na sekundę! Ale wspominał kopalnie, chłód zatykający oddech, obmarzłe, śliskie, błyszczące od mrozu kamienie w wyrobiskach złota, miskę

„zupki”, którą wypijał w czasie obiadu jednym haustem, nie używając zupełnie niepotrzebnej do tego łyżki, kolby konwojentów, buty dziesiętników - i znajdował w sobie dość siły, aby się nie rozgiąć. Zresztą, teraz było już łatwiej niż przez pierwsze tygodnie. Spał mało, bojąc się, aby się nie wyprostować we śnie. Wiedział, że dyżurującym sanitariuszom nakazano go śledzić, aby przyłapać na oszustwie. A w ślad za tym - to także Mierzlakow wiedział - szło wysłanie do karnej kopalni. A jaka musiała być ta karna kopalnia, skoro zwykła pozostawiła Mierzlakowowi tak straszne wspomnienia? Następnego dnia po przeniesieniu poprowadzono Mierzlakowa do lekarza. Ordynator oddziału krótko wypytał go o początek choroby, pokiwał ze współczuciem głową. Wyjaśnił jakby od niechcienia, że nawet zupełnie zdrowe mięśnie, gdy w ciągu wielu miesięcy są niewłaściwie używane, przywykają do tego i człowiek sam może zrobić z siebie inwalidę. Następnie Piotr Iwanowicz przystąpił do badania. Na pytania zadawane podczas nakłuwania igłą, postukiwania gumowym młotkiem, przy uciskaniu Mierzlakow odpowiadał na chybił trafił. Więcej niż połowę swego czasu pracy tracił Piotr Iwanowicz na ujawnianie symulantów. Oczywiście, rozumiał przyczyny skłaniające więźniów do symulacji - sam był niedawno więźniem i nie dziwił go ani dziecinny upór

symulantów, ani lekkomyślna prymitywność ich udawania. Piotr Iwanowicz, były docent jednego z syberyjskich instytutów, utracił, zakopał swą naukową karierę w tych samych śniegach, w których jego chorzy, ratując swoje życie, oszukiwali go. Nie można było powiedzieć, aby nie litował się on nad ludźmi, ale był w większej mierze lekarzem niż człowiekiem, był przede wszystkim specjalistą. Dumny był z tego, że rok pracy fizycznej nie zdusił w nim lekarza specjalisty. Zadanie ujawnienia symulantów pojmował wcale nie z jakiegoś ogólnopństwowego punktu widzenia ani też z pozycji moralności. Widział w tym zadaniu możliwość odpowiedniego i godnego wykorzystania swojej wiedzy, swojej psychologicznej umiejętności zastawiania pułapek, w które, w pełnej chwale nauki, powinni byli wpadać głodni, na wpół obłąkani, nieszczęśni ludzie. W tym starciu lekarza i symulanta było po stronie lekarza wszystko - i tysiące przemyślnych lekarstw, i setki podręczników, i duża liczba aparatury, i pomoc konwojentów, i doświadczenie specjalisty; a po stronie chorego jedynie przerażenie tym światem, z którego przyszedł do szpitala i do którego obawiał się wrócić. I właśnie ten strach dawał siły do walki. Piotr Iwanowicz odczuwał głębokie zadowolenie, demaskując kolejnego szachraja; jeszcze raz w życiu zaświadczał, że jest dobrym

lekarzem, że nie utracił swoich kwalifikacji, a na odwrót - dopracował i doszlifował swe umiejętności; jednym słowem, że jeszcze „potrafi”... Durnie, ci chirurdzy, myślał, skręcając papierosa po odejściu Mierzlakowa. Anatomie topograficzną albo zapomnieli, albo jej nie znają, a odruchów to pewnie nigdy nie poznali. Ratuja się jedynie za pomocą rentgena, ale gdy brak zdjęcia, to już nie potrafią niczego powiedzieć z całą pewnością nawet o prostym złamaniu. A jaki fason! To, że Mierzlakow jest symulantem, było dla Piotra Iwanowicza zupełnie jasne. No, ale niech poleży z tydzień. W ciągu tego czasu zgromadzimy wszystkie analizy, żeby wszystko było w porządku. Podkleimy do historii choroby wszystkie papierki. Piotr Iwanowicz uśmiechnął się, odczuwając już przedsmak teatralnego efektu swojej demaskacji. W tydzień później kompletowano w szpitalu etap dla przewozu chorych parostatkiem na Wielką Ziemię. Protokoły spisywano na miejscu, w szpitalnej sali, i przewodniczący komisji lekarskiej, przysłany przez kierownictwo, osobiście dokonywał przeglądu chorych wytypowanych przez szpital do wyjazdu. Cała jego rola sprowadzała się do przejrzania dokumentów, sprawdzenia prawidłowości ich wystawienia; badanie chorego zajmowało mu pół minuty.

- Na mojej liście - powiedział chirurg - znajduje się niejaki Mierzlakow. Przed

rokiem konwojenci złamali mu kręgosłup. Chciałbym go odesłać. Niedawno został przeniesiony na oddział neurologiczny. Oto dokumenty przygotowane na wyjazd. Przewodniczący komisji odwrócił się do neuropatologa.

- Przeprowadźcie Mierzlakowa - powiedział Piotr Iwanowicz.

Przeprowadzono na wół zgiętego pacjenta. Przewodniczący obrzucił go krótkim spojrzeniem.

- Ależ to goryl - powiedział. - Tak, oczywiście, nie ma po co takich trzymać. - i wzięwszy pióro do ręki, nachylił się nad listą.

- Ja nie złożę swego podpisu - oświadczył Piotr Iwanowicz dźwięcznym, jasnym głosem. - To symulant i jutro będę miał zaszczyt udowodnić to i panu, i chirurgowi.

- No to odłożmy - obojętnie rzekł przewodniczący, odkładając pióro. - I w ogóle to kończmy, już późno.

- On jest symulantem, Sierioża - powiedział Piotr Iwanowicz, biorąc pod rękę chirurga, gdy wychodzili z sali. Chirurg wyswobodził rękę.

- Być może - powiedział, marszcząc się pogardliwie - Niech Bóg przysporzy panu powodzenia w demaskacji. Będzie pan miał mnóstwo zadowolenia.

Następnego dnia na zebraniu u naczelnika szpitala Piotr Iwanowicz referował szczegółowo sprawę Mierzlakowa.

- Myślę, że ujawnienie symulacji Mierzlakowa przeprowadzimy w dwóch etapach. Najpierw będzie to narkoza rauszowa, o której pan zapomniał, Siergieju Fiodorowiczu - powiedział triumfalnie, obracając się ku chirurgowi.

- Trzeba było to zrobić od razu. A jeżeli już i rausz nic nie da, to... - Piotr Iwanowicz rozłożył ręce - wtedy terapia wstrząsowa. To bardzo interesujące, zapewniam was.

- Czy tego nie za wiele? - odezwała się Aleksandra Siergiejewna, ordynator największego w szpitalu oddziału gruźliczego, otyła, korpulentna kobieta, która niedawno przyjechała z kontynentu.

- No - odpowiedział naczelnik szpitala - ale taka swołocz... - niezbyt krępował się w obecności dam.

- Zobaczmy potem, po wynikach rauszu - rzekł pojednawczo Piotr Iwanowicz.

Narkoza rauszowa to ogłuszająca, o krótkim, doraźnym działaniu narkoza za pomocą eteru. Chory zasypia na piętnaście, dwadzieścia minut, a w tym czasie chirurg powinien zdążyć nastawić zwichnięcie, amputować palec czy też otworzyć jakikolwiek bolący wrzód. Ubrane w białe fartuchy kierownictwo okrążyło stół operacyjny w pokoju zabiegowym, gdzie położono posłusznego, na wpeł zgiętego Mierzlakowa. Sanitariusze chwycili za płócienne taśmy, którymi przywiązuje się zazwyczaj do stołu operacyjnego.

- Nie trzeba, nie trzeba! - krzyknął, podbiegając Piotr Iwanowicz. - Właśnie nie trzeba taśm.

Twarz Mierzlakowa odwróciła się ku górze. Chirurg nałożył mu maskę do narkozy i wziął do ręki buteleczkę z eterem.

- Proszę zaczynać, Sierioża!

Eter zaczął skapywać.

- Głębiej, głębiej oddychaj, Mierzlakow! Licz głośno!

- Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem

- Mierzlakow odliczał leniwym głosem i przerwawszy nagle liczenie, zaczął wymawiać jakieś niezrozumiałe, oderwane wyrazy, przeplatane ordynarnymi przekleństwami.

Piotr Iwanowicz trzymał w swojej dłoni lewą rękę Mierzlakowa. Po kilku minutach ręka rozluźniła się. Piotr Iwanowicz wypuścił ją - ręka martwo i miękko opadła na brzeg stołu. Piotr Iwanowicz z wolna i triumfalnie rozgiął ciało Mierzlakowa. Wszyscy wydali okrzyk zdziwienia.

- Teraz dopiero go przywiążcie - powiedział Piotr Iwanowicz do sanitariuszy.

Mierzlakow otworzył oczy i ujrzał owłosiony kułak naczelnika szpitala.

- No cóż, gadzie - chrypiał naczelnik - pójdiesz teraz pod sąd.

- Zuch z ciebie, Piotrze Iwanowiczu, zuch - powiedział przewodniczący komisji, klepiąc neuropatologa po

ramieniu. - A ja wczoraj byłem prawie gotów obdarzyć go wolnością.

- Rozwiążcie go! - komenderował Piotr Iwanowicz. - Złaż ze stołu!

Mierzłakow jeszcze do końca nie oprzytomniał. Waliło mu w skroniach, w ustach miał nudzący, słodkawy smak eteru. Jeszcze i teraz nie pojmował - sen to czy jawa? Być może widział niejednokrotnie takie sny i już wcześniej.

- A niech was wszystkich jasna cholera! - ryknął nieoczekiwanie i zgiął się jak przedtem.

Szerokoplecy, kościsty, dotykający prawie ziemi długimi, grubymi palcami, z mętym spojrzeniem i zmierzwionymi włosami, rzeczywiście podobny do goryla, Mierzłakow wyszedł z pokoju zabiegowego. Piotrowi Iwanowiczowi doniesiono, że chory Mierzłakow leży na łóżku w swojej zwykłej pozie. Lekarz kazał go przyprowadzić do gabinetu.

- Zostałeś zdemaskowany, Mierzłakow - powiedział neuropatolog. - Ale ja prosiłem naczelnika: nie oddadzą cię pod sąd, lecz pójdziesz do karnej kopalni. Całkiem po prostu wypiszę cię ze szpitala i wrócisz do starej pracy. Chwat z ciebie, przez cały rok zawracałeś nam głowę.

- Ja nic o tym nie wiem - powiedział goryl, nie podnosząc oczu.

- Jak to nie wiesz! Przecież dopiero co ciebie rozgięto!

- Nikt mnie nie rozginał.

- No, mój miły - rozsierdził się neuropatolog. - Tego już za wiele. Chciałem z tobą po dobremu. A tak, zobaczysz, sam będziesz prosił za tydzień, żeby cię wypisano.

- Eee, co tam jeszcze będzie za tydzień - cicho odrzekł Mierzlakow.

Jak miał wyjaśnić lekarzowi, że nawet dodatkowy tydzień, dodatkowy dzień, dodatkowa godzina przeżyta poza kopalnią to jest właśnie jego Mierzlakowskie szczęście. Jeżeli lekarz sam tego nie pojmuje, to jak mu to przekazać? Mierzlakow milczał i patrzył w ziemię. Odprawiono go, a Piotr Iwanowicz udał się do naczelnika szpitala.

- Można przecież jutro, nie za tydzień - powiedział naczelnik, wysłuchawszy propozycji Piotra Iwanowicza.

- Obiecałem mu tydzień - odparł Piotr Iwanowicz. - Przecież szpital nie zbiednieje.

- No dobrze - mruknął naczelnik. - Niech będzie za tydzień. Tylko proszę mnie zawołać. A będziecie go przywiązywać?

- Nie wolno przywiązywać - powiedział neuropatolog - Wywichnie jeszcze rękę lub nogę. Będą go trzymać.

I neuropatolog, wziąwszy do ręki historię choroby Mierzlakowa, wpisał w rubryce „postępowanie”: terapia wstrząsowa. Następnie postawił datę. Podczas terapii wstrząsowej wprowadza się do krwi chorego olej kamforowy w

ilości kilkakrotnie przekraczającej dawkę tego lekarstwa, które zazwyczaj aplikuje się podskórnym zastrzykiem osobom ciężko chorym do podtrzymania pracy serca. Działanie takiej ilości olejku prowadzi do nagłego ataku, podobnego do ataku szału lub epilepsji. Pod uderzeniowym działaniem kamfory ostro wzmagają się czynność wszystkich mięśni, wszystkich ruchowych sił człowieka. Mięśnie doprowadzone zostają do stanu niebywałego napięcia i siła nieprzytomnego staje się dziesięciokrotnie większa. Minęło kilka dni, a Mierzlakow nawet nie myślał o tym, aby się rozciąć z własnej woli. Nadszedł jednak poranek wpisany do historii choroby i przewieziono Mierzlakowa do Piotra Iwanowicza. Na północy ceni się rozrywkę - gabinet lekarski był wypełniony. Ośmiu krzepkich sanitariuszy ustawiło się wzdłuż ściany. Na środku gabinetu stała kozetka.

- Będziemy to robić tutaj - powiedział Piotr Iwanowicz, wstając zza stołu - Nie pójdziemy do chirurgów. Ale, ale, gdzie jest Siergiej Fiodorowicz?

- On nie przyjdzie - powiedziała Anna Iwanowna, siostra dyżurna. - Powiedział: jestem zajęty.

- Zajęty, zajęty - powtórzył Piotr Iwanowicz - Przydałoby mu się popatrzeć, jak wykonuję za niego robotę.

Mierzlakowowi podwinięto rękaw i felczer posmarował mu przedramię jodyną.

Wziawszy strzykawkę do prawej ręki, felczer wprowadził igłę do żyły w pobliżu zgięcia łokcia. Z igły trysnęła do wnętrza strzykawki ciemna krew. Miękkim ruchem dużego palca felczer nacisnął tłoczek i żółty roztwór zaczął wpływać do żyły.

- Szybciej, szybciej proszę wprowadzać!
- odezwał się Piotr Iwanowicz - I prędko odstąpić. A wy - zwrócił się do sanitariuszy - trzymajcie go.

Ogromne ciało Mierzlakowa podskoczyło i poczęło się rzucać w rękach sanitariuszy. Trzymało go ośmiu ludzi, a on chrypiał, rzucał się, kopał. Sanitariusze trzymali go jednak mocno i powoli zaczął się uspokajać.

- Tak można tygrysa utrzymać, tygrysa! - krzyczał triumfalnie Piotr Iwanowicz - Na Zabajkalu tak tygrysy rękami chwytają. Proszę zwrócić uwagę - mówił teraz do naczelnika szpitala - jak Gogol przesadza. Pamięta pan koniec Tarasa Bulby: „bez mała trzydzieści osób zawisło u jego rąk i nóg”. A ten goryl przecież większy od Bulby. I tylko ośmiu ludzi.

- Tak, tak, rzeczywiście - powiedziała naczelnik.

Wprawdzie Gogola nie pamiętał, ale terapia wstrząsowa niezwykle mu się spodobała. Nazajutrz w czasie obchodu Piotr Iwanowicz zatrzymał się przy łóżku Mierzlakowa.

- No to jak? - spytał. - Jaka jest twoja decyzja?

- Wypisujcie - powiedzial Mierzlakow.

CEDROWIEC

Na Dalekiej Północy, na styku tajgi i tundry, pośród karłowatych brzoź, nisko rosnących krzaków jarzębiny z ich nieoczekiwanie dużymi, jasnożółtymi jagodami, pośród sześćsetletnich modrzewi osiagających dojrzałość w trzysta lat, wiedzie swój żywot dziwne drzewo - cedrowiec. Jest to daleki krewny cedru - wiecznie zielonego iglastego krzewu z pniami grubszymi od ludzkiego ramienia, a wysokiego na dwa do trzech metrów. Cedrowiec jest niewybredny i rośnie na kamienistych stokach gór, uchwyciwszy się korzeniami szczelin. Jak wszystkie drzewa Północy, jest mężny i uparty. Niezwykła jest również jego wrażliwość. Już późna jesień. Dawno pora, by spadł śnieg i nastala zima. Po brzegach białego nieboskłonu przez wiele dni przesuwa się niskie, zaniebieszczone, jakby całe w siniakach chmury. A dzisiaj jesienny, przejmujący chłodem wiatr złowrogo ucichł z samego rana. Czy to pachnie śniegiem? Nie. Śniegu nie będzie. Jeszcze nie położył się cedrowiec. I mijają dni za dniami, śniegu nie ma, chmury błędzą gdzieś za sopkami, wysoko na niebie pojawia się blade, maleńkie

słońce i wszystko jest tak jak jesienią. A cedrowiec? Przygina się ku ziemi. Chyli się wciąż niżej, jakby pod narastającym bez miary ciężarem. Już skrobie wierzchołkiem kamienie i przyciska się do gruntu, rozciągając swe szmaragdowe łapy. Ściele się podobny do upierzonej, zielonej ośmiornicy. Leżąc tak, czeka jeden dzień, drugi, i oto z białego nieba sypie się jak proszek śnieg, i cedrowiec pogrąża się, na podobieństwo niedźwiedzia, w zimowym śnie. Na białej górze pęcznieją ogromne śnieżne bąble - to krzewy cedrowca zaległy na zimę. A pod koniec zimy, kiedy śnieg pokrywa jeszcze ziemię trzymetrową warstwą, a w rozpadlinach tkwi ugnieciony przez zawieje w zwartą, ustępującą tylko żelazu masę, ludzie na próżno wypatrują oznak wiosny, choć według kalendarza już pora, by nadeszła. Dni jednak nie różnią się od zimowych, powietrze jest rozrzedzone i suche jak w styczniu. Na nieszczęście zdolność odczuwania u człowieka jest zbyt nikła, percepcja otaczającego go świata zbyt prosta, a przy tym posiada on tylko pięć zmysłów; wszystko to nie pozwala odgadnąć i prognozować. Przyroda jest w swoich odczuciach bardziej subtelna niż człowiek. Coś tym wiemy. Pamiętacie o rybach łososiowatych składających ikrę tylko w tej rzece, gdzie urodziły się same ze złożonej tam ikry? Pamiętacie o tajemniczych trasach przelotów ptaków?

Nie mało jest też roślin-barometrów, kwiatów-barometrów. I oto pośród śnieżnej, bezkresnej bieli, pośród pełnej beznadziei podnosi się nagle cedrowiec. Strząsa z siebie śnieg, wyprostowuje się na całą wysokość, wznosi ku niebu swe zielone, oblodzone, zrudziałe nieco igliwie. Słyszysz nieuchwytny dla nas zew wiosny i wierząc w nią, podnosi się wcześniej od innych na Północy. Zima się skończyła. Bywa też inaczej. Oto ognisko. Cedrowiec jest zbyt łatwowierny. Tak bardzo nie lubi zimy, że gotów jest zawierzyć ciepłu ognia. Jeśli zimą roznieci się ognisko obok zgiętego, po zimowemu zgarbionego cedrowca - podniesie się on. Ale gdy ognisko zgaśnie, rozczarowany cedrowiec, płacząc urażony, ponownie ułoży się na starym miejscu. Zostanie zaniesiony śniegiem. Nie, nie jest jedynie przepowiadaczem pogody. Cedrowiec jest drzewem nadziei, jedynym na Dalekiej Północy wiecznie zielonym drzewem. Pośród błyszczącej bielizny śniegu jego matowozielone, iglaste łapy mówią o południu, o ciepłe, o życie. Latem wygląda skromnie i nie wyróżnia się - wszystko dokoła rozkwita spiesźnie, starając się zdążyć z kwitnieniem przez okres krótkiego, północnego lata; wiosenne, letnie i jesienne kwiaty przeganiają się wzajemnie w bujnym rozwoju. Lecz jesień już blisko oto, obnażając drzewa, osypuje się żółte,

miękkie igliwie modrzewi, zwija się i usycha polna trawa, pustoszeje las. I tylko z daleka widać, jak pośród bladożółtej trawy i szarego mchu goreją w lesie ogromne, zielone pochodnie cedrowca. Dla mnie cedrowiec jest zawsze najbardziej pełnym poezji rosyjskim drzewem, bardziej niż rozślawione płaczące wierzby, bardziej niżli wschodni jawor czy cyprys. I drwa z cedrowca płoną goręcej.

CZERWONY KRZYŻ

Życie w łagrze tak jest zorganizowane, że naprawdę realną pomoc więźniowi może okazać jedynie pracownik medyczny. Ochrona pracy to ochrona zdrowia, a ochrona zdrowia to ochrona życia. Naczelnik łagru i podporządkowani mu nadzorcy, dowódca straży wraz z oddziałem żołnierzy służby konwojenckiej, naczelnik rejonowego oddziału MWD ze swoim aparatem śledczym, naczelnik wydziału kulturalno-wychowawczego, działający wraz ze swym inspektoratem na niwie łagrowej oświaty - oto jak liczne jest naczalstwo łagru. Woli tych ludzi, dobrej lub złej, powierza się stosowanie „reżimu”. W oczach więźnia wszyscy ci osobnicy stanowią symbol ucisku i przymusu. Zmuszają więźnia do pracy, pilnują dniem i nocą, aby nie uciekł, śledzą, żeby nie zjadł i nie wypił niczego ponad normę.

Wszyscy ci ludzie codziennie, co godzinę powtarzają tylko to jedno: „Pracuj! Pracuj!”. I tylko jeden człowiek w łagrze nie mówi więźniowi tych uprzykrzonych, znieawidzonych i strasznych słów. Jest nim lekarz. Mówi on do więźnia inaczej: odpocznij, jesteś przemęczony, nie idź jutro do pracy, jesteś chory. Jedynie lekarz nie wysyła więźnia w zimowych ciemnościach do oblodzonego, kamiennego wykopu – każdego dnia na wiele godzin. Lekarz to obrońca więźnia z urzędu, chroniący go przed samowolą naczelników, strzegący przed gorliwością weteranów łagrowych służb. Bywało, że w łagrowych barakach wisiały na ścianach wielkie drukowane obwieszczenia: „Prawa i obowiązki więźnia”. Było tam wiele obowiązków i mało praw. „Prawo” pisania podań do naczelnika, byle nie kolektywnych... „Prawo” do pisania listów do rodziny, przechodzących przez łagrową cenzurę... „Prawo” do pomocy lekarskiej. To ostatnie prawo było niezmiernie ważne, jakkolwiek biegunkę leczono w wielu kopalnianych ambulatoriach roztworem nadmanganianu potasu. I tym samym, nieco gęstszym roztworem opatrywano ropiejące rany czy odmrożenia. Lekarz może człowieka oficjalnie zwolnić z pracy, wpisawszy go do księgi; może położyć do szpitala, skierować na „punkt ozdrowieńczy”; może zwiększyć porcję żywnościową... A co najważniejsze w

„obozie pracy” - lekarz ustala „kategorię roboczą”, stopień zdolności do pracy, na podstawie którego oblicza się roboczą normę. Lekarz może nawet przedstawić do zwolnienia - jako inwalidę, zgodnie ze słynnym paragrafem 458. Zwolnionego z pracy z powodu choroby nikt nie może do niej zmusić - w tego rodzaju działaniach lekarz jest poza kontrolą. Jedynie oficjalnie wyżsi rangą lekarze mogą go sprawdzić. W pracy medycznej lekarz nikomu nie podlega. Trzeba jeszcze pamiętać, że kontrola nad umieszczaniem produktów żywnościowych w „kotle” to obowiązek lekarza; podobnie jak nadzór nad jakością przyrządzanej strawy. Jedyny zatem obrońca więźnia, realny obrońca, to łagrowy lekarz. Posiada on wielką władzę, gdyż nikt z łagrowego naczalstwa nie potrafi kontrolować czynności tego specjalisty. Jeżeli lekarz stawiał nieprawdziwą diagnozę, niesumienna, stwierdzić to mógł jedynie także lekarz na równorzędnym lub wyższym stanowisku - również specjalista. Prawie wszyscy naczelnicy łagrów wojowali ze swymi lekarzami. Sam rodzaj pracy stawiał ich na różnych stanowiskach. Naczelnik pragnął, aby grupa „W” (czasowe zwolnienie chorobowe) była jak najmniejsza, najmniej liczna, żeby łagier wystawiał jak najwięcej ludzi do pracy. Lekarz natomiast widział, że granice „dobra i zła” dawno tu już

przekroczono, że ludzie udający się do pracy - chorzy, zmęczeni, wycieńczeni - mają prawo do zwolnienia w znacznie większej liczbie dni, niż się to wydawało władzy. Mając wystarczająco twardy charakter, lekarz mógł się uprzeć i nie wypuścić ludzi do pracy. Bez zgody lekarza żaden naczelnik łagru nie wysłałby ludzi do pracy. Lekarz mógł uchronić więźnia przed ciężką harówką - wszyscy robotnicy byli podzieleni jak konie według „kategorii roboczych”. Owe grupy zatrudnienia - bywało ich cztery, trzy, pięć - nazywano roboczymi „kategoriami”, choć wydawałoby się, że jest to termin ze słownika filozoficznego. To jeden z życiowych kawałów, a raczej grymasów życia. Przyznanie „lekkiej” kategorii pracy było często ratunkiem człowieka przed śmiercią. Jednak najbardziej smutne było to, że ludzie starający się o lekką kategorię pracy i usiłujący oszukać lekarza byli w rzeczywistości o wiele bardziej chorzy, niż im się to wydawało. Lekarz mógł dać odpocząć od pracy, mógł skierować do szpitala, a nawet „spisać”, co oznaczało spisanie aktu inwalidztwa, i wtedy więzień podlegał wywozowi na kontynent. Co prawda szpitalne łóżko i spisanie aktu w komisji lekarskiej nie zależało od lekarza, ale najważniejszy był początek tej drogi. Wszystko to, a i wiele jeszcze innych, codziennych spraw towarzyszących, doskonale rozumieli i

uwzględniali błatniacy. Do kodeksu złodziejskiej moralności wprowadzony został specjalny stosunek do lekarza. Razem z „więzienną porcją” i „złodziejem-dżentelmenem” zakorzeniła się w świecie łagrów i więzień legenda o „Czerwonym krzyżu”. „Czerwony krzyż” to termin błatniacki i za każdym razem jeże się gdy słyszę to wyrażenie. Błatniacy w sposób demonstracyjny okazywali swój szacunek pracownikom medycznym, obiecywali im wszelką pomoc i wsparcie, wydzielając lekarzy z przeogromnego świata „frajerów” i „sztympów”. Stworzono legendę – do dziś żyje ona w łagrach – jak to małe złodziejaszki-„szpice” okradły lekarza i jak wielcy złodzieje odszukali i z przeprosinami zwrócili ukradzione przedmioty. Nic dodać, nic ująć. Co więcej, lekarzy nie okradali, starali się u nich nie kraść. Jeśli to byli wolni lekarze, sprawiali im nawet podarunki z przedmiotów czy pieniędzy. Natomiast upraszali i grozili zabójstwem, jeśli lekarze byli więźniami. Wychwalali okazujących im pomoc. Mieć lekarza „na haczyku” to marzenie każdej błatniackiej kompanii. Błatniak może być grubiański i zuchwały wobec każdego naczelnika, w pewnych okolicznościach jest nawet zobowiązany pokazać ten szyk, tego „ducha” – ale przed lekarzem płaszczy się i podlizuje, i nie pozwala sobie na ordynarne słowa wobec niego dopóty, dopóki nie

spostrzeże, iż nikt mu nie wierzy, i nikt nie zamierza spełnić jego zuchwałych żądań. Właściwie żaden pracownik medyczny nie musiałby się troszczyć o swój los - błatniacy wesprą go materialnie i moralnie: pomoc materialna to kradzione „lepiochy” i „szkiery” (marynarki i buty); moralną pomoc stanowi to, że błatniak zaszczyca lekarza swoimi wizytami, sympatią i rozmową. Chodzi właściwie o rzecz błahą - aby zamiast chorego „frajera”, wycieńczonego pracą ponad siły, bezsennością i biciem, położyć do szpitalnej łóżka rozrośniętego pederastę, mordercę i wymusiciela. Położyć i trzymać go w tym łóżku, dopóki sam łaskawie nie zgodzi się wypisać. Chodzi właściwie o niewiele: aby regularnie zwalniać błatniaków z pracy, by mogli „potrzymać króla za brodę”. Aby posyłać ich ze skierowaniami do innych szpitali, jeśli tego im trzeba dla „wyższych” błatniackich celów. Aby kryć symulujących - a wszyscy oni to symulanci i kreatorzy chorób, z ich wiecznymi „mostyrkami” wrzodów wyhodowanych na goleniach i biodrach, z lekkimi, ale robiącymi wrażenie, częstymi ranami brzucha i temu podobnymi. Aby częstować błatniaków „proszeczkami”, „kodeinką”, „kofeinką”, wydzielając cały apteczny zapas narkotyków i roztworów spirytusowych na użytek „dobroczyńców”. Przez szereg lat

przyjmowałem etapy w wielkim łagrowym szpitalu. Sto procent symulantów, którzy przybywali na podstawie skierowań lekarskich, to byli złodzieje. Albo przekupywali, albo zastraszaali swojego lekarza i ten produkował fałszywy dokument medyczny. Bywało często i tak, że miejscowy lekarz lub naczelnik łagru, chcąc pożyć się dokuczliwego, a przy tym niebezpiecznego elementu ze swojego „gospodarstwa”, wysyłał błątniaków do szpitala w nadziei, że jeśli nawet nie znikną, to „gospodarstwo” trochę odpocznie. Jeżeli lekarz był przekupny - to źle, to bardzo źle. Natomiast jeżeli był zastraszony, można mu było wybaczyć, bo pogrożki błątniaków to wcale nie puste słowa. Do ambulatorium kopalni „Spokojna”, gdzie było wielu błątniaków, oddelegowano młodego lekarza, a co najważniejsze - młodego stażem areштanta Surowego, który niedawno ukończył Moskiewski Instytut Medyczny. Koledzy odradzali mu. Można było odmówić i pójść na „roboty ogólne”, nie podejmując się jawnie niebezpiecznej pracy. Lecz Surowy trafił do szpitala właśnie z robót ogólnych i obawiając się powrotu, zgodził się pojechać do kopalni, aby pracować w swoim zawodzie. Kierownictwo dało mu instrukcje, ale nie poradziło, jaką ma przyjąć postawę. Tyle że kategorycznie zabroniło mu skierowywać do szpitala zdrowych złodziei. Po upływie miesiąca został

zabity w trakcie przyjmowania chorych - na jego ciele naliczono pięćdziesiąt dwie rany zadane nożem. W kobiecej zonie innej kopalni starsza już lekarka o nazwisku Szicel została zarąbana toporem przez własną sanitariuszkę, błatniaczkę „Kruszynkę”, która wykonała wyrok błatniaków. Tak w praktyce wyglądał „Czerwony krzyż” w tych przypadkach, gdy lekarze nie byli ugodowi i nie brali łapówek. Naiwni medycy szukali wyjaśnienia sprzeczności u ideologów błatniackiego świata. Jeden z takich filozofów-przywódców leżał w tym czasie w szpitalu na oddziale chirurgicznym. Dwa miesiące wcześniej, znajdując się w „izolatorze” i pragnąc stamtąd wyjść, zastosował zwykły i pewny, ale niezupełnie bezpieczny sposób: nasypał sobie do oczu proszku z ołówka chemicznego. Tak się złożyło, że pomoc lekarska przyszła z opóźnieniem i błatniak oślepił; leżał w szpitalu jako inwalida, przygotowując się do wyjazdu na „kontynent”. Ale podobnie jak ów słynny sir Williams z Rocambole, mimo ślepoty uczestniczył w opracowywaniu planów przestępstw a już w „sądach honorowych” był wprost niepodważalnym autorytetem. Na pytanie lekarza o „Czerwony krzyż” i zabójstwa lekarzy dokonywane przez złodziei w kopalniach „sir Williams” odpowiedział, zmiękczając samogłoski po dźwiękach syczących, jak czynią to błatniacy:

— W życiu mogą się zdarzyć różne sytuacje, w których prawo nie znajduje zastosowania.

Ten „sir Williams” był dialektykiem. Dostojewski we „Wspomnieniach z domu umarłych” z rozrzewnieniem zwraca uwagę na postępowanie „nieszczęśliwych”, którzy zachowują się jak „duże dzieci” — zabawiają się teatrem, po dziecięcemu, bez gniewu sprzecząc się. Dostojewski nie spotykał i nie znał ludzi z prawdziwego świata kryminalistów. W stosunku do tego świata nie pozwoliłby sobie na wyrażanie żadnego współczucia. Trudno wyliczyć wszystkie złodziejskie zbrodnie w łagrze. Robociarze to nieszczęśni ludzie, którym złodzieje wydzierają resztki odzienia, ostatnie pozostałe pieniądze. Boją się oni poskarżyć, bo widzą, że złodziej jest silniejszy od władzy. Złodziej bije robociarza i zmusza go do pracy; dziesiątki tysięcy ludzi zostało na śmierć pobitych przez złodziei. Setki tysięcy ludzi, którzy byli więźniami, zostało zdeprawowanych przez złodziejską ideologię i przestało być ludźmi. Coś błatniackiego na zawsze osiadło w ich duszach — złodzieje ze swoją moralnością zostawili na zawsze w świadomości każdego z nich ślad nie do zatarcia. Grubiański i okrutny naczelnik, zakłamywany łagrowy wychowawca, pozbawiony sumienia lekarz — to drobiazgi w porównaniu z deprawującą siłą

błatniackiego świata. Tamci to jednak ludzie i od czasu do czasu wyjrzy z nich coś ludzkiego. Błatniacy zaś to nie ludzie. Ich wpływ na życie w łagrze jest wszechstronny i nie ma granic. Łagier to w całej pełni negatywna szkoła życia. Nikt nie wyniesie stamtąd niczego, co potrzebne i może przynieść korzyść - ani sam więzień, ani jego naczelnik, ani straż, ani mimowolni świadkowie owego życia, inżynierowie, geolodzy, lekarze ani kierowcy, ani podwładni. Każda minuta życia w łagrze jest trucizną. Jest w nim zbyt wiele tego, o czym człowiek nie powinien wiedzieć ani czego widzieć; a jeśli widział, to lepiej mu umrzeć. Więzień uczy się tam nienawiści do pracy i niczego innego nauczyć się nie może. Uczy się tam schlebiana, kłamstwa, drobnych i większych podłości, staje się egoistą. Powracając na „swobodę”, spostrzega, że nie tylko się w łagrze nie rozwinął, lecz jego zainteresowania się skurczyły, stały się nędzne i prostackie. Gdzieś odsunęły się bariery moralne. Okazuje się, że można czynić podłości i żyć. Można kłamać i żyć. Można obiecywać i nie dotrzymując obietnic, mimo wszystko żyć. Można przepić pieniądze kolegi. Można wypraszać datki i żyć! Żebrać i żyć! Okazuje się, że człowiek nie umiera po dokonaniu podłego czynu. Przyucza się do markieractwa, oszustwa, nienawiści do wszystkich i wszystkiego. „Opłakując

swój los", obwinia cały świat. Ponad miarę ocenia własne cierpienia, nie pamiętając o tym, że każdy człowiek ma swoje nieszczęście. Oduczył się współczucia wobec zmartwień innych ludzi; całkiem po prostu nie rozumie, nie chce ich rozumieć. Sceptycyzm - to jeszcze dobrze, to jeszcze najlepsze z łagrowego dziedzictwa. On się boi - stał się tchórzem. Obawia się powtórzenia swojego losu, obawia się donosów, obawia się sąsiadów, boi się wszystkiego, przed czym człowiek nie powinien odczuwać strachu. Jest moralnie zgnieciony. Jego pojęcia o moralności uległy zmianie i on sam tego nie zauważa. Naczelnik przyucza się w łagrze do prawie niekontrolowanej władzy nad aresztantami, uczy się patrzeć na siebie jak na boga, jak na jedyne przedstawiciela władzy, jak na człowieka wyższej rasy. Konwojent, w którego rękach wielokrotnie znajduje się ludzkie życie i który często zabijał tych, co przekroczyli „zakazaną strefę” - cóż on opowie swej narzeczonej o pracy na Dalekiej Północy? Czy o tym, jak walił kolbą głodnych, nie mających siły się poruszać, starych ludzi? Młody wieśniak, który trafił za kratki, widzi, że jedynie „urki” - złodzieje żyją względnie dobrze, że z nimi się liczą, a wszechmocne naczalstwo czuje respekt przed nimi. Zawsze są ubrani i syci, wspomagając się wzajemnie. Wieśniak zastanawia się. Zaczyna mu się wydawać,

że prawda życia w łagrze jest w posiadaniu błatniaków, że tylko naśladowując ich, znajdzie realną drogę ratunku dla swego życia. Bo okazuje się, że są „ludzie”, którzy „potrafią żyć” także na samym „dnie”. I tak oto wieśniak zaczyna iść za przykładem błatniaków, podobnie się zachowując i postępując. Potakuje każdemu słowu błatniaka, gotów wypełnić każde jego polecenie. Mówi o błatniakach ze strachem i czcią. Spiesznie ubarwia swój język błatnymi słówkami – bez ich wpływu nie pozostał zresztą żaden człowiek, mężczyzna czy kobieta, więzień czy wolny, który kiedykolwiek był na Kołymie. Owo słownictwo to jad, trucizna sącząca się w duszę człowieka; właśnie opanowanie błatniackiego dialektu jest początkiem zbliżenia „frajera” z błatniackim światem. Więzień-inteligent zostaje przez łagier zaduszony. Wszystko, co dotąd było mu drogie, rozdeptano w proch; powłoka cywilizacji i kultury pęka w najkrótszym możliwie czasie, liczącym się w tygodniach. Argumentem w sporze jest kułak i pałka. Środkiem przymusu – kolba karabinu i cios w zęby. Inteligent przemienia się w tchórza i własny jego mózg podpowiada, jak „usprawiedliwić” swoje postępowanie. Może sam siebie przekonać do wszystkiego, może dołączyć do którejkolwiek ze stron sporu. W błatniackim środowisku inteligent widzi

„nauczycieli życia”, bojowników o „prawa ludu”. Kułak, uderzenie, przemiana inteligenta w pokornego sługę jakiegoś „Sienieczki” czy „Kostieczki”. Oddziaływanie fizyczne staje się oddziaływaniem moralnym. Inteligent nastraszony jest na zawsze. Jego duch został złamany. Ten przestрах i traumę duchową przenosi potem do życia na wolności. Inżynierowie, geolodzy, lekarze przybywający na Kołymę na podstawie umowy z Dalstrojem szybko się demoralizują: „wielki rubel”, „prawotajga”, niewolnicza praca innych, którą posługiwać się jest tak łatwo i zyskownie, zawężenie zainteresowań kulturalnych - wszystko to deprawuje, demoralizuje; człowiek, który długo pracował w łagrze, nie wyjeżdża już na „kontynent”; tam nie jest wart złamanego grosza, a przyzwyczał się do „bogatego” i „zabezpieczonego” życia. Ten właśnie typ demoralizacji nazywa się w literaturze „zewem Północy”. Za ową deprawację ludzkiej duszy w znacznej mierze ponosi winę świat błatniaków. Kryminalistów-recydywistów, których gusty i nałogi wyciskają swe piętno na całym życiu Kołymy.

SPISEK PRAWNIKÓW

Do brygady Szmielowa zgarniano ludzką szlakę - odpady wyrzucane przez kopalnię złota. Z „wyrobiska”, gdzie zdejmowano

„torf” i wydobywano „piaski”, prowadziły trzy drogi: „pod sopkę” do bratnich bezimiennych mogił, do szpitala albo do brygady Szmielowa - trzy drogi „dochodiagów”. Brygada Szmielowa pracowała tam, gdzie i inne brygady, tylko poruczano jej mniej ważne zadania. Hasła: „wykonanie planu - rzecz święta” i „uświadomić plan rębaczom” nie były tylko zwykłymi słowami. Rozumiano je w ten sposób: nie wykonałeś normy - naruszyłeś prawo, oszukałeś państwo, więc powinieneś za to odpowiadać, odsiadując karę, a nawet tracąc życie. I dlatego „szmielowców” karmiono gorzej, dawano im mniej do jedzenia. Ale ja doskonale znałem tutejsze powiedzonko: „w łagrze zabija duża porcja chleba, a nie mała”. Nie usiłowałem więc zarobić na dużą porcję w jednej z podstawowych - przodkowych brygad. Do brygady Szmielowa zostałem przeniesiony niedawno, przed trzema tygodniami i nie widziałem dotąd jego twarzy - była pełnia zimy, głowa brygadzisty była przemyślnie omotana jakimś porwanym szalem, a wieczorem w baraku było ciemno - benzynowa „kołymka” zaledwie oświetlała drzwi. Nie pamiętam więc jego twarzy. Jedynie głos - ochrypli i przeziębiony. Pracowaliśmy w grudniu na nocnej zmianie i każda noc wydawała się torturą - pięćdziesiąt stopni to nie żarty. Mimo to nocą było lepiej, spokojniej, mniej naczalstwa w przodku, mniej wyzwisk i bicia. Brygada

ustawiała się „do wyjścia”. Zimą robiliśmy to w baraku i te ostatnie minuty przed wyjściem w lodowatą noc na dwunastogodzinną zmianę nawet dzisiaj wspominam boleśnie. Tutaj, w tym niezdecydowanym ścisaniu przy na wpół otwartych drzwiach, skąd wpełzała lodowata para, ujawniały się cechy ludzkiego charakteru. Jeden, opanowując drżenie wkraczał wprost w ciemność, drugi spieszenie dosysał nie wiadomo gdzie znaleziony niedopałek machorkowego skręta, chociaż nawet nie pachniał machorką, nie było po niej śladu; trzeci osłaniał twarz przed zimnym wiatrem, czwarty stał, trzymając nad piecykiem rękawice, naładowując je ciepłem. Tych ostatnich wypychał z baraku sprzątający. Postępowano tak zawsze z najslabszymi, w każdej brygadzie. Mnie jeszcze w tej brygadzie nie wypychano. Byli tu ludzie słabsi ode mnie i to przynosiło mi jakieś uspokojenie, jakąś niespodziewaną radość. Byłem tu jeszcze człowiekiem. Wypychanie i pięści sprzątającego pozostały za mną, w tej „złotej brygadzie”, skąd przeniesiono mnie do Szmielowa. Brygada stała przy drzwiach gotowa do wyjścia. Podszedł do mnie Szmielow.

- Zostaniesz w domu - wychrypiał.

- Przeniesiono mnie na rano, czy co? - powiedziałem z niedowierzaniem.

Z jednej zmiany do drugiej przenoszono zawsze w kierunku przeciwnym do

wskazówek zegarka, a żeby nie tracić roboczego dnia i żeby więzień nie mógł zyskać kilku dodatkowych godzin odpoczynku. Znałem ten mechanizm.

- Nie, wzywa cię Romanow.

- Romanow? Kto to taki Romanow?

- Ot, gad, nie zna Romanowa - wmieszał się sprzątający.

- Pełnomocny, zrozumiałeś? Mieszka przed biurem. Masz tam być o ósmej. O ósmej!

Opanowało mnie uczucie wielkiej ulgi. Jeżeli pełnomocny przetrzyma mnie do dwunastej, do „nocnego” obiadu, a może i dłużej - to mam prawo wcale nie wychodzić dzisiaj do pracy. Od razu w całym ciele poczułem zmęczenie. Ale było to radosne zmęczenie, choć mięśnie zaczęły doskwierać. Rozwiązałem to coś, czym byłem przepasany, rozpiąłem buszlat i siadłem koło piecyka. Od razu zrobiło się ciepło i pod bluzą poruszyły się wszy. Obgryzionymi paznokciami podrapałem szyję, piersi, i zapadłem w drzemkę.

- Już czas, już czas. - sprzątający targał mnie za ramię. - Idź, a nie zapomnij przynieść popalić.

Zastukałem w drzwi domu, w którym mieszkał pełnomocny. Szczęknęły zasuwki, zamki wiele ich było - i ktoś niewidoczny krzyknął zza drzwi:

- Kto tam?

- Więzień Andriejew, na wezwanie.

Ponownie szczęknęły zasuwki, zadźwięczały zamki - i wszystko umilkło. Zimno

wciskało się pod buszlat, marzły stopy. Zacząłem obijać jedną drugą, odziane w burki nogi - nie nosiliśmy walonek, lecz zszyte ze starych spodni i waciaków, wypchane wata, pikowane burki. Znowu szczęknęły rygle i otworzyły się podwójne drzwi, przepuszczając smugę światła, ciepła i dźwięki muzyki. Wszedłem. Drzwi do pierwszego pokoju nie były zamknięte - grało w nim radio. Przede mną stał Romanow, pełnomocny. Dokładniej - to ja stałem przed nim, a on, niziutki, pełny, pachnący perfumami, ruchliwy, kręcił się koło mnie, przyglądając się mojej postaci czarnymi, żywymi oczkami. Zapach więźnia dotarł do jego nozdrzy, wyjął więc śnieżnobiałą chusteczkę do nosa i wstrząsnął nią. Ogarnęła mnie fala muzyki, ciepła zapachu wody kolońskiej. Najważniejsze - to ciepło. Holenderski piec był mocno rozpalony.

- No to poznaliśmy się - z entuzjazmem stwierdził Romanow, kręcąc się koło mnie i wymachując naperfumowaną chusteczką - No to poznaliśmy się. Wejdz. - i otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju - gabineciku z biurkiem i dwoma krzesłami - Siadaj. Za nic nie zgadniesz, dlaczego cię wezwałem. Zapal. - zaczął przerzucać jakieś papiery na biurku - Jak masz na imię i po ojcu?

Powiedziałem.

- A rok urodzenia?

- 1907.

- Prawnik?

- Właściwie to ja nie jestem prawnikiem, ale uczyłem się w Moskiewskim...

- A więc prawnik. No to świetnie. Na razie siedź, a ja gdzieś zadzwonię i razem pojedziemy.

Romanow wysliznął się z pokoju i zaraz potem w stołowym wyłączono radio - rozpoczęła się rozmowa telefoniczna. Siedząc na krześle, zdrzemnąłem się. Zaczęło mi się nawet coś śnić. Romanow co pewien czas pojawiał się i znikał.

- Słuchaj, czy ty masz jakieś rzeczy w baraku?

- Wszystko mam na sobie.

- No to świetnie, naprawdę świetnie. Samochód zaraz będzie i obaj pojedziemy. Czy wiesz, dokąd pojedziemy? Nie odgadniesz? Do samego Chatynnachu, do Zarządu! Byłeś tam kiedyś? No, żartuję, żartuję...

- Wszystko mi jedno.

- No to dobrze.

Zdjąłem moje obuwie, rozmasowałem rękami palce nóg, przewinałem onuce. Stojący na stole budzik wskazywał pół do dwunastej. Nawet jeżeli to żart z tym Chatynnachem - to wszystko jedno, dzisiaj już do roboty nie pójdę. Zawarczał w pobliżu samochód i światło latarni prześliznęło się po okiennicach, zahaczając o sufit gabinetu.

- Jedźmy, jedźmy.

Romanow był w białym półkożusku, jakuckiej czapie z nausznikami i

wyszywanych, reniferowych futrzanych butach. Zapiąłem buszlat, podpasałem się, pottrzymałem przez chwilę rękawice w pobliżu pieca. Wyszliśmy do samochodu. Była to półtoratonówka z otwartą skrzynią.

- Ile dziś stopni, Misza? - spytał Romanow szofera.

- Sześćdziesiąt, towarzyszu pełnomocny. Nocne brygady odwołano z pracy.

A więc i nasza, szmielowska jest w domu. Nie tak już bardzo mi się udało.

- No, Andriejew - powiedział pełnomocny, kręcąc się koło mnie - siadaj na górę. To niedaleko. A Misza pojedzie jak najszybciej. Prawda, Misza?

Misza przemilczał. Wlazłem do skrzyni i zwinąłem się w kłębek, obejmując rękami nogi. Romanow wcisnął się do kabiny i pojechaliśmy. Droga była marna i tak rzucało, że nie zamarzłem. Nie chciało mi się o niczym myśleć, zresztą przy takim mrozie nawet nie daje się myśleć. Po dwu godzinach zamigotały światła i samochód zatrzymał się koło piętrowego domu, zbudowanego z ociosanych pni. Wszędzie było ciemno, tylko w jednym oknie na piętrze paliło się światło. Koło dużego ganku stało dwu wartowników w kożuchach.

- No i dojechaliśmy, to świetnie. Niech on tu zaczeka. - i Romanow znikł na wielkich schodach.

Była druga w nocy. Wszędzie światła były zgaszone, tylko na stole dyżurnego

palila się lampka. Nie trzeba było długo czekać. Romanow - już rozebrany, w mundurze NKWD - zbiegł ze schodów i pomachał rękami.

- Tędy, tędy.

Razem z pomocnikiem dyżurnego poszliśmy na górę i na korytarzu na piętrze zatrzymaliśmy się przed drzwiami z tabliczką „st. pełnomocny MWD Smiertin”. Taki groźny pseudonim (bo przecież to nie prawdziwe nazwisko) nawet na mnie, bezgranicznie zmęczonym, wywarł wrażenie. To już za wiele jak na pseudonim, pomyślałem, ale trzeba było już wejść i iść dalej przez ogromny pokój z portretem Stalina na całą ścianę, zatrzymać się przed gigantycznych rozmiarów biurkiem i spoglądać w bladą twarz rudego człowieka, który całe swoje życie spędził wewnątrz, w takich właśnie pokojach. Romanow, w pełnej szacunku postawie, stał przed biurkiem. Mętne, niebieskie oczy starszego pełnomocnego zatrzymały się na mnie. Na krótką chwilę. Szukał czegoś na biurku, przekładając papiery. Usłużne palce Romanowa znalazły to, co trzeba było znaleźć.

- Nazwisko? - spytał Smiertin, wpatrując się w papiery - Imię i imię ojca? Paragraf? Wyrok?

Odpowiedziałem.

- Prawnik? Prawnik...

Błada twarz uniosła się znad stołu.

- Skargi pisałeś?

- Pisałem.

Smiertin zaczął sapać:

- Z powodu chleba?

- Z powodu chleba i tak, całkiem po prostu.

- Dobrze! Wyprowadzić go.

Nie starałem się nawet niczego wyjaśniać ani o nic pytać. Po co? Przecież nie jestem na mrozie ani nocą w przodku kopalni złota. Niech wyjaśniają, co tam chcą. Przyszedł pomocnik dyżurnego z jakąś kartką i poprowadzono mnie przez ciemne osiedle na sam jego koniec, gdzie pod strażą trzech wieżyczek strażniczych, za potrójnym rzędem drutów kolczastych mieścił się "izolator", łagrowe więzienie. Były w nim pojedyncze cele, ale były też duże. Wepchnięto mnie właśnie do jednej z nich. Opowiedziałem o sobie, nie oczekując od sąsiadów spowiedzi i o nic ich nie pytając. Tak powinno być, aby nie pomyśleli, iż jestem „podsadzony”. Nastął ranek, kolejny kołymski zimowy ranek, bez światła, bez słońca, niczym nie różniący się od nocy. Uderzyli w szynę, przynieśli wiadro dymiącego wrzątku. Przyszedł po mnie konwój i pożegnałem się z towarzyszami. Nie wiedziałem o nich nic. Przyprawiono mnie do tego samego domu. Wydał mi się mniejszy niż nocą. Przed świetlane oczy Smiertina nie zostałem już dopuszczony. Dyżurny kazał mi siedzieć i czekać, i ja siedziałem i

czekałem, dopóki nie usłyszałem znajomego głosu:

- No i dobrze! No i świetnie. Zaraz pan pojedzie. - na obcym terytorium Romanow mówił mi per „pan”.

Myśli leniwie przewalały mi się w mózgu - prawie fizycznie odczuwalne. Należało myśleć o czymś nowym, do czego nie byłem przyzwyczajony, czego nie znam. To nowe nie ma nic wspólnego z kopalnią. Jeśli wracalibyśmy do swojej kopalni „Partyzant”, to Romanow powiedziałyby: „zaraz pojedziemy”. A więc wiozą mnie gdzie indziej.

- Niech to licho porwie! - po schodach zbiegł, prawie w podskokach, Romanow. Wydawało się, że mało brakuje, aby siadł na poręcz i zjechał po niej jak mały chłopczyk. Trzymał w rękach prawie cały bochenek chleba. - Proszę, ma pan na drogę. I jeszcze to.

Znikł gdzieś na górze i powrócił z dwoma śledziami.

- W porządku, co? Zdaje się, że to wszystko. Aha, zapomniałem o najważniejszym - co to znaczy niepalący!

- Romanow znów udał się na górę i wrócił z gazetą. Z wierzchu nasypana była machorka. Pewnie ze trzy pudełeczka - oceniłem to doświadczoneym okiem. W paczce-ósemce mieściło się osiem zapalczanych pudełeczek. Była to łagrowa miara objętości. - To dla pana na drogę. Suchy prowiant, można powiedzieć.

Milczałem.

- Czy konwój już wezwany?

- Wezwany - powiedział dyżurny.

- Starszego proszę przysłać na górę.

Przyszło dwóch konwojentów - jeden starszy, ospowaty, w papaszy kaukaskiego typu na głowie; drugi młody, chyba dwudziestoletni, z różowymi policzkami w czerwono-armijskiej, sukiennej pikielhaubie.

- To ten - powiedział dyżurny, wskazując na mnie.

Obaj - młody i ospowaty - obejrżeli mnie bardzo uważnie od stop do głów.

- A gdzie naczelnik? - spytał ospowaty.

- Na górze. I pakiet też jest tam.

Ospowaty poszedł na górę i szybko wrócił razem z Romanowem. Obaj cicho rozmawiali i ospowaty pokazywał na mnie.

- Dobrze - powiedział w końcu Romanow - damy na piśmie.

Wyszliśmy na dwór. Koło ganku, tam gdzie w nocy zatrzymała się ciężarówka z „Partyzanta”, stał teraz komfortowy „czarny kruk” - więzienny autobus z zakratowanymi oknami. Wszedłem do środka. Zakratowane drzwi zamknęły się, konwojenci usiedli w przeznaczonych dla nich klitce i samochód ruszył. Przez pewien czas jechaliśmy trasą - centralną drogą, przecinającą przez pół całą Kołymę, ale potem skręciliśmy gdzieś w bok. Droga wiała się pomiędzy sopkami, samochód cały czas rzeźił na podjazdach, wzdłuż skalnych nawisów, porośniętych rzadkim liściastym lasem i oszronionymi

krzakami wikliny. W końcu, kilkakrotnie okrążywszy sopki, samochód posuwający się wzdłuż koryta strumienia wyjechał na niewielkie płaskie miejsce. Była to przesieka, przy której znajdowały się wieżyczki strażnicze, a w głębi, trzysta metrów dalej, widniała ciemna masa baraków, otoczona drutem kolczastym, z wieżyczkami po rogach. Otworzyły się drzwi maleńkiej budki czy domku stojącego przy drodze i wyszedł dyżurny z rewolwerem na pasie. Szofer wyskoczył z kabiny i przeszedł mimo mojego okna.

- Ależ kręciło. Rzeczywiście „Serpentynowe”.

Była to znajoma nazwa i moja reakcja na nią była chyba silniejsza niż na nazwisko Smiertina. Było to „Serpentynowe” - sławne więzienie śledcze Kołomy, gdzie tak wielu ludzi zginęło w zeszłym roku. Jeszcze ich trupy nie zdążyły się rozłożyć. Zresztą ich zwłoki pozostaną niezniszczalne - zmarli wiecznej zmarzliny. Starszy konwojent poszedł po ścieżce w kierunku więzienia, a ja siedziałem przy okienku i myślałem, że nadszedł mój czas, że i na mnie przyszła kolej. Myślenie o śmierci przedstawiało taką samą trudność jak o czymkolwiek innym. Nie starałem się wyobrazić sobie, jak mnie rozstrzelają. Siedziałem i czekałem. Zaczął już zapadać zimowy zmierzch. Drzwi „czarnego kruka” otworzyły się i starszy konwojent rzucił mi walonki.

- Obuwaj! Zdejmuj burki.

Zdjąłem je z nóg i przymierzyłem te walonki.

- Nie, nie włożą, za małe.

- W burkach nie dojedziesz - powiedziała ospowaty.

- Dojadę.

Ospowaty cisnął walonki w kąt samochodu.

- Jedziemy.

Samochód wykręcił i pomknął - „czarny kruk” oddalał się od „Serpentynowego”.

Po niedługim czasie, widząc migające za

oknem samochodu zorientowałem się, że znowu jesteśmy na „trasie”. Samochód

zwolnił, wokół paliły się światła wielkiego osiedla. Autobus podjechał

przed ganek jasno oświetlonego domu i wszedłem do jasnego korytarza, bardzo

podobnego do tego, gdzie gospodarzem był Smiertin - za drewnianą barierką, przy

wiszącym na ścianie aparacie telefonicznym siedział dyżurny z

pistoletem u boku. Było to osiedle Jagodne. Pierwszego dnia podróży

przejechaliśmy tylko siedemnaście kilometrów. Dokąd pojedziemy dalej?

Dyżurny odprowadził mnie do odległego pokoju, który okazał się karczerem, z

pryczą, wiadrem wody i kibelem. W drzwiach wycięty był „judasz”.

Przemieszkałem tam dwa dni. Zdażyłem nawet wysuszyć i przewinać bandażę na

nogach - ropiały rany spowodowane skorbutem. W domu rejonowego oddziału

MWD panowała jakaś głucha cisza. Siedząc

w swoim kącie, przysłuchiwałem się w napięciu. Nawet w ciągu dnia rzadko kto maszerował po korytarzu. Rzadko otwierały się wejściowe drzwi, rzadko obracały klucze w zamkach. I strażnik, zawsze ten sam, nieogolony, w starym waciaku, z naganem przewieszonym przez ramię - wszystko wyglądało bardzo zaściankowo w porównaniu ze wspaniałym Chatynnachem, gdzie towarzysz Smiertin tworzył wielką politykę. Telefon też dzwonił bardzo rzadko.

- Tak, tankują. Tak. Nie wiem, towarzyszu naczelniku. Dobrze, przekażę im.

O kim tu była mowa? O moich konwojentach? Raz dziennie, pod wieczór, otwierały się drzwi mojej celi i dyżurny wnosił menażkę zupy i kawałek chleba. „Jedz!” To był mój obiad. Państwowy. Przynosił też łyżkę. Drugie danie zmieszane było z pierwszym, z zupą. Brałem w ręce menażkę i wylizywałem do połysku, zgodnie z kopalnianym nawykiem. Trzeciego dnia otworzyły się drzwi i ospowaty żołnierz, odziany w baranicę z wierzchu swego półkożuszka, przekroczył próg karceru.

- No co, odpocząłeś? Jedziemy. Stałem na ganku rejonowego oddziału. Myślałem, że znowu pojedziemy „ocieplonym”, więziennym autobusem, ale nigdzie nie było widać „czarnego kruka”. Przy ganku stała zwyczajna trzytonówka.

- Siadaj.

Posłusznie przelazłem przez burtę. Młody żołnierz wlaźł do kabiny szofera. Ospowaty usiadł obok mnie. Samochód ruszył i po paru minutach znaleźliśmy się na „trasie”. Dokąd mnie wiozą? Na północ czy na południe? Na zachód czy na wschód? Nie należało pytać, a konwój i tak nie ma prawa mówić. Przekazują na inny odcinek? Na jaki? Samochód trząsał mną tak przez wiele godzin i nagle się zatrzymał.

- Tutaj zjemy obiad. Złazł.

Zlazłem. Weszliśmy do stołówki „na trasie”. „Trasa” to aorta i główny nerw Kołymy. W obydwu kierunkach nieprzerwanie płyną ładunki techniki - te są bez straży; żywność koniecznie z konwojem: uciekinierzy napadają i grabią. Przed szoferem i zaopatrzeniowcem konwój stanowi być może niepewną ochronę, ale jednak jest zdolny zapobiec złodziejstwu. W stołówkach spotykają się geolodzy, pracownicy górniczego zwiadu, jadący na urlop z wypracowanymi „wielkimi rublami”, konspiracyjni handlarze tytoniem i herbata, północni bohaterowie i północni szubrawcy. Wszędzie w stołówkach sprzedaje się spirytus. Wszyscy oni spotykają się, piją, przekazują nowości i spieszą się, spieszą. Samochody zostawiają z pracującymi silnikami, a sami kładą się przespać w kabinie na dwie, trzy godziny. Tutaj też prowadzą więźniów: czyściutkich, w równych szeregach w górę

tajgi; z góry – jako odpady z kopalni o porozbijanych, brudnych ciałach ludzi, którzy już nimi być przestali. Tutaj są też wywiadowcy-operatywnicy wyłapujący zbiegów. I sami uciekinierzy – często w wojskowych mundurach. Tędy przejeżdża w czarnych zisach naczałstwo, panowie życia i śmierci tych wszystkich ludzi, więźniów i wolnych. Dramaturgowi należy pokazywać Północ właśnie w przydrożnej stołówce – to najlepsza scena. Wszystko to umieściłem w mej opowieści oczywiście później. Stałem w stołówce, starając się przecisnąć do pieca, ogromnego pieca-beczki, rozpalonego do czerwoności. Konwojenci wcale nie obawiali się, że im ucieknę – zbyt byłem osłabiony i było to dobrze widać. Dla każdego było zupełnie jasne, że przy 50-stopniowym mrozie dochodziaga nie ma gdzie uciekać.

- Siadaj tu, jedz.

Konwojent kupił mi talerz gorącej zupy i dał chleba.

- Zaraz pojedziemy dalej – powiedział młody. - Przyjdzie starszy i pojedziemy. Ale ospowaty przyszedł nie sam. Towarzyszył mu niemłody „bojec” (żołnierzami ich jeszcze w tych czasach nie nazywano), z karabinem i w półkożuszku. Spojrzał na mnie, a potem na ospowatego.

- No cóż, niech będzie – powiedział.

- Chodźmy – zwrócił się do mnie ospowaty. Przeszliśmy do drugiego kąta ogromnej stołówki. Siedział tam skuczony przy

ścianie, na podłogę, człowiek w buszłacie i bamłagowskiej czapce, w czarnej flanelowej uszance.

- Siadaj tu - powiedział do mnie ospowaty.

Posłusznie usiadłem obok tego człowieka. Nie odwrócił do mnie głowy. Ospowaty i nieznajomy żołnierz gdzieś poszli. Z nami został „mój” konwojent.

- Idą sobie odpocząć, zrozumiałeś? - zaszeptał do mnie nagle człowiek w aresztanckiej czapeczce - Nie mają prawa.

- A niech ich szlag trafi - powiedziałem

- Niech robią, co chcą. Co ci do tego - źle ci się dzieje?

Człowiek podniósł głowę:

- Mówię ci - nie mają prawa.

- A dokąd nas wiozą? - spytałem.

- Dokąd ciebie wiozą, to nie wiem, a mnie do Magadanu. Na rozstrzelanie.

- Na rozstrzelanie?

- Tak. Zostałem skazany. Z Zachodniego Zarządu. Z Susumana.

Wcale mi się to nie spodobało. Ale przecież nie znałem postępowania, procedury przy „najwyższym wymiarze kary”. Zmieszany zamilkłem. Podszedł tymczasem ospowaty żołnierz razem z naszym nowym towarzyszem drogi. Zaczęli o czymś ze sobą rozmawiać. Jak tylko konwojentów zrobiło się więcej, od razu zaczęli się surowiej odnosić, stali się bardziej szorstcy. Więcej mi już nie kupowali zupy w stołówce. Przejechaliśmy jeszcze kilka godzin i w kolejnej

stołówece przyprowadzono do nas jeszcze trzech – zebrał się już pokaźny etap, cała „partia”. Nie wiadomo, w jakim byli wieku, tak jak wszystkie kołymskie dochodiagi; napięta biała skóra, napuchnięte twarze mówiły o głodzie i o szkorbutcie. Widniały też na nich plamy odmrożeń.

- Dokąd was wiozą?

- Do Magadanu. Na rozstrzelanie. Jesteśmy już skazani.

Leżeliśmy w skrzyni ciężarówki, skuleni, oparci plecami o siebie, z podkurczonymi kolanami. Trzytonówka miała dobre resory, a „trasa” dobrą nawierzchnię, prawie nas nie podrzucało – zaczęliśmy więc zamarzać. Krzyczeliśmy, jęczeli, ale konwój był nieubłagany. Trzeba było jeszcze za dnia dojechać do Spornego. Skazany na rozstrzelanie, ten pierwszy błagał o „rozgrzanie się”, chociażby w ciągu pięciu minut. Samochód wleciał do Spornego, gdy już paliły się światła. Przyszedł ospowaty.

- Zostaniecie ulokowani w łagrowym izolatorze, a jutro pojedziecie dalej. Przemarżłem do kości i oniemiały od mrozu resztkami sił tupiałem podszwami burek o śnieg. Ale nie mogłem się rozgrzać. „Bojcy” wciąż poszukiwali łagrowego naczalstwa. W końcu, po godzinie, odprowadzili nas do wychłodzonego, nieopalanego izolatora na teren łagru. Wszystkie jego ściany pokrywał szron, a na podłodze był lód.

Ktoś wniósł wiadro wody. Zazgrzytał zamek. A drwa? A piecyk? Właśnie tutaj, w tę noc na Spornym, ponownie odmroziłem wszystkie dziesięć palców u nóg, bezskutecznie starając się zasnąć chociażby na minutę. Rano nas wyprowadzili i wsadzili do samochodu. Znowu mijane sopki, znowu warkot silników napotykanych samochodów. Zjechaliśmy z przełęczy i zrobiło się nam tak ciepło, że chciało się nigdzie nie jechać, poczekać, choć trochę pochodzić po tej cudownej ziemi. Różnica wynosiła nie mniej niż dziesięć stopni. A i wiatr był jakiś taki ciepły, prawie wiosenny.

- Konwój! Załatwić się...! - jak jeszcze można powiedzieć żołnierzom, że radzi jesteśmy ciepłu, że cieszy nas południowy wiatr i wyzwolenie od dzwoniącej ciszą tajgi.

- No to wyłazić!

Konwojentom też było przyjemnie rozprostować nogi, popalić. Mój poszukiwacz sprawiedliwości już zbliżał się do konwojenta.

- Zostawi pan dopalić, obywatelu żołnierzu?

- Zostawię. Idź na miejsce.

Jeden z tych nowych nie chciał złązić. Ale widząc, że „załatwianie się” coś się przeciągnęło, przysunął się do burty skrzyni i kiwnął do mnie ręką.

- Pomóż zleźć.

Podałem rękę temu bezsilnemu dochodiadze i nagle poczułem niezwykłą lekkość jego ciała, jakby śmiertelną lekkość. Odszedłem. Trzymając się burty samochodu, człowiek ten zrobił kilka kroków.

- Jak ciepło.

Ale oczy miał mętne, bez żadnego wyrazu.

- No, jedźmy, jedźmy.

Trzydzieści stopni, z każdą godziną robiło się coraz cieplej. Na Stołówce osiedla „Namiot” nasi konwojenci zjedli obiad po raz ostatni. Ospowaty kupił mi kilogram chleba.

- Weź tu, białego. Wieczorem już przyjedziemy na miejsce.

Padał drobny śnieg, gdy daleko w dole pokazały się ognie Magadanu. Było dziesięć stopni. Bez wiatru. Śnieg spadał prawie prostopadle - drobne, miękkie śnieżynki. Samochód zatrzymał się w pobliżu rejonowego oddziału MWD. Konwojenci weszli do środka. Pojawił się człowiek, ubrany po cywilnemu, bez czapki. W rękach trzymał rozrwaną kopertę. Wywołał czyjeś nazwisko, nawykłym, dźwięcznym głosem. Człowiek o lekkim ciele powlókł się na jego znak na bok.

- Do więzienia!

Człowiek w garniturze znikł w budynku i zaraz pojawił się ponownie. Trzymał w rękach nowy plik papierów.

- Iwanow Konstantin Iwanowicz! Do więzienia!
Urgackij Siergiej

Fiodorowicz! Do więzienia! Simonow
Jewgienij Pietrowicz! Do więzienia!

Nie żegnałem się ani z konwojem, ani z tymi, co jechali ze mną do Magadanu. To nie jest przyjęte. Przed gankiem rejonowego oddziału stałem tylko ja sam z moimi konwojentami. Człowiek w garniturze znów pokazał się na ganku z kopertą.

- Andriejew! Do rejonowego oddziału! Zaraz wam dam pokwitowanie - powiedział do moich konwojentów.

Wszedłem do pomieszczenia. Przede wszystkim - gdzie piec? O, jest kaloryfer. Za drewnianą barierką dyżurny. Telefon. Trochę skromniej niż u towarzysza Smiertina w Chatynnachu. A może tak mi się wydaje, gdyż taki gabinet widziałem po raz pierwszy w moim kołymskim życiu. W końcu korytarza strome schody prowadziły na górę. Wszedł człowiek w cywilnym ubraniu, który przyjmował nas na dworze.

- Proszę tędy.

Po wąskich schodkach weszliśmy na piętro i doszli do drzwi z tabliczką: „J.Atlas, st. pełnomocny”.

- Proszę siadać.

Usiadłem. W maleńkim gabinecie główne miejsce zajmował stół. Na nim papiery, teczki, jakieś spisy. Atlas miał chyba ze trzydzieści osiem-czterdzieści lat. Pełny, o sportowym wyglądzie mężczyzna, czarnowłosy, trochę łysiejący.

- Nazwisko?

- Andriejew.

- Imię, imię ojca, paragraf, wyrok?

Odpowiedziałem.

- Prawnik?

- Prawnik.

Atlas zerwał się z miejsca i obszedł stół:

- Świetnie! Będzie z panem rozmawiać kapitan Riebrow!

- A kto to jest kapitan Riebrow?

- Naczelnik SPO - specjalnego politycznego oddziału. Proszę zejść na dół.

Powróciłem na swoje miejsce koło kaloryferu. Pomyślawszy, zdecydowałem, że należy zawczasu zjeść ten kawałek „białego”, co dali mi konwojenci. Bak z wodą i przykuty do niego kubek znajdowały się tuż obok. Na ścianie rytmicznie tykał zegar. Półdrżemiąc, słyszałem, jak ktoś szybko przeszedł koło mnie i zaraz dyżurny mnie rozbudził.

- Do kapitana Riebrowa!

Poprowadzono mnie na piętro. Otworzyły się drzwi niewielkiego gabinetu i usłyszałem ostry głos:

- Tutaj, tutaj!

Zwyczajny gabinet, trochę większy od tego, w którym byłem przed dwoma godzinami. Szkliste oczy kapitana Riebrowa skierowane były wprost na mnie. Na rogu biurka stała niedopita szklanka herbaty z cytryną, na spodeczku obgryziona resztką sera. Telefony. Teczki. Portrety.

- Nazwisko?
- Andriejew.
- Imię, imię ojca, paragraf, wyrok?
- Prawnik?
- Prawnik.

Kapitan Riebrow przechylił się przez biurko, zbliżył do mnie swoje szklane oczy i spytał:

- Parfientjewa pan zna?
- Tak, znam.

Parfientjew był moim brygadzystą w brygadzie pracującej na przodku w kopalni, jeszcze zanim trafiłem do brygady Szmielowa. Stamtąd przeniesiono mnie do Poturajewa, a z niej do Szmielowa. U Parfientjewa pracowałem przez kilka miesięcy.

- Tak. Znam. To mój brygadzysta, Dmitrij Timofiejewicz Parfientjew.

- Dobrze. Więc zna pan Parfientjewa?

- Tak, znam.

- A Winogradowa?

- Winogradowa nie znam.

- Winogradowa, przewodniczącego sądu w Dalstroju?

- Nie znam.

Kapitan Riebrow zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i wycedził gasząc papierosa o spodeczek:

- A więc znasz Winogradowa i nie znasz Parfientjewa.

- Nie, ja nie znam Winogradowa...

- Ach, tak. Znasz Parfientjewa i nie znasz Winogradowa. No cóż!

Kapitan Riebrow nacisnął guzik dzwonka. Znajdujące się za mną drzwi otworzyły się.

- Do więzienia!

Spodeczek z niedopałkiem i niedojedzoną resztką sera pozostał w gabinecie naczelnika SPO na biurku, po prawej stronie, obok karafki z wodą. Głęboką nocą konwojent prowadził mnie przez uśpiony Magadan.

- Idź szybciej.

- Nie mam dokąd się spieszyć.

- Powiedz jeszcze jedno słowo! - żołnierz wyciągnął pistolet - Zastrzelę jak psa. Spisać protokół nietrudno.

- Nie spiszesz - powiedziałem - Odpowiedz przed kapitanem Riebrowem.

- Idź, zaraz!

Magadan - to małe miasto. Szybko więc dotarliśmy do „Domu Waškowa”, jak nazywa się tu miejscowe więzienie. Waškov był zastępcą Bierzina, gdy budowano Magadan, a drewniane więzienie było jednym z pierwszych magadańskich budynków. Zachowało ono imię człowieka, który je wybudował. W Magadanie już dawno wybudowano nowe, kamienne, „nowoczesne” więzienie, według najnowszych osiągnięć techniki penitencjarnej, ale ono również nazywa się „Domem Waškowa”. Po krótkich pertraktacjach na wartowni wpuszczono mnie na podwórzec więzienny. Znajdował się tam niski, przysadzisty blok, zbudowali z gładkich modrzewiowych pni.

A w poprzek stały dwie drewniane przybudówki zwane „salkami”.

- Do drugiej - powiedział głos za mną. Chwyciłem za klamkę, otworzyłem drzwi i wszedłem. Podwójne nary wypełnione ludźmi. Ale nie jeden na drugim. Podłogi - goła ziemia. Na długich nóżkach piec - półbeczka. Zapach potu i brudnych ciał. Z trudem wpełzłem na górne nary - na górze zawsze cieplej - i przelażłem na wolne miejsce. Mój sąsiad przebudził się.

- Z tajgi?

- Z tajgi.

- I z wszami?

- Z wszami.

- To kładź się w kącie. U nas nie ma wszy. Tu dezynfekcja działa.

Dezynfekcja - to dobrze, myślałem. A najważniejsze - że ciepło. Z rana dawano jeść. Chleb, wrzątek. Mnie się jeszcze chleb nie należał. Ująłem z nóg burki, położyłem je pod głowę, opuściłem w dół watowane spodnie, żeby zagrzać nogi, i zasnąłem, aby obudzić się po dwudziestu czterech godzinach, gdy dawano już chleb, a ja zostałem wpisany na pełne utrzymanie „Domu Waškowa”. Na obiad dawano wodę, w której gotowały się kluski, i trzy łyżki pszenicznej kaszy. Spałem do rana następnego dnia, aż do tej chwili, kiedy rozbudził mnie dziki głos dyżurnego. Zlażłem z nar.

- Wyjdź na podwórzec i idź do tego ganku. Drzwi prawdziwego „Domu Waškowa” otworzyły się przede mną i wszedłem do

niskiego, słabo oświetlonego korytarza. Nadzorca przekręcił zamek, odciągnął masywną żelazną zasuwę i otworzył malutką celę z podwójnymi narami. W kącie, na dolnych narach siedzieli, zgiąwszy się, dwaj ludzie. Podszedłem do okna i usiadłem. Ktoś szarpał mnie za ramię. Był to mój brygadzysta z łagru, Dmitrij Timofiejewicz.

- Czy ty coś rozumiesz?

- Nic nie rozumiem.

- Kiedy ciebie przywieźli?

- Przed trzema dniami. Osobowym samochodem. Atlas przywiózł.

- Atlas? On mnie przesłuchiwał w oddziale rejonowym.

- Czterdzieści lat, łysawy. Po cywilnemu. Ze mną jechał w mundurze.

- A o co cię pytał kapitan Riebrew?

- Czy nie znam Winogradowa.

- No i co?

- Skądże mam go znać?

- Winogradow - to przewodniczący sądu w Dalstroju.

- To ty wiesz, a ja nie - kto to taki Winogradow.

- Uczyłem się z nim..

Zaczynałem już coś rozumieć. Parfientjew, karelski prokurator był przed aresztowaniem obwodowym prokuratorem w Czelabińsku. Winogradow, bawiąc przejazdem w kopalni „Partyzant” dowiedział się że jego uniwersytecki kolega pracuje w przodku, przekazał mu więc pieniądze i poprosił naczelnika

„Partyzanta”, Anisirnowa, żeby pomógł Parfientjewowi. Przeniesiono go do kuźni jako pomocnika kowala, Anisimow doniósł o prośbie Winogradowa do MWD Smiertinowi, a ten do kapitana Riebrowa, który jako naczelnik SPO przystąpił do rozpracowania sprawy Winogradowa. Zostali aresztowani wszyscy prawnicy we wszystkich kopalniach Północy. Reszta była dziełem techniki śledczej.

- A po co my tu jesteśmy? Ja byłem w salce ...

- Nas wypuszczają - powiedziała Parfientjew.

- Wypuszczają? Na wolność? To znaczy, nie na wolność, na punkt tranzytowy, tranzytkę?

Tak powiedział trzeci człowiek, pojawiając się w świetle i oglądając mnie z jawną pogardą. Odkarmiona, różowa morda. Ubrany w czarne futerko, w zefirowej koszuli, rozpiętej na piersiach.

- Co, znajomi? Jeszcze was nie zdążył wydusić kapitan Riebrow. Wrogowie ludu...

- A ty co, przyjaciel ludu?

- W każdym razie nie jestem polityczny. Rombów nie nosiłem. Nie znęcałem się nad ludźmi pracy. To przez was, przez takich jak wy, to i nas sadzają.

- Błatny czy co?

- Komu błatny, komu zdatny.

- No, przestańcie, przestańcie - stanął w mojej obronie Parfientjew.

Gad! Nie znoszę takich. Szczęknęły drzwi.

- Wychodzić!

Koło wartowni cisnęło się siedmiu ludzi. Podeszliśmy z Parfientjewem trochę bliżej.

- Wy co - jesteście prawnikami, tak?

- Tak! Tak! A co się stało? Dlaczego nas wypuszczają?

- Kapitan Riebrow został aresztowany. Kazano zwolnić wszystkich aresztowanych z jego nakazu - powiedział cicho ktoś wszystkowiedzący.

KWARANTANNA TYFUSOWA

Człowiek w białym fartuchu wyciągnął rękę i Andriejew włożył mu pomiędzy różowe, czysto domyte palce z krótko obciętych paznokciami swą bluzę-gimnastiorkę, kruchą od słonego, zaschniętego potu. Człowiek odsunął się i strzepnął dłoń.

- Nie mam bielizny - powiedział obojętnie Andriejew.

Wtedy felczer wziął gimnastiorkę Andriejewa w obie ręce i zręcznym, nawykłym ruchem wyrócił rękawy i przyjrzał się im.

- Są, Lidio Iwanowna. Cóżes się tak zawszawił, co?! - wrzasnął na Andriejewa. Lecz lekarka, Lidia Iwanowna, przerwała mu.

- Czyż oni są winni? - powiedziała cicho i z wyrzutem, kładąc nacisk na słowo „oni”. I wzięła ze stołu stetoskop. Andriejew na całe życie zapamiętał tę

rudawą Lidię Iwanowną, błogosławiąc ją
tysiącrotnie i wspominając ciepło,
tkliwie. Ale za co? Za to, że
podkreśliła słowo „oni” w tym zdaniu –
jedynym, które od niej usłyszał. Za
dobre słowo na czas wypowiedziane. Czy
dotarły do niej te błogosławieństwa?
Oględziny nie trwały długo. Stetoskop
nie był w tym przypadku potrzebny. Lidia
Iwanowna chuchnęła na fioletową pieczęć
i z siłą, obiema rękami, przycisnęła ją
do jakiegoś drukowanego blankietu.
Wpisała tam kilka słów i Andriejewa
odprowadzono. Czekający w sieni
ambulatorium konwojent nie poprowadził
Andriejewa z powrotem do więzienia, lecz
w głąb osady, do jednego z dużych
składów. Przylegający do składu
dziedziniec ogrodzony był drutem
kolczastym w dziesięć przepisowych
rzędów, z furtką, przed którą chodził
odziany w kozuch wartownik z karabinem.
Weszli na dziedziniec i zbliżyli się do
magazynu. Przez szczelinę w drzwiach
przebiegało jaskrawe światło elektryczne.
Konwojujący żołnierz z trudem rozwarł te
ogromne drzwi, wykonane raczej dla
samochodu ciężarowego niż dla ludzi. Na
Andriejewa wionęło smrodem brudnych
ciał, zleżałej odzieży i kwaśnego
ludzkiego potu. Niewyraźny gwar ludzkich
głosów wypełniał tę ogromną drewnianą
skrzynię. Czteropiętrowy ciąg nar
wyciosanych z modrzewia, bez przejść,
był budowlą wieczną, obliczoną na

wiekuiste trwanie jak mosty Cezara. Na półkach tego ogromnego magazynu leżało ponad tysiąc osób. Był to jeden z dwudziestu składów wypełnionych aż po sufit świeżym żywym towarem; w porcie obowiązywała kwarantanna tyfusowa i już ponad miesiąc nie było wywozu czy - jak to się mówi w więziennym żargonie - „etapu”. Krwiobieg łagru, którego erytrocytami byli żywi ludzie, został naruszony. Przewożące ludzi ciężarówki stały. W kopalniach zwiększono więźniom dniówki. W samym mieście zakład piekarniczy nie nadażał z wypiekami chleba, albowiem każdemu trzeba go było dać po pięćset gramów dziennie; próbowano zatem dodatkowo piec w prywatnych domach. Złość kierownictwa była tym większa, że z tajgi trafiał z wolna do miasta wyrzucony przez kopalnie aresztancki odpad. W „sekcji”, jak zgodnie z modą nazywano ten skład, do którego przyprawiono Andriejewa, znajdowało się ponad tysiąc osób, nie od razu jednak można to było spostrzec. Z powodu gorąca ludzie leżeli na górnych narach rozdzielani do naga, a na dolnych narach i pod nimi - w waciakach, buszłatach i czapkach. Większość z nich leżała na wznak lub na brzuchu (nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego aresztanci nie śpią na boku); na masywnych pryczach ciała ich podobne były do narośli, drewnianych garbów lub zgiętych desek. Ludzie zbijali się w ciasne grupy obok

lub wokół opowiadacza - "romansisty" albo też z okazji jakiegoś przypadku - a wydarzały się one co chwila, wymuszane przez takie mnóstwo ludzi. Leżeli tutaj już ponad miesiąc, nie chodzili do pracy - jedynie do łaźni i do dezynfekcji odzieży. Tracono codziennie dwadzieścia tysięcy dni roboczych, sto sześćdziesiąt tysięcy roboczogodzin, a może i trzysta dwadzieścia tysięcy - dni robocze bywają różne. A może to dwadzieścia tysięcy uratowanych dni ludzkiego życia? Dwadzieścia tysięcy dni życia. Różnie można myśleć o liczbach, statystyka to przewrotna nauka. W czasie rozdawania jedzenia wszyscy znajdowali się na swoich miejscach (rozdawano je w grupach po dziesięć osób). Ludzi było tak wielu, że rozdawcy zaledwie zdążyli wydać śniadanie, gdy nastawał czas obiadu. A gdy kończono rozdawanie obiadu, przychodziła pora na kolację. W „sekcji” od rana do wieczora rozdawano jedzenie. A przecież rano wydzielano tylko przeznaczony na cały dzień chleb i herbatę - ciepłą gotowaną wodę, i co drugi dzień po połowce śledzia. Na obiad - tylko zupę, na kolację - tylko kaszę. I mimo wszystko nie starczało na to czasu. Dyspozytor podprowadził Andriejewa do nar i wskazał mu miejsce na drugim poziomie. Z góry zaprotestowano, na co dyspozytor odpowiedział przekleństwami. Andriejew uczepił się skraju pryczy, bezskutecznie

starając się zarzucić na nią nogę. Podepchnęła go mocna ręka dyspozytora i ciężko zwałił się na deski pośród nagich ciał. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Procedura meldunku i wprowadzenia się była zakończona. Jakkolwiek w tym tranzytowym pomieszczeniu niewiele było osób z tajgi, nikt go o nic nie wypytywał, chociaż wszystkim pozostałym sądzone była jedynie ta droga. Oni doskonale to rozumieli i właśnie dlatego nie chcieli niczego wiedzieć o tej nieuniknionej tajdze. Andriejew uznał to za słusze. To wszystko, co on widział, do niczego nie było im potrzebne. Niczego tu się nie da uniknąć, niczego nie można przewidzieć. Dodatkowy strach - po co? Tu jeszcze byli ludzie, Andriejew zaś był przedstawicielem umarłaków. I jego wiedza, wiedza martwego człowieka, nie mogła im, jeszcze żywym ludziom, do czegokolwiek się przydać. Po upływie dwóch dni przyszła pora na łaźnię. Dezynfekcje i łaźnie tak już wszystkim dojadły, że zbierano się niechętnie; ale Andriejew miał wielką ochotę rozprawić się ze swoimi wszami. Miał teraz mnóstwo czasu i kilka razy dziennie przeglądał wszystkie szwy swojej bluzy. Lecz ostateczny efekt zapewnić mogła jedynie komora dezynfekcyjna. Dlatego szedł tam z chęcią i chociaż nie dano mu świeżej bielizny - na gołe ciało trzeba było wdziać zrudziałą bluzę - to nie czuł już

więcej dobrze znanych ukąszeń. Wodę w łaźni wydawano według normy: miednicę gorącej i miednicę zimnej, ale Andriejew oszukał łaźiebego i otrzymał dodatkową ilość. Dawano jedynie okruch mydła, ale na podłogę można było nabierać niezmytych kawałków i Andriejew postanowił wypucować się jak należy. W ciągu ostatniego roku była to najlepsza łaźnia. I niech cieknie krew i ropa z wywołanych skorbutem ran na goleniach Andriejewa. Niech odskakują od niego ludzie w łaźni. Niech z obrzydzenia odsuwają się od jego zawszawionej odzieży. Z komory dezynfekcyjnej wydano rzeczy i sąsiad Andriejewa, Ogniew, zamiast skarpet z owczego futra otrzymał zabaweczki, tak skurczyła się skóra. Ogniew rozpłakał się - futrzane skarpety były ratunkiem na Północy. Andriejew jednak nie patrzył na to ze współczuciem. Tak wielu widział płaczących mężczyzn i to z tylu różnych powodów. Byli w tej liczbie symulanci-chytrusy, byli nerwowo chorzy, byli ci, co stracili wszelką nadzieję, byli rozwścieczeni. Byli płaczący z zimna. Płaczących z głodu Andriejew nie widział. Wracali przez ciemne, milczące miasto. Kałuże wyglądały jak zastygłe aluminium, ale powietrze było świeże, wiosenne. Po tej łaźni Andriejew spał szczególnie mocno, „spał syto”, jak powiedział jego sąsiad Ogniew, który zdążył już zapomnieć o swojej przygodzie

z komorą dezynfekcyjną. Nikogo nigdzie nie wypuszczano, jednakże w „sekcji” było stanowisko, które umożliwiało wyjście za „druty”. Co prawda nie chodziło tu o wyjście z łagrowej osady, poza zewnętrzne odrutowanie - poza trzy przegrody po dziesięć „nitek” kolczastego drutu wraz ze „strefą zakazaną”, otoczoną nisko naciągniętym drutem. O tym nawet nikt nie marzył. Chodziło jedynie o wyjście z odrutowanego podwórka. Tam była stołówka, kuchnia, szpital, składy, jednym słowem - życie niedostępne dla Andriejewa. Jedynym człowiekiem, który wychodził poza druty, był asenizator. I kiedy on nagle umarł (życie pełne jest błogosławionych przypadków), Ogniew, sąsiad Andriejewa, objawił cuda energii i domyślności. Przez dwa dni nie jadł chleba, a potem zamienił go na wielką fibrową walizkę.

- U barona Mandela, Andriejew!

Baron Mandel! Potomek Puszkina! O, tam, tam. Baron, wysoki, wąski w ramionach, z maleńką łysą czaszką, widoczny był z daleka. Jednakże Andriejewowi nie udało się z nim poznać. Ogniew przechował, jeszcze z „wolności”, wełnianą marynarkę - na kwarantannie był dopiero kilka miesięcy. Podarowawszy dyspozytorowi marynarkę i fibrową walizkę, Ogniew otrzymał miejsce po zmarłym asenizatorze. Po upływie dwóch tygodni błątniacy przydusili Ogniewa w

ciemnościach, na szczęście nie na śmierć, i zabrali mu około trzech tysięcy rubli. W czasie tego rozkwitu handlowej kariery Ogniewa Andriejew prawie się z nim nie spotykał. Teraz, pobity i wymęczony, Ogniew wypowiadał się Andriejewowi w nocy ze swoich przeżyć, zajmąwszy stare miejsce. Andriejew mógłby mu opowiedzieć co nieco z tego, co widział w kopalni, ale Ogniew nie skarżył się wcale ani niczego nie żałował.

— Dzisiaj oni mnie, jutro ja ich. Ja ich...ogram...W stosa, w terca, w burę ogram. Wszystko odzyskam!

Ogniew nie wspomógł Andriejewa ani chlebem, ani pieniędzmi. W takich przypadkach nie było to przyjęte - z punktu widzenia łagrowej etyki wszystko było w porządku. Któregoś dnia Andriejew ze zdziwieniem stwierdził, że jeszcze żyje. Jakkolwiek by było trudno wdrapywać się na nary, to jednak mu się to udawało. Najważniejsze, że nie pracował, leżał i wystarczyło pięćset gramów żytniego chleba, trzy łyżki kaszy i miska rzadkiej zupy dziennie, aby człowiek był wskrzeszony, byle tylko nie pracował. Właśnie tutaj pojał, że nie opanował go jeszcze strach i że nie przywiązuje wielkiej wagi do życia. Zrozumiał i to, że poddany został wielkiej próbie i zachował życie. Że okropne doświadczenia wyniesione z kopalni musi zużyć na swoją korzyść.

Pojął, że jakakolwiek by była mizerna możliwość wyboru i wolnej woli więźnia, to jednak ona istnieje: jest to poczucie realizmu, które może przy okazji uratować życie. I Andriejew przygotowany był do tego wielkiego starcia, w którym bestii powinien przeciwstawić zwierzęcą chytrąść. Oszukiwano jego, to i on oszuka. Nie umrze, nie szykuje się na śmierć. Będzie spełniał pragnienia swojego ciała - te, o których mu ono mówiło w kopalni złota. Tam przegrał bitwę, ale nie była to bitwa ostatnia. Jest odpadem wyrzuconym z kopalni. Oszukała go rodzina, oszukała ojczyzna. Miłość, energia, zdolności - wszystko zostało rozdeptane i rozbite. Wszystkie usprawiedliwienia, których szukał umysł, były kłamliwe, fałszywe i Andriejew to rozumiał. Jedyne rozbudzony przez pobyt w kopalni instynkt samozachowawczy mógł podpowiedzieć - i podpowiadał - wyjście z tej sytuacji. Właśnie tu, na tej pryczy na miarę cyklopów, Andriejew zrozumiał, że jest coś wart, że może sam siebie szanować. Pozostał jeszcze przy życiu i nikogo nie wydał ani nie zdradził, czy to w śledztwie, czy w łagrze. Udało mu się wyjaśnić wiele prawd, udało mu się zwalczyć strach, co nie oznacza, że się zupełnie przestał bać. Nie, to bariery moralne zarysowały się wyraźniej, wszystko stało się prostsze i jaśniejsze. Jasne było na przykład to, że Andriejewa nie można

obciążyć żadną winą. Posiadane przedtem zdrowie naruszone zostało na zawsze, uleciało bez śladu po dawnej kondycji. Czy jednak na zawsze? Gdy przywieziono Andriejewa do tego miasta, myślał, pozostało mu życia dwa lub trzy tygodnie. A żeby odzyskać poprzednią siłę, konieczny jest wielomiesięczny, pełny odpoczynek na świeżym powietrzu, i - jak w kurorcie - z mlekiem i czekoladą. Ponieważ jednak takiego kurortu Andriejew nigdy nie zobaczy, trzeba będzie umrzeć. Zresztą, to jest nie takie straszne. Umarło wielu jego towarzyszy. Coś silniejszego od śmierci nic dawało mu jednak umrzeć. Czy to miłość? Czy nienawiść? Człowiek żyje dzięki tym samym przyczynom, co drewno, kamień, pies. To właśnie pojął i nie tylko pojął, ale doskonale odczuł właśnie tu, w tym miejskim punkcie tranzytowym, w czasie tyfusowej kwarantanny. Rozdrapana skóra zagoiła się o wiele wcześniej niż inne rany Andriejewa. Powoli zanikał ten jakby żółwi pancerz, w który przeistoczyła się w kopalni ludzka skóra. Pociemniała jaskrawa różowość odmrożonych palców, zgrubiała pokrywająca ją zaraz po pęknięciu pęcherzy odmrożeńiowych cieniutka skórka. A wreszcie - co najważniejsze - rozgięła się kiść lewej ręki. W ciągu półtora roku pracy w kopalni kiście obu rąk dogięły się do kształtu i grubości trzonka łopaty lub

kilofa i zastygły - jak się Andrieiewowi wydawało - na zawsze. Jedząc, trzymał rączkę łyżki, podobnie jak jego towarzysze, koniuszkami palców i zapomniał, że można ją trzymać inaczej. Żywa dłoń podobna była do haczykowatej protezy, bo wykonywała tylko ruchy protezy. Oprócz tego można się było nią przeżegnać, gdyby Andriejew się modlił. Niczego jednak nie było w jego duszy oprócz przepelniającej ją złości. Jego rany duchowe nie zaleczyły się tak łatwo. Nigdy nie były zaleczone. Wszakże rękę Andriejew rozgiął. Raz, było to w łaźni, rozgięły się palce jego lewej ręki. Zdziwiło to Andriejewa. Przyjdzie jeszcze kolej na prawą, zgiętą po staremu. I po nocach Andriejew leciutko dotykał prawej, próbując odgiąć palce. Zdawało mu się, że już, już i ręka się rozegnie. Jak najdokładniej poobgryzał paznokcie, a teraz kawałek po kawałku odgryzał brudną, grubą, trochę już odmoczoną skórę. Ten zabieg higieniczny był jedną z niewielu rozrywek, kiedy nie jadł i nie spał. Krwawe pęknięcia na stopach nie były już tak dotkliwie bolesne jak przedtem. Wrzody na nogach, po skorbucie, nie zagoiły się jeszcze i wymagały opatrunku, ale ran było coraz mniej - ich miejsce zajmowały sinoczarne plamy, podobne do piętna wypalonego przez właściciela niewolników. Nie goiły się tylko palce obu nóg - tam odmrożenie sięgnęło szpiku kostnego i wyciekała

stamtąd ropa. Oczywiście było jej znacznie mniej niż podczas pobytu w kopalni, kiedy ropa i krew tak naciekały do gumowych kaloszy zwanych czuniami (będących letnim obuwiem więźniów), że chlupało przy każdym kroku, jakby noga tkwiła w kałuży. Minie jeszcze wiele czasu, nim zagoją się palce Andriejewa. Przez długie lata po wygojeniu przy najmniejszym zimnie będą przypominały ćmiącym bólem o północnej kopalni. Ale Andriejew nie myślał o przyszłości. Przyuczony w kopalni do tego, by nie myśleć o życiu dalej niż na dzień naprzód, starał się walczyć o to, co obok niego - jak czyni to każdy człowiek niedaleki od śmierci. Na razie pragnął tylko jednego: aby ta tyfusowa kwarantanna ciągnęła się bez końca. Tak jednak być nie mogło i nadszedł dzień, gdy kwarantanna się skończyła. Tego ranka wszystkich mieszkańców „sekcji” wygnano na dziedziniec. Przez wiele godzin więźniowie tłoczyli się w milczeniu za drucianą zagrodą i marzli. Dyspozytor, stojąc na beczie, wykrzykiwał nazwiska okropnym, zachrypniętym głosem. Wywołani szli do furty, aby już nie wrócić. Na szosie huczały ciężarówki; huczały tak głośno w mroźnym powietrzu, że przeszkadzały dyspozytorowi.

- Żeby tylko nie wywołali, żeby tylko nie wywołali - tym dziecinnym zaklęciem Andriejew starał się przebłagać los.

Nie, nie uda mu się. Jeżeli nawet dziś nie wezwą, to wezwą jutro. Znowu pojedzie do wyrobisk złota, na głód, na bicie i śmierć. Zaczęły doskwierać, dały znać o sobie odmrożone palce rąk i nóg, uszy i policzki. Andriejew coraz częściej przestępował z nogi na nogę, chuchając, zgiąwszy się, na palce zwiniętych w rurkę dłoni; ale nie było to takie proste - rozgrzać zdrętwiałe nogi i chore ręce. Wszystko nadaremno. W walce z tą gigantyczną machiną, której zęby rozgniatyły jego ciało, był bezsilny.

- Woronow, Woronow! - nadrywał głos dyspozytor - Woronow, przecież jesteś tu, psie! - i dyspozytor rzucił ze złością cieniutką, żółtą teczkę „sprawy” na beczkę, i przydeptał ją nogą.

I wtedy Andriejew wszystko zrozumiał. Było to jak światło błyskawicy wskazujące drogę ratunku. Rozgorączkowany i wzburzony zbliżył się natychmiast do dyspozytora, a ten wymieniał nazwisko za nazwiskiem. Ludzie opuszczali dziedziniec jeden za drugim, jednak tłum był jeszcze duży. To już zaraz, zaraz...

- Andriejew! - krzyknął dyspozytor. Andriejew milczał, przyglądając się wygolonym policzkom dyspozytora. Potem wzrok jego skierował się na teczki „spraw”. Było ich niewiele. Ostatnia ciężarówka, pomyślał Andriejew. Dyspozytor potrzymał teczkę Andriejewa i

nie wywołując go po raz drugi, odłożył ją na bok, na beczkę.

- Syczkow, odzywaj się! Imię i po ojcu!

- Władimir Iwanowicz - odpowiedział jak należy jakiś podeszły wiekiem aresztant i przepchnął się przez tłum.

- Paragraf? Ile lat? Wychodź!

Jeszcze parę osób odpowiedziało na wezwanie i odeszło, a po nich odszedł dyspozytor. Pozostałych więźniów cofnięto z powrotem do „sekcji”. Kaszel, tupot, okrzyki - wszystko rozplynęło się i wyrównało w rozgwarze setek ludzi. Andriejew chciał żyć. Postawił przed sobą dwa cele i postanowił je osiągnąć. Było nader oczywiste, że trzeba się utrzymać jak najdłużej, do ostatniego dnia. Nie popełniać błędów, panować nad sobą...Złoto to śmierć. Nikt lepiej od Andriejewa nie wie o tym. Trzeba za wszelką cenę uniknąć tajgi z wyrobiskami złota. Jak może to osiągnąć on, znajdujący się poza prawem niewolnik Andriejew? A tak: w czasie kwarantanny tajga wyludniła się; chłód, głód, ciężka, wielogodzinna praca i bezsenność pozbawiły ją ludzi. A więc w pierwszej kolejności ciężarówka z ludźmi z kwarantanny będą kierowane do „złotych” zarządów; i tylko wtedy, gdy zapotrzebowanie kopalń na ludzi („przyślijcie dwieście drzew” - jak piszą w telegramach) będzie zaspokojone, tylko wtedy będą wysyłać nie do tajgi, nie do wydobywania złota. A dokąd - to

już Andriejewowi obojętne. Byłe nie na złoto. O tym wszystkim nie powiedział Andriejew ani słowa. Z nikim się nie naradzał - ani z Ogniewem, ani ze swoim kolegą z kopalni, Parfientjewem, ani z żadnym z tego tysiąca ludzi, którzy leżeli z nim razem na narach. Wiedział bowiem, że każdy, komu opowie o swoim planie, wyda go władzy - za cenę pochwały, machorkowego okurka lub tak, całkiem po prostu... On wiedział, jaka jest waga tajemnicy, i potrafił ją zachować. Tylko w takiej sytuacji mógł się niczego nie obawiać. Jednemu było łatwiej. We dwóch, trzech czy czterech nietrudno było wpaść w zęby maszyny. Jego gra była jego własną grą - tego się doskonale nauczył w kopalni. Przez wiele dni Andriejew nie odpowiadał na wezwania. Ale jak tylko kwarantanna się skończyła, zaczęto więźniów „wyganiać” do pracy i przy wychodzeniu trzeba było tak pokombinować, żeby nie trafić do którejś z dużych grup, bo prowadzono je zazwyczaj do prac ziemnych, z łomami kilofami i łopatami. Małe grupy, po dwie, trzy osoby, stwarzały zawsze nadzieję na zarobienie dodatkowego kawałka chleba lub nawet cukru - od ponad półtora roku Andriejew nie widział cukru. Oczywiście posyłanie do pracy ludzi znajdujących się na „etapie” było nielegalne, ale znajdowało się wielu chętnych do wykorzystania darmowej siły roboczej. Ci, którzy trafiali do prac

ziemnych, chodzili tam, licząc na to, że wyproszą gdziekolwiek tytoniu czy chleba. Udawało się to nawet dostać od przechodniów. Andriejew chodził do składu warzyw, gdzie do woli jadł buraki i marchew; przynosił także „do domu” po kilka surowych ziemniaków, które piekł w piecu, w popiele, i zjadał w stanie półsurowym - życie tu wymagało aby wszelkie żywieniowe „operacje” przeprowadzać szybko - dokoła zbyt wielu było głodujących ludzi. Nastaly dni, które jakby miały jakiś sens, wypełnione były jakimiś czynnościami. Co dzień z rana trzeba było przestać na mrozie dwie godziny, a dyspozytor krzyczał:

- Hej, wy, odzywajcie się! Imię i po ojcu!

I kiedy codzienna ofiara składana Molochowi była już zakończona, a wszyscy tupiąc, biegli do baraku, dopiero wtedy wyprowadzano stamtąd do pracy. Andriejew trafiał do pracy w piekarni, wynosił śmieci z żeńskiego punktu tranzytowego, mył podłogę w pomieszczeniu obozowej straży, gdzie w półciemnej stołówce zgarniał z pozostawionych talerzy lepkie i smaczne resztki z oficerskich stołów. Po pracy wynoszono do kuchni pełne miednice słodkiego kisielu i góry chleba, wszyscy więc - zasiadłszy w krąg - jedli i napychali kieszenie chlebem. Tylko jeden raz kalkulacja Andriejewa się nie sprawdziła. Czym mniejsza grupa, tym lepsza - to było jego hasło. A najlepiej

w pojedynkę. Jednakże rzadko kiedy brano jednego. Pewnego dnia dyspozytor, pamiętając jego twarz (znał go jako Murawjowa), powiedział:

- Znalazłem ci taką robotę, że nigdy jej nie zapomnisz. Piłowanie drewna na opał u wysokiej rangi naczelnika. Pójdiesz we dwójkę z kimkolwiek.

Pobiegli wesoło przed przewodnikiem w kawaleryjskim płaszczu. Ten zaś, w butach, ślizgał się, potykał, przeskakiwał kałuże, a potem doganiał ich biegiem, przytrzymując obiema rękami poły płaszcza. Wkrótce dotarli do niewielkiego domu z zamkniętą furtką w pokrytym kolczastym drutem płocie. Przewodnik zastukał. W podwórzu zaszczekał pies. Otworzył im sprzątający naczelnika, zaprowadził milcząco do drewnutni, gdzie ich zamknął, a na podwórze wypuścił ogromnego owczarka. Przyniósł wiadro wody. I dopóki więźniowie nie przepiłowali i nie porabiali wszystkiego drewna, dopóty trzymał ich w zamknięciu. Późno wieczorem zostali odprowadzeni do łagru. Następnego dnia chciano ich tam posłać ponownie, lecz Andriejew schował się pod nary i w ogóle nie wyszedł do pracy. Na drugi dzień rano, przed wydawaniem chleba, wpadł mu do głowy pewien prosty pomysł, który od razu urzeczywistnił. Zdjął z nóg kurki i położył je na skraju nar, jeden but na drugim, podszwami na zewnątrz - tak jakby sam leżał w burkach

na pryczy. Położył się przy nich na brzuchu i oparł głowę na łokciu. Rozdawca szybko przeliczył kolejną dziesiątkę i wydał Andriejewowi dziesięć porcji. W ten sposób dostały się dwie porcje. Lecz sposób nie był pewny i mógł udać się tylko jeden raz. Andriejew znów zaczął szukać pracy poza barakiem. Czy rozmyślał wtedy o rodzinie? Nie. O wolności? Nie. Czy deklamował wiersze z pamięci? Nie. A może wspominał przeszłość? Nie. On żył tylko przepełniającą go spokojną złością. I właśnie wtedy natknął się na kapitana Sznajdera. Miejsce w pobliżu pieca zajmowali błatniacy. Nary zaścieleno były brudnymi, watowanymi kołdrami i pokryte mnóstwem różnego rodzaju poduszek z pierza. Watowana kołdra to nieodłączny towarzysz złodzieja, któremu dobrze się powodzi; jedyna rzecz, którą taszczy ze sobą po więzieniach i łagrach. Kiedy jej nie posiada, to kradnie lub zabiera siłą. A poduszka? Poduszkę nie tylko kładzie pod głowę, lecz stanowi ona również karciany stolik podczas niekończących się gier. Można temu stolikowi nadać dowolną formę, a mimo wszystko pozostaje poduszką. Karciarze wcześniej przegrywają spodnie niż poduszkę. Na kołdrach i poduszkach rozkładali się złodziejscy przywódcy, a raczej ci, którzy nimi byli w danym czasie. Jeszcze wyżej, na trzecich narach, gdzie było ciemno, również

leżały kołdry i poduszki - zaciągano tam kobietopodobnych młodych złodziejasków; i nie tylko - prawie każdy złodziej był pederastą. Złodziei otaczała rzesza fagasów i lokajów - nadwornych opowiadaczy, albowiem u błatniaków do dobrego tonu należy interesowanie się „romansami”; nadwornych fryzjerów z flakonikami perfum - nawet w tych warunkach; i jeszcze rzesza spełniających różne posługi, gotowych na wszystko, byle im tylko odłamano kawałek chleba lub nalano zupki.

- Ciszej! Sienieczka coś mówi. Ciszej! Sienieczka kładzie się spać. - obrazek znany z kopalni.

Nagle pośród tej żebraczej rzeszy, wiecznej świty otaczającej błatniaków, Andriejew ujrzał znajomą twarz, znajome rysy, posłyszał znajomy głos. Bez wątpienia był to kapitan Sznajder - towarzysz Andriejewa w więzieniu na Butyrkach. Kapitan Sznajder był niemieckim komunistą, działaczem Kominternu. Znakomicie władał językiem rosyjskim, był znawcą Goethego i wykształconym teoretykiem-marksistą. W pamięci Andriejewa zachowały się prowadzone z nim dyskusje w długie więzienne noce, dyskusje „o wysokim napięciu”. Wesolek z natury, były kapitan żeglugi wielkiej, podtrzymywał bojowego ducha w więziennej celi. Andriejew nie wierzył teraz własnym oczom.

- Sznajder!

- No, czego chcesz? Sienieczkę obudzisz. Ale już uniósł się brzęg kołdry i blada, niezdrowa twarz wysunęła się do światła.

- Aa, kapitan - zadźwięczał rozmarzony tenorek Sienieczki - nie mogę zasnąć bez ciebie...

- Zaraz, zaraz - zakrzętała się Sznajder. Wlaził na nary, usiadł, podniósł kołdrę, wsunął pod nią rękę i począł skrobać Sienieczcze pięty. Andriejew z wolna szedł na swoje miejsce. Nie chciało mu się żyć. I chociaż nie było to ani wielkie, ani straszne wydarzenie w porównaniu z tym, co już widział i co jeszcze miał zobaczyć, zapamiętał kapitana Sznajdera na zawsze. A tymczasem ludzi było coraz mniej. Tranzytka pustoszała. Andriejew zetknął się twarzą w twarz z dyspozytorem.

- Jak twoje nazwisko?

Ale Andriejew już dawno się na to przygotował.

- Gurow - odpowiedział pokornie.

- Poczekaj! - dyspozytor przekartkował cieniutki papier spisów - Nie, nie ma.

- Mogę iść?

- Idź, bydlaku! - ryknął dyspozytor.

Pewnego razu Andriejew trafił do sprzątanania i mycia naczyń w stołówce punktu tranzytowego tych, którzy odbyli wyrok i wyjeżdżali na wolność. Partnerem jego był wycieńczony, o nieokreślonym wieku „knot”, dochodiaga, dopiero co wypuszczony z miejscowego więzienia.

Było to pierwsze wyjście do pracy tego dochodiagi. Wciąż rozpytywał, co będą robić, czy dadzą im coś zjeść i czy wypada prosić o jedzenie przed rozpoczęciem pracy. Dochodiaga powiedział, że jest profesorem-neuropatologiem i Andriejew zapamiętał jego nazwisko. Z doświadczenia wiedział, że łagrowi kucharze, i nie tylko oni, nie lubią „Iwanów Iwanowiczów”, jak pogardliwie nazywali inteligentów. Powiedział profesorowi, żeby o nic wcześniej nie prosił, i pomyślał ze smutkiem, że główna robota związana z myciem i sprzątaniem stanie się udziałem jego, Andriejewa, profesor był zbyt słaby. To było słuszne i nie należało się gniewać. Ile razy w kopalni Andriejew sam był marnym słabym partnerem dla ówczesnych swoich kolegów i nikt nie powiedział mu ani słowa? Gdzie oni wszyscy? Gdzie Szejnin? Riutin? Chwostow? Wszyscy poumierali, a on, Andriejew, ożył. Tak naprawdę to jeszcze nie ożył i wątpliwe, czy ożyje. Ale będzie walczył o życie. Przypuszczenia Andriejewa okazały się słuszne - profesor krzątał się, ale był zbyt słaby jako pomocnik. Zakończyli robotę i kucharz usadził ich w kuchni, stawiając przed nimi ogromny baniak gęstej, rybnej zupy i duży, żelazny talerz kaszy. Profesor zaklaskał w dłonie z radości, ale Andriejew, który widział w kopalni, jak jeden człowiek

potrafi zjeść dwadzieścia obiadowych porcji z trzech dań, z chlebem, krzywo spojrzał na to ugoszczenie.

- Bez chleba czy jak? - spytał, chmurząc się, Andriejew.

- No jakże bez chleba. Dam trochę - i kucharz wyjął z szafy dwie pajdy chleba. Z poczęstunkiem uporali się szybko. Będąc w takiej gościnie, przewidujący Andriejew zawsze jadł bez chleba. Także teraz schował chleb do kieszeni. Profesor natomiast łamał chleb, łykał zupę, żuł, aż na jego krótko ostrzyżonej głowie pojawiły się krople brudnego potu.

- Macie tu jeszcze po rublu - powiedział kucharz - Chleba dziś nie mam.

Było to wspaniałe wynagrodzenie. Na punkcie tranzytowym znajdował się kiosk-sklepik, gdzie wolni mogli kupować chleb. Andriejew powiedział o tym profesorowi.

- Tak, tak, ma pan rację - odparł profesor - ale ja widziałem, że sprzedają tam słodki kwas. A może to lemoniada? Ogromnie chce mi się lemoniady, w ogóle czegoś słodkiego.

- To pańska sprawa, profesorze, ale ja na pana miejscu raczej bym kupił chleb.

- Tak, tak, ma pan rację - powtórzył profesor - ale bardzo chce mi się słodkiego kwasku. Niech i pan wypije.

Lecz Andriejew kategorycznie odmówił. W końcu Andriejew dopiął swego - dostał pracę w pojedynkę. Zaczął myć podłogę w biurze działu gospodarczego przy punkcie

tranzytowym. Każdego wieczoru przychodził po niego sprzątający, którego obowiązkiem było utrzymanie czystości w biurze. Były to dwa maleńkie pokoiki po cztery metry kwadratowe każdy, zastawione stołami. Podłogi były malowane. Robota śmieszna, na dziesięć minut, i początkowo Andriejew nie mógł pojąć, dlaczego sprzątający „wynajmuje” kogoś do takiego sprzątania. Przecież nawet wodę do mycia nosił sam przez cały łagier, a czyste szmaty także były zawczasu przygotowane. A wynagrodzenie było szczodre - machorka, zupa i kasza, chleb i cukier. Sprzątający obiecał nawet dać Andriejewowi „lekką marynarkę”, ale nie zdażył. Widać sprzątającemu wydawało się, że to wstyd, aby sam mył podłogi, choćby przez pięć minut dziennie, skoro może najać do tego „robociarza”. Tę właściwą Rosjanom cechę zauważył Andriejew już w kopalni. Gdy naczelnik da sprzątającemu garść machorki za sprzątnięcie baraku, ten połowę jej wysypie do kapciucha, a za drugą połowę najmie sprzątacza z baraku pięćdziesiątego ósmego paragrafu - politycznego. Z kolei ten znowu „przepołowi” machorkę i wynajmie robociarza ze swego baraku za dwa machorkowe skręty. Tak oto, po czternastogodzinnej zmianie, robociarz myje w nocy podłogi za dwa skręty tytoniu. Uważa to jeszcze za szczęście - przecież zamieni tytoń na chleb.

Problemy walutowe to najbardziej skomplikowane zagadnienie teoretyczne ekonomii. Również w łagrze problemy walutowe nie są proste - odniesienia wartości są zadziwiające - herbata, tytoń, chleb; ich cena podlega wahaniom „kursu”. Sprzątający działu gospodarczego płacił niekiedy Andriejewowi talonami do kuchni. Były to opieczutowane kawałki kartonu, coś jakby żetony - dziesięć obiadów, pięć drugich dań itp. Kiedyś sprzątający dał Andriejewowi żeton na dwadzieścia porcji kaszy i te dwadzieścia porcji nie pokryło dna blaszanej miedniczki. Andriejew widział, jak błatniacy wtykali w okienko zamiast żetonów podobne do nich jaskrawopomarańczowe trzydziestorublówki. Działało to niezawodnie. W odpowiedzi na taki „żeton” miedniczka napełniała się i wyskakiwała z okienka. Ludzi na punkcie tranzytowym było ciągle mniej, aż wreszcie nastął dzień, kiedy po wyprawieniu ostatniej ciężarówki pozostało na dziedzińcu wszystkiego około trzydziestu osób. Tym razem nie puszczono ich do baraku, lecz uformowano i poprowadzono przez cały łagier.

- Chyba jednak nie prowadzą nas na rozstrzelanie - powiedział idący obok Andriejewa ogromny, z bardzo dużymi rękami, jednooki człowiek.

No właśnie, przecież nie będą rozstrzeliwać, pomyślał także Andriejew.

Przyprowadzono wszystkich do dyspozytora, do działu ewidencji.

- Będziemy brać wasze odciski palców - powiedział dyspozytor wychodząc na ganek.

- Jeżeli chodzi o palce, to można i bez palców - wesoło rzekł jednooki - Moje nazwisko Filipowski. Georgij Adamowicz.

- A twoje?

- Andriejew. Paweł Iwanowicz.

Dyspozytor odszukał ich „sprawy osobowe”.

- Coś dawno was poszukujemy - powiedział bez złości - Idźcie do baraku, później wam powiem, dokąd was wyznaczą.

Andriejew wiedział już, że wygrał bitwę o życie. Po prostu nie mogło tak być, żeby tajga nie nasyciła się jeszcze ludźmi. Jeśli nawet będą wysyłki, to tylko na bliskie, miejscowe punkty. Albo też w samym mieście, to jeszcze lepiej. Daleko wysyłać nie mogą nie tylko dlatego, że Andriejew posiada kategorię „lekkiej fizycznej pracy”. Znana mu była praktyka nagłych „komisji rewizyjnych”. Nie mogą wysyłać daleko, dlatego że zapotrzebowanie „tajgi” zostało już wypełnione. I tylko pobliskie punkty, gdzie życie jest łatwiejsze, prostsze, bardziej dostatnie, gdzie nie ma „złotych” wyrobisk, a więc gdzie jest nadzieja na uratowanie się - oczekują w kolejce. W ciągu dwuletniej pracy w kopalni wymęczył się dostatecznie, aby móc teraz stanąć przed taką ewentualnością. Sprężony jak zwierzę do skoku. Zbyt wiele zostało zrobione i

nadzieje powinny się spełnić, cokolwiek by się miało stać. Trzeba było czekać na to tylko jedną noc. Po śniadaniu dyspozytor wleciał z listą do baraku, z małą listą, jak to od razu zauważył Andriejew. Kopalniane listy zawierały po dwadzieścia pięć osób na jedną ciężarówkę i takich papierków było zawsze kilka, a nie jeden. Andriejewa i Filipowskiego wywołano według tej listy; było na niej więcej ludzi i jakkolwiek niewiele, nie były to jednak ani dwie, ani trzy osoby. Wywołanych poprowadzono w kierunku znajomych drzwi działu ewidencji. Stało tam jeszcze trzech mężczyzn - siwy, dostojny, o powolnych ruchach staruszek w ładnym baranym półkożuszkach i walonkach oraz brudny, wiercący się człowiek w waciaku i watomowanych spodniach, mający na nogach gumowe kalosze i onuce. Trzecim był urodziwy starzec spoglądający sobie pod nogi. Opodal stał człowiek w wojskowym kożusku i kubance na głowie.

- To wszyscy - powiedział dyspozytor. - Nadadzą się?

Człowiek w kożusku kiwnął palcem na staruszkę.

- Ktoś ty?

- Izgibin, Jurij Iwanowicz, pięćdziesiąty ósmy paragraf, wyrok dwadzieścia pięć lat - dziarsko złożył raport staruszek.

- Nie, nie. - ten w kożusku się zmarszczył - Kim ty jesteś z zawodu? Wasze dane znajdę i bez was...

- Zdun, obywatelu naczelniku.

- A co jeszcze potrafisz?

- Znam się jeszcze na blacharce.

- Bardzo dobrze.

- Ty? - naczelnik skierował się do Filipowskiego.

Jednooki wielkolud odpowiedział, że jest palaczem z Kamieńca Podolskiego.

- A ty?

Urodziwy starzec nieoczekiwanie wymamrotał kilka słów po niemiecku.

- Cóż to? - powiedział ten w kożusku z zaciekawieniem.

- Proszę się nie niepokoić - wtrącił się dyspozytor - To stolarz, dobry stolarz, Fruhsorger. Jemu trochę nieswojo, ale przyjdzie do siebie.

- A dlaczegoż to on po niemiecku?...

On jest spod Saratowa, z republiki autonomicznej.

- Aaa...A ty? - było to pytanie do Andriejewa.

On potrzebuje specjalistów i w ogóle dobrych robotników, pomyślał Andriejew, ja będę tym od skóry.

- Garbarz, obywatelu naczelniku.

- Bardzo dobrze. A ile masz lat?

- Trzydzieści jeden.

Naczelnik pokiwał głową. Ponieważ jednak był człowiekiem doświadczonego i widywał już zmartwychwstania, przemilczał i przeniósł wzrok na piątego. Piąty,

wiercący się człowiek okazał się ni mniej, ni więcej, tylko działaczem towarzystwa esperantystów.

- W ogóle ja, rozumie pan, jestem agronomem, agronomem z wykształcenia. Nawet wykłady prowadziłem. Ale moja sprawa związana jest z esperantystami.

- Szpiegostwo. Czyż nie tak? - obojętnie rzucił ten w kożusku.

- Właśnie, właśnie, coś w tym rodzaju - powiedział wiercący się człowiek.

- No to jak? - spytał dyspozytor.

- Biorę - powiedział naczelnik - Wszystko jedno, lepszych nie da się znaleźć. Nie ma teraz bogatego wyboru.

Wszystkich pięciu poprowadzono do oddzielnego pokoju-celi, znajdującego się przy baraku. Ale na liście były jeszcze dwa czy trzy nazwiska i Andriejew dobrze to zauważył. Przyszedł dyspozytor.

- Dokąd jedziemy?

- Tutaj, na miejscowy punkt, dokąd by jeszcze - powiedział dyspozytor - A tamten to wasz naczelnik. Za godzinę was odeślemy. Trzy miesiące wałkoniliście się tutaj, przyjaciele, i pora już mieć trochę honoru.

Po upływie godziny wywołano ich, ale nie do samochodu, lecz magazynu odzieżowego. Oczywiście, aby zmienić uniformy, myślał Andriejew. Przecież wiosna za pasem - kwiecień. Wydadzą im latem a te zimowe, znieawidzone, kopalniane, odda się, wyrzuci, zapomni. Lecz zamiast letnich

wydano im zimowe. Przez pomyłkę? Nie. Na liście było zaznaczone czerwonym ołówkiem: „zimowe”. Niczego nie rozumiejąc, odziali się wiosennego dnia w waciaki wtórnego użytku. I w buszłaty, i w stare, naprawiane walonki. W strachu przeskakując jak bądź kałuże, dobrnęli do tego pokoju w baraku, skąd poszli do magazynu. Wszyscy byli niezwykle strwożeni i milczeli, jednie Fruhsorger mamrotał i mamrotał po niemiecku.

- To on modlitwy odmawia, jego mać... - szepnął Filipowski Andriejewowi.

Siwy, podobny do profesora zdun wyliczył wszystkie „najbliższe punkty”: port, czwarty kilometr, czterdziesty siódmy... Dalej zaczynały się już odcinki drogowe, miejsca niewiele lepsze od kopalni złota. Przybiegł dyspozytor.

- Wychodzić! Marsz do wyjścia!

Wszyscy wyszli i skierowali się ku wrotom punktu tranzytowego. Po drugiej stronie stała duża ciężarówka przykryta zielonym brezentem.

- Konwój, przyjmujcie!

Konwojent przeprowadził odliczanie. Andriejew poczuł, jak robi mu się chłodno w nogi, w plecy...

- Siadać do samochodu!

Konwojent odrzucił skraj brezentu pokrywającego ciężarówkę - ona wypełniona przez siedzących ludzi, jak każą przepisy.

- Włazić!

Wszyscy w pięciu siedli razem. Wszyscy milczeli. Konwojent siadł do kabiny. Zadudnił silnik i samochód ruszył szosą, wyjeżdżając na główną „trasę”.

- Na czwarty kilometr wiozą - powiedział zdun.

Słupy oznaczające wiorsty przepływały obok. Pięciu mężczyzn zbliżyło głowy do szczeliny w brezencie i nie wierzyło własnym oczom...

- Siedemnasty...

- Dwudziesty trzeci - powiedział Filipowski.

- Na miejscowy, parszywcy! - gniewnie zachrypiał zdun.

Samochód od dawna już jechał drogą wijącą się między skałami. Szosa podobna była do liny, przy pomocy której wleczono morze do nieba. Wlekli je, zginając plecy, burłacy - góry.

- Czterdziesty siódmy - bez nadziei w głosie zapiszczał wiercący się esperantysta.

Samochód przeleciał mimo.

- Dokąd jedziemy? - spytał Andriejew, chwyciwszy kogoś za ramię.

- Na Atce, na dwieście ósmym, będziemy nocować.

- A potem?

- Nie wiem...Daj zapalić.

Ciężarówka, pracując ciężko, wdrapywała się na przełęcz Jabłonowego Grzbietu.